



- Nie powinienam być taka bierna - stwier

dziła do siebie pani Wojtasik.

Powinam chyba coś zrobić! Głębiej zbadać pewną sprawę, nie ślizgać się po powierzchni. Skąd wiadomo na przykład, że przypadkowe grono pensjonariuszy nie znało

PENSJONAT • IDYLLA •

PIOTR TERENCE

CZYTELNIK



Piotr
Terence
pensjonat
„Idylla”

Czytelnik
Warszawa
1984

Autobus na trasie Lublin - Malińce włókł się niemilosiernie. W dodatku trząsł. Drobna postać pani Hortensji Wojtasik, odziana w nieskazitelny kostium w czarno-białą pepitkę, chybotąła się na wszystkie strony. Przez zakurzoną szybę dopiekało słońce późnego lata.

Wrzesień za pasem, nie powinno być już tak gorąco pomyślała podróżniczka. Trzymaną w garści batystową chusteczką obtarła kąciki ust i czoło. Po czym usiłowała osłonić twarz rondem czarnej panamy. Nie na wiele się to jednak zdało. Pani Hortensja zrezygnowała więc z wszelkich prób uczynienia podróży mniej uciążliwą. Oparła się wygodnie, przymknęła oczy i raz jeszcze zadała sobie w myśli pytanie, dlaczego z uporem godnym lepszej sprawy co roku o tej porze powraca w tę okolice. - Przyzwyczajenie? Starczy konserwatyzm? Rozumiem jeszcze dawniej, gdy mieszkałam w Lublinie - snuła rozważania - ale taszczyć się aż z Warszawy, i to do tak dziwnego pensjonatu! Za czasów poprzedniej właścicielki był to przynajmniej pensjonat znakomity. Ale jakże teraz podupadł. Pełen biednych, samotnych staruszków, którzy z woreczków lub materaców wysupują resztki oszczędności, aby opłacić względnie dobry wikt i opierunek. Atmosfera żałosna i melancholijna. I w dodatku jak na ironię ta nowa właścicielka - ach, jakaż to pospolita kobieta! - nazwała pensjonat „Idyllą”. Pani Hortensja wzruszyła lekko ramionami. Chcąc jednak przekonać samą siebie, że jej postępowanie nie jest całkowicie irracjonalne, szybko podsumowała dobre strony wakacji w Malińcach.

Piękny las, ogród także, a w dodatku względnie tanio - a przecież nauczycielska emerytura nie majątek!

Autobus warcząc i prychając wtoczył się na maliniecki rynek. Zahamował dość gwałtownie. Pod słupem czekało duże, czarne

indywiduum o twarzy opóźnionego w rozwoju dziecka. Była to Różia, służąca z „Idylli”. Gapiała się w autobus raczej bezmyślnie i dopiero, gdy w drzwiach ukazała się pani Wojtasik, obładowana ogromną ilością drobnych walizeczek i sakwojaży, ruszyła do akcji ofiarnie, aczkolwiek niezbyt zgrabnie.

W końcu udało się jej wyciągnąć z rozpadającego się wehikułu zarówno przyjezdnię, jak i jej bagaż. Przywitały się serdecznie. Różia lubiła starszą panią za jej sympatyczny stosunek do ludzi, za brak zręczenia i częstą wesołość, której przyczyn nie zawsze umiała dociec. Rzuciła nesesery pani Hortensji na taczkę i dwie wybitnie kontrastujące ze sobą postacie ruszyły łukiem przez senny rynek. Minęły kościół i karczmę podążając dalej prostą wybrukowaną kocimi łbami uliczką. Gdy przechodziły koło poczty, pani Wojtasik dostrzegła liliowy tuman szyfonu i zgrabne nogi wchodzące po stopniach tego szacownego urzędu.

- Różia pewnie wie, kto to ta pani?

- A która niby?

- No ta, co zniknęła na poczcie! - Pani Wojtasik nie przypominała sobie tej osoby z poprzedniego pobytu.

- A ta - odparła z flegmą Różia - to nasza nowa. Parę miesięcy jak się do nas sprowadziła z Warszawy.

- Co też Różia powie, aż z Warszawy, tu... do was?

- Z Warszawy. I nikt jej nie lubi. Za młoda chyba do nich, tych staruchów. - Potarła ręką nos z zakłopotaniem.

- Ładnie ubrana, może trochę staroświecko jak na swój wygląd. - Pani Wojtasik z bezbłędną precyzją określiła przyszłą znajomą i po chwili dodała: - Nie wiesz, Róziu, kim ona była, mam wrażenie, że kogoś mi przypomina z dawnych lat.

- Mnie tam nie mówią. .

Minęły pocztę i powoli wychodziły z jednopiętrowej i parterowej zabudowy Maliniec drogą ku „Idylli”.

- A co tam się zmieniło przez ten rok?

- Gdzie? U pani Wieczorkowej?

- W pensjonacie.

- Nic, a co by się miało zmieniać?

- No, wśród pań i panów - wypytywała Hortensja.

- Panowie to nawet jacyś byli... nowi... ale oni zaraz umierają.

- Róziu, kto taki?

- Bazyli, a nazwiska nie znam, jakieś takie trudne było. Teraz tam mieszka ta, cośmy ją na poczcie widzieli.

- A inni? Żyją jeszcze?

- Reszta tak. Kłócą się i żyją, chociaż bez przerwy gadają o nagiej śmierci.

Droga wiała się przez las podszyty gęstymi zaroślami. Tu i ówdzie przez sosnowe, olchowe i brzozowe pnie przeświecało zachodzące słońce. Zapowiadała się piękna jesienna pogoda. Z nadejściem zmroku kobiety doszły do piętrowej, dość obszernej willi o kremowych ścianach nabierających stosownie do pory odcieni szarości. Ani w ogrodzie, ani w północnej fasadzie domu nic się rzeczywiście od zeszłego roku nie zmieniło. W oknach pensjonariusze „Idylli” przypatrywali się intensywnie nowo przybyłej.

- Daniel Pierożyński, generałowa, Olo, Amelia Krukowa... kto tam jeszcze? Ech, wszystko jedno. Istne panoptikum. W sumie pięć tysięcy lat - westchnęła pani Wojtasik.

W tym momencie na progu pojawiła się właścicielka, pani Jolanta Wieczorkowa. Była to kobieta około czterdziestki, pełna pretensji, obwieszona gdzie się dało złotem podrzędnej próby. Jej matowe, przepalane chemikaliami włosy miały kolor słomy. Dość zgrabną figurę oblekała modna pidżama w różnobarwne papugi.

- Witam szanowną panią! Jak podróż? Pewnie wiele kłopotów? - wdzięczyła się z wysokości kilku stopni do zbliżającej się damy.

- Znośna podróż - odparła z lekka zasapana pani Hortensja.

- Dziękuję ci, Róziu, proszę, postaw moje rzeczy w hallu albo zanieś je najlepiej od razu do mojego pokoju Jak zwykle gościnny? - zwróciła się do właścicielki.

- Oczywiście, na lewo od wejścia, na parterze - odparła Wieczorkowa przepuszczając przez drzwi starszą panią. - Jak tylko się pani rozlokuje, proszę na kolację - dodała i uznała,

że formalnościom powitania stało się zadość.

Pani Hortensja zamknęła drzwi za sobą, odsapnęła i zdjęła słomkowy kapelusz. Zatrzymała się chwilę przy oknie. - Pan Eustachy dalej dba o ogród - pomyślała - a przecież to człowiek już sędziwy. - Podeszła do umywalni i chciała zabrać się do mycia rąk, gdy rozległo się dyskretne pukanie. Pani Hortensja bez entuzjazmu odpowiedziała: proszę!

Drzwi wolno uchyliły się i cały zgięty w ukłonie, z siwymi włosami opadającymi na ramiona, z nieodłączną fajką w górnej kieszonce sportowej marynarki, przekroczył próg Aleksander Kucejko. Do całości sylwetki brakowało, ze zrozumiałych względów, jedynie beretu.

- Witam dobrodзикę! Rączki całuję! - i Olo rzucił się do całowania obydwu rąk przybyłej warszawianki.

- Pan Olo jak zawsze pierwszy w ukłonach i hołdach dla dam. Witam malarza, sławę paryskich kafejek. Co się przez ten czas namalowało... zachody czy wschody?

- Raczy pani żarty stroić z nieboraka, pani dobrodзико, gdzie tam sławę... - z rozmarzeniem zaoponował pan Kucejko.

- No, może nie tak wielką, ale sławę! Pędzel jeszcze nadaża za ręką? - Pani Hortensja niepostrzeżenie wycofywała własną dłoń z uścisku malarza.

- Nie chwalący się, zupełnie nieźle, tam do licha, nawet wcale dobrze. Mam zamiar na przykład stworzyć konterfekt pani Natalii.

- Któż to znowu?

- Boska kobieta. Pani Bellówna...

- ... była baletnica, chyba przez pewien czas nawet primabalerina warszawskiej opery...

- Ta sama, łaskawa pani, ta sama. Cóż za nogi, magnifique, wspaniałe...

- Skąd ją pan wynalazł? Myślałam, że już tańczy w niebiosach.

- Od niedawna jest z nami, dobrodзико. Cudowna kobieta.

- Jak wszystkie dla pana, mistrzu!

- Miało się troszkę wzięcia u niewieściego rodu, nie chwalący

się. Pani Hortensja także urzekająco żywotna i miła jak zawsze.

- Urzekająco? Gdybyś mnie pan na chwilę opuścił, to może przy kolacji byłabym jeszcze bardziej urzekająca.

- Och, ja gaduła przekłeta. Umykam i rączki całuję. Rączki dobrodżiki całuję z przeproszeniem za najście.

- Do zobaczenia, panie Olu.

Drzwi zamknęły się za mistrzem. - Zawsze w lansadach, stary kabotyn - mruknęła pani Hortensja i zabrała się rażno do rozpakowywania nesaserów i sakwojaży. Czynność tę jednak przerwał jej dźwięk gongu oznajmiający pensjonariuszom „Idylli”, że nadeszła pora kolacji. Niebawem też zjawiała się pani Jola, aby osobiście poprowadzić gościa do stołu. Zdążyła zmienić papuziastą pidżamę na pseudo wytworną suknię z czerwonej tafty. - Proszę, proszę, droga pani Hortensjo, pani oczywiście usiądzie przy moim stoliku. Niestety, siedzi tam również ta niewydarzona aktorka, Eliza Conti. To już zupełne kuku na muniu - dodała pochylając się konfidencjonalnie nad swoją towarzyszką. - Ale niech pani nie zwraca na nią najmniejszej uwagi.

Panie stanęły na progu przestronnej trzyokiennej jadalni. Hortensja, której krótkowzroczność bynajmniej nie przeszkadzała w dostrzeganiu wszystkich szczegółów, obrzuciwszy błyskawicznym spojrzeniem cztery stoliki stwierdziła z satysfakcją, że są one nakryte schludnie. Nie wszystkie miejsca były jeszcze zajęte. Przy stoliku pod oknem siedział już pełen niecierpliwego wyczekiwania mistrz Olo. Zajęty był również stółik najbliższej drzwi. Trzy osoby podniosły się zgodnym ruchem, aby przywitać się z nowo przybyłą. Pierwsza oczywiście podsunęła się generałowa. Zza bardzo grubych szkieł łypnęły na panią Hortensję zgnilozielone, kompletnie zezowate oczy.

- Przyjechała nareszcie, to bardzo dobrze-zaskrzeczała. - Będzie z kim pograć w inteligencję. Bo z nimi to już nawet w durnia nie można. - Grube pociągnięte wiśniową kredką wargi generałowej rozchyliły się w szyderym uśmiechu, ukazując białe, wyjątkowo zdrowe zęby kontrastujące w osobliwy sposób z jej wymakijażowaną, pretensjonalną

zwiądkością.

- Dobry wieczór, pani Heleno. Oczywiście, od jutra zaczniemy grać. - Hortensja chciała coś jeszcze dodać, ale zamilkła obezwładniona szczerym wybuchem radości pani Jasi.

- Pa, pa, kochana - wołała wdowa po sławnym filozofie, Tedzie Kozicy. Nikt nigdy nie wiedział, dlaczego pani Jasia używała tego zwrotu na powitanie. Ale pani Jasia była w ogóle postacią osobliwą. Niezwykle biegła w wiedzy tajemnej i tak infantylna, że świat jej wyobrażeń nie przekroczył nigdy poziomu sześciolatniego dziecka. Fantazję jej zaludniały wszelkie nadprzyrodzone istoty i zjawiska, jakie kiedykolwiek i gdziekolwiek zostały wymyślone. W rzeczywistości pani Jasi żyły obok siebie zgodnie centaury i święta Tereska, krasnoludki, Budda, żywiołaki i egzotyczni bogowie.

- Dobry wieczór, dobry wieczór - wykrztusiła pani Hortensja wyzwalając się stanowczo z objęć tej dziwnej istoty. Zwróciła się następnie w stronę czekającego swej kolejki pana. Był to mężczyzna niezbyt wysoki, ale proporcjonalny, ubrany w pumpy oraz marynarkę z angielskiego tweedu pamiętającą niewątpliwie czasy przedwojenne. Całując rękę pani Hortensji nisko pochylił swą łysą jak kolano głowę.

- Ach, miła pani - powiedział prostując się i świdrując gościa małymi oczkami przestraszonego ptaka - będzie o czym porozmawiać, istne tu ostatnio infemum. - Odrzuciwszy w tył głowę zarechotał głośno i zgrzytliwie.

- Panie Danielu, życie towarzyskie zacząć państwo od jutra - wtrąciła chłodno pani Jolanta - teraz pora jeść. Nasz gość jest głodny i znużony podróżą. Proszę, pani Hortensjo, do mojego stolika, ale chwileczkę - dodała trzepocząc grubo uczernionymi rzesami - pozwoli pani przedstawić sobie jeszcze naszą nową pielęgniarkę, siostrę Danutę.

Pani Hortensja uściśnęła dłoń młodego, wysokiego stworzenia, rudego jak marchew i piegowatego, niemniej - jak oceniła szybko - nie pozbawionego swoistego wdzięku. W tej chwili zjawily się jeszcze dwie panie. Amelia Krukowa, eks-właścicielka znanego domu mód w Lublinie,

przekroczyła próg sztywno i podnosząc wysoko swą chudą twarz ozdobioną wydatnym garbatym nosem, powitała gościa chłodno i z godnością. Druga, niewielka i żwawa, panna Gabriela Krzeczowska, krygowała się przed nią czas dłuższy potrząsając główką pokrytą pół blond, pół siwymi loczkami i wpatrując się w nią czule oczami koloru nieco spłowiałych chabrów.

Pani Hortensja zniosła wszystko bohatersko. Nareszcie można było zasiąść do stołu. Umieściła się szybko po prawicy właścicielki, w miejscu, skąd można było obserwować całą jadalnię. Wnet zjawily się pokojówki: fertyczna i bystra Zuzia niosąca przed sobą ogromną tacę i ślamazarna Różia, używana na ogół do ostatnich posług. Na każdym stoliku wylądował półmisek przekąsek.

- Bardzo proszę, pani Hortensjo, szynka litewska, pasztet domowy...

Nie danym było jednak Hortensji zbyt szybko zaspokoić głodu. Ledwo bowiem sięgnęła po widelec, aby nałożyć sobie na talerz smakowite wędliny, stanął przed nią istny dziwoląg: postać wielka, grubokoścista, obleczona w coś, co można by porównać z wyleniałym habitem. Na wydatnej piersi pobrząkiwały łańcuchy i amulety, wisiorki ze srebra, koralu i kości słoniowej. Kosmyki siwych, niezbyt czystych włosów opadały na ramiona. Stała tak przez dłuższą chwilę przed panią Hortensją patrząc na nią na wpół przytomnie i poruszając ustami, na których błąkał się dziwny, niby kokieterjny, a straszny uśmieszek.

- Cóż to, nie poznaje mnie pani, pani Elizo? - spytała pani Wojtasik.

- Tak, tak - szepnęła scenicznym głosem artystka uśmiechając się dalej i sadowiąc przy stole. - Poznają panią, poznają, była pani przecież na premierze „Nory”. Ale on - dodała wlepiając oczy w talerz ale on zdradził i odszedł.

- O Boże - westchnęła w duszy pani Hortensja - skleroza uczyniła tu przez rok. całkowite spustoszenie. - Oczywiście, pani Elizo - powiedziała dobitnie - doskonale pamiętam panią w „Norze”. Po czym nareszcie sięgnęła do apetycznego

półmiska. Pensjonariusze z ogromnym zapalem zabrali się do jedzenia. O dziwo, funkcji tej oddala się również z nadspodziewana przytomnością pani Eliza Conti. Wszyscy byli tak pochłonięci spożywaniem darów bozych, że nikt nie zwrócił uwagi na wejście ogrodnika Eustachego Żelazkiewicza a był to przecież mężczyzna nader okazałego wzrostu, aczkolwiek chudy i przygarbiony. Przemknął się cicho na swoje miejsce między pielęgniarką a panią Amelią Krukową, z daleka jedynie kłaniając się pani Hortensji.

Wkrótce półmiski z mięsiwem i salaterki z sałatką zostały dokładnie opróżnione. Przed pensjonariuszami dymiły już kokilki wypełnione zapiekany móżdżkiem, gdy nagle, odczuwalne stężenie atmosfery kazało pani Hortensji podnieść w górę oczy. W progu stała piękna pani, jakby wahając się, czy wejść tanecznym krokiem, czy też złożyć głęboki ukłon zebrany. Od jej czarnej, ozdobnej dżetami sukni odbijała przypięta do głębokiego dekoltu róża. Była liliowa, podobnie jak wyskubane boa, które otaczając strzelistą choć niezbyt świeżą szyję opadało wzdłuż ciągle smukłej sylwetki. Ciemne, nieco zdziwione samie oczy przebiegły szybko po jadalni i na kształtnych ustach pojawił się profesjonalny uśmiech. W pokoju panowała głucha cisza. Zaintrygowana pani Hortensja rozejrzała się wkoło. Obok rozślimaczonego, pełnego zachwyty spojrzenia pana Ola dostrzegła zimne, pełne pogardy i niechęci źrenice kobiet. W bezbarwnych półprzytomnych oczach Elizy Conti zamigotały na sekundę ognie głębokiej nienawiści, po czym znów zasnuły się gęstą, starczą mgłą.

Natalia Bellówna raz jeszcze zrobiła wielkie *entrée*.

*

Zycie w „Idylli” płynęło monotennie i leniwie. Pani Hortensja odpoczywała. Piękna wrześnie pogoda sprzyjała spacerom do pobliskiego lasu. Towarzyszył jej w tym niekiedy pan Daniel Pierożyński. Jako były leśnik czuł się w obowiązku wprowadzać towarzyszkę w tajniki swojej specjalności. Wprawdzie panią Hortensję, będącą fizykiem z wykształcenia a humanistą z zainteresowań, nurzyły nieco fachowe wywody, którymi

częstował ją pan Daniel, ale znosiła je cierpliwie w nadziei, że może i na inne tematy rozgada się jej towarzysz. I nie myliła się. Pierożyński już na drugiej przechadzce, wypowiedziawszy kilka uwag o leśnym poszyciu, przeszedł natychmiast do plotkowania, a właściwie do wygłaszania złośliwości na temat wszystkich pensjonariuszy „Idylli”. Pani Hortensja, tak przecież zawsze ciekawa, słuchała go jednak z pewnym niesmakiem. - Co za zgorzkniały, niemiły człowiek - myślała. Widocznie życie mu się niezbyt udało. Nie powiodła się chyba kariera leśnika, a potem i urzędnika ministerialnego. Został na stare lata sam, gdyż jedyny bliski mu człowiek - syn, znany zresztą skrzypek, niewiele interesował się ojcem. Podczas wszystkich swoich pobytów w Malińcach pani Hortensja widziała go raz zaledwie. Dzieci Elizy Conti także nie znała, a było ich podobno dwoje.

- Co za towarzystwo, droga pani, co za towarzystwo - 'mówił świdrując swoją towarzyszkę ptasimi oczkami. - Te

baby to by siebie nawzajem w łyżce wody potopiły. Kłótniwe, zawistne o wszystko, a najwięcej o powodzenie u brzydkiej płci. Wdzięczą się do nas, że aż strach, ale trzeba pani wiedzieć, że my z panem Żelazkiewiczem nie dopuszczamy do żadnych poufałości. Tylko ten podtusiały lowelas Olo bierze to za dobrą monetę. Na widok tej baletnicy aż pot kroplisty występuje mu na czoło. Oj, chciałaby dusza do raju, i chyba nawet nie miałyby kłopotu, bo ta Bellówna to niezła ladacznica.

- Skądże pan może o tym wiedzieć? - zachnęła się pani Hortensja.

- Droga pani - samych mężów miała trzech.

- To naprawdę jeszcze o niczym nie świadczy, panie Danielu.

- Jeżeli mężowie nie świadczą, to może przekonają panią niemężowie. Było ich ponoć co niemiara. Proszę jej tak nie bronić. Wiadomo, że Bellówna z niczym się nie liczyła, odbijała mężów i kochanków swoim najbliższym przyjaciółkom. Obrzucali ją za to prezentami. Najlepszy dowód ta biżuteria.

- Jaka znów biżuteria?

- O, to pani nie wie, że Bellówna ma bezcenną biżuterię?

- Jeśli ma, to nigdy jej nie nosi oprócz jednej broszki z ametystem w nie najlepszym stanie - odpowiedziała zimno pani Hortensja chcąc przerwać tę niemiłą rozmowę.

- Naiwna z pani kobieta, pani Hortensjo - ciągnął Pierożyński. - Myśli pani, że tu stado baranków mieszka, a to żmije, po prostu kłębowisko żmij. Nigdy nie wiadomo, kogo kiedy utną.

- Stanowczo przesadza pan, również jeśli idzie o moją naiwność. Nie sądzę, aby to było stado baranków, ale są to w końcu ludzie nie pozbawieni wad, trzeba jednak także dostrzegać w nich dobre cechy. Ot, taka panna Gabriela Krzeczowska na przykład. Niechże pan spojrzy, czyż nie jest to uroczą osobą?

Pani Hortensja i Daniel Pierożyński przekroczyli właśnie bramę wjazdową i przed oczyma ich ukazał się widok łąki sielankowej. Na ogromnym trawniku przed pensjonatem podrygiwała odziana w krótkie szorty postać. Słońce lśniło w złotych, starannie ułożonych loczkach. - Błękitna bluzeczka, błękitne oczka, błękitne niebo - pomyślała z rozbawieniem pani Hortensja.

„Ty pójdziesz górą, ty pójdziesz górą,
a ja doliną...”

dobiegł ich cieniutki, nieco drżący głosik

Pan Daniel skrzywił się. - Rzeczywiście, dobre sobie, dziewczątka niewinne kwiatki zbiera. Ofelia siedemdziesięcioletnia! Cnota jej chyba na główkę uderzyła! Chociaż ostatnio - he, he, he - odbija sobie, zdaje się, lata posuchy.

- Tego już za dużo, panie Danielu - zaoponowała ostro Hortensja. - Panna Krzeczowska jest osobą godną szacunku, przez całe życie wykonywała zawód nauczycielki...

- ... jaka tam nauczycielka. Guwernantką była po dworach, jaśnie państwu się wysługiwała i tyle. Gdzieżby to taki ptasi mózdzek potrafił czegoś dzieci nauczyć?

Pani Hortensja odwróciła się bez słowa i ruszyła w stronę

domu. Przysięgła sobie przy tym, że więcej z Pierożyńskim na spacer nie pójdzie. - Paskudny, stary plotkarz - myślała. Ale swoją drogą, ta niebieskooka Gabrysia w szortach, zbierająca kwiatki - to niesłychanie śmieszny widok.

*

Do stałego zwyczaju należała poobiednia gra Hortensji z generałową w inteligencję. Panie, uzbrojone w kartki i ołówki, udawały się w tym celu do zacisznego buduaru za salonem. Generałowa uwielbiała grać we wszystko. Najchętniej widziałaby, jak to bywało za życia generała, zielony stolik, trzech wytwornych partnerów i siebie z wypiekami na twarzy licytującą co najmniej szlemiki. Niestety, nie te czasy! W „Idylli” nikt w brydża nie grywał. Wobec tego generałowa oddawała się namiętnie grze w inteligencję. O swojej umysłowości miała bardzo dobre mniemanie, na prawo i lewo chwaliła się posiadaniem doktoratu nauk historycznych, choć nikt tego właściwie serio nie traktował. Niemniej była kobietą jak na swoje lata dość bystrą i zupełnie dobrze grałaby w inteligencję, gdyby miała innego partnera. Ale Hortensja Wojtasik była w tej zabawie bezkonkurencyjna. Toteż biedna generałowa złoszcząc się, kłócąc o każde słowo, nieodmiennie przegrywała.

Osobom postronnym, które przebywały w sąsiednim salonie, posiedzenia obu pań wydawały się niekiedy co najmniej dziwne. Świadcami wyjątkowo zażartego pojedynku stali się któregoś dnia pani Amelia Krukowa z panem Olem Kucejką. Najpierw dotarł do ich uszu skrzek generałowej: „pierwsze - w, ostatnie - a. Gdyby przedłużyć, mogłaby dotrzeć do nieba”.

- Wariatka! - zasyczała Amelia Krukowa zaciskając i tak już wąskie wargi.

- Winda! - padła natychmiast odpowiedź pani Hortensji.

- Skąd wie, na pewno podglądała - złościła się generałowa.

- Nie podgląda, tylko myśli, co nie każdemu się udaje - odrzekła z olimpijskim spokojem wygrywająca i ostrzegawczo podniosła palec do góry.

- No, już dobrze. Niech teraz mówi: pierwsza - r, ostatnia -

k.

- Książd albo nieprzyjemność - padło związane określenie.

Nastąpiła długa cisza. Zaintrygowany Olo zajrzał przez uchylone drzwi do buduaru. Generałowa skrobała się ołówkiem po ufarbowanej na kasztan i zaondulowanej na bardzo trwało głowie. Na jej obliczu malował się ogromny wysiłek umysłowy, oczy zezowały w dwójnasób.

- Nie wiem - wyznała w końcu pokornie.

- Robak - powiedziała dobitnie jej partnerka.

Pan Olo wymknął się cichcem, aby nie patrzeć na sromotną porażkę doktora nauk historycznych. Ale pani generałowa szybko otrząsała się z poniesionych klęsk. Woląla przegrywać niż nie grać wcale. A przy okazji można było pani Hortensji poopowiadać różne pikanterie, poskarżyć się na mieszkańców „Idylli”. Starsza pani nie oszczędzała specjalnie nikogo. Z przekąsem wyrażała się o rzekomej urodzie i talencie Bellówny uparcie twierdząc, że słynne nogi baleriny są po prostu krzywe i że nigdy nie potrafiła poprawnie wykonać grande jetée. Główne jej ataki były jednak skierowane w stronę dwóch innych osób. Pierwszą z nich była znieawidzona i głęboko pogardzana współlokatorka, Amelia Krukowa. Bowiem ze względów oszczędnościowych panie te musiały dzielić wspólny pokój. Drugą - kucharka Pelagia, która w żaden sposób nie mogła dogodzić wyrafinowanemu podniebieniu pani generałowej.

- Ten garkotłuk chce mi zaimponować - mówiła z oburzeniem. - To po prostu kpiny! Kiedy miałam wyjść za mąż za generała Kaczorowskiego - ciągnęła - zapisałam się w Petersburgu do bardzo ekskluzywnej szkoły kulinarnej. Uczyli mnie najprzedniejsi francuscy kucharze, a moimi koleżankami były panny z najznakomitszych rodów. Toteż generał Kaczorowski wziął sobie żonę naprawdę biegłą w tej sztuce. Trzeba przyznać zresztą, że nieboszczyk w pełni to doceniał Oj, bywały, bywały u nas przyjęcia! A taka z nie wiedzieć jakiej Koziej Wólki chce mi udowodnić, że umie gotować!

Pani Helena Kaczorowska istotnie gotowała znakomicie. Do

kuchni jednak Pelagia jej nie wpuszczała. Zdarzało się więc generałowej pichcić na maszynie u siebie, na piętrze. Ale każde tego rodzaju przedsięwzięcie kończyło się dziką awanturą z panią Krukową, która oskarżała swoją współlokatorkę o psucie powietrza kuchennymi wyziewami i zarzucała jej ciężki grzech łakomstwa. Ta z kolei wypominała jej palenie papierosów we wspólnej sypialni.

*

Po południu pani Hortensja lubiła spędzać czas w ogrodzie na tyłach domu lub na tarasie otaczającym półkolistą ścianę salonu. Czasami przysiadła się do niej Bellówna. Owinięta w staromodne boa lub liliowe szale, zawsze trochę roztargniona i tajemnicza, mówiła na tematy obojętne patrząc przy tym w przestrzeń. Niby ciągle ładna, niby młodsza od innych, a jednak - pewne drobne luki pamięci, pewne przelotne zamglenia oczu wzbudziły w Hortensji podejrzenia, że lata obeszły się wprawdzie nader łagodnie z ciałem pięknej Natalii, lecz nie oszczędziły jej umysłu. Wkrótce miało się okazać, że pani Wojtasik miała rację. Primabalerina dość często ubrana w wytworny choć znoszony liliowy kostium z aksamitnymi klapami i ogromny słomkowy kapelusz ozdobiony pękiem sztucznych fiołków, oznajmiała, że jedzie do banku i znikwała na czas dłuższy. Chociaż z początku w „Idylli” nie obywało się bez domysłów co do wysokości konta Natalii Bellówny i bez złośliwych komentarzy na temat pochodzenia owych pieniędzy, to jednak z czasem wszyscy przywykli do wypraw primabaleriny i nikt nie przywiązywał do nich większej wagi. Wiedziała o nich również pani Hortensja. Toteż gdy siedząc pewnego słonecznego ranka na ławce w alei wjazdowej ujrzała Bellównę w stroju „podróżnym”, pomyślała, że znów na pewno jedzie do banku i że ma dziś wyjątkowo głupawy wyraz twarzy. Zresztą po chwili zajęła się czymś innym, a właściwie kimś innym, ponieważ ledwie baletnica zniknęła za bramą, ukazała się w niej pani Jasia. Miała na sobie złoto-czerwoną suknię, na którą narzuciła czarny koronkowy szal. Szła drobnym kroczkiem trzęsąc w obie strony główką ozdobioną czarnym

aksamitnym turbanikiem. Kiedy podeszła bliżej, pani Hortensja zauważyła, że w turbanik wpięta była złota broszka przedstawiająca wieloręką boginię. Pomyślała również, że pani Jasia musiała być śliczna, ale teraz coraz bardziej trzęsie główką i że prawdopodobnie stąd pochodzi specyficzna jej wymowa polegająca na dziwnym przeciąganiu i nagłym urywaniu słów.

- Wracam z kościółka - oznajmiła radośnie pani Kozić. -
- Tak było ślicznie! I widziałam księdza wikarego. Napisał nową operetkę.

- Jak to? - zdziwiła się Hortensja. - Ksiądz wikary z Maliniec jest kompozytorem i to w dodatku lekkiej służy muzyce?

- To pani nie wiedziała? — wykrzyknęła pani Jasia. - Przecież cały Paryż śpiewa jego operetki.

Pani Wojtasik uśmiechnęła się pod nosem, ale nie skomentowała tej rewelacji. Spytała jedynie, czy to na okazję tego spotkania pani Kozićowa tak ładnie się ubrała.

- Ja całe życie starałam się tak ubierać, tak z hiszpańska biedermeier.

Pani Wojtasik z trudem zachowała powagę.

- A czy była pani kiedyś w Hiszpanii? - zagadnęła.

- Nie, nie byłam. Ted był sam - zafrasowała się pani Jasia, ale tylko na chwilę. Zaraz bowiem dodała z entuzjazmem - ale jeszcze pojedę. Kupię sobie samochód i zacznę podróżować. Koniecznie muszę zwiedzić Hiszpanię, Gruzję i Indie.

Pani Hortensja słuchała z prawdziwym zdumieniem.

- Ależ pani Jasiu, samochody są bardzo drogie - zauważyła.

- Niedługo wydam wszystkie dzieła Teda i wtedy będę mogła kupić sobie samochód. Nauczę się prowadzić i pojedę do Hiszpanii i do...

- No tak, no tak - przerwała Hortensja. - Na razie jednak będzie pani miała z pewnością dużo roboty z wydaniem tych dzieł. W tym momencie uświadomiła sobie, że wprawdzie świętej pamięci Ted Kozica był wielce uczonym, za to niezbyt produktywnym filozofem. Właściwie opublikował jeden jedyne traktat pod tytułem „Metafizyka nagej

rzeczywistości”.

- Tak - przyznała wdowa po filozofie - ja w ogóle muszę jeszcze przed tym dużo rzeczy zrobić. Tak gorąco - zdjęła aksamitny toczek i położyła go na kolanach. Włosy jej były kruczoczarne, rozdzielone pośrodku przedziałkiem. Przylegały ściśle do chwiejącej się głowy, co niewątpliwie należało przypisać kleistym właściwościom pokrywającej je niezbyt równo farby, a może raczej mazidła.

- A co pani musi jeszcze zrobić? - spytała nie bez zainteresowania pani Wojtasik.

- Muszę wyrzeźbić Kopernika. W czarnym kryształ. Ten kryształ trzeba przywieźć z Chin.

Pani Hortensja nie wierzyła własnym uszom. - Czyż pani umie rzeźbić, pani Jasiu?

- Umie. Jak byłam panną, to rzeźbiłam i tańczyłam na lodzie. Ale potem Ted mi nie pozwalał. Musiałam mu wszystko poświęcić. To był taki wielki człowiek. Tak mi bez niego smutno.

A że wciąż piękne czarne oczy jej rozmówczyni rzeczywiście jak gdyby zaszklily się łzami, Hortensja wróciła szybko do Kopernika. Pani Jasia ożywiła się.

- Tak. Musi być z czarnego kryształu i prawą rękę wznosić do góry, będzie nią zatrzymywał słońce.

Tu pani Kozicowa podniecona własną wizją zerwała się z ławki i wznosząc w górę prawą rękę wyciągnęła władczo wskazujący palec niczym Bóg Stworzyciel Michała Anioła z Kaplicy Sykstyńskiej. - A drugą ręką - ciągnęła z entuz- jazmem - drugą rękę...-Nie bardzo wiedziała, jak to określić, ale z ruchu rozcapierzonych palców jej opuszczonej dłoni wynikało niedwuznacznie, że Kopernik z czarnego kryształu będzie drugą ręką podkręcał Ziemię.

Pani Hortensja była zafascynowana. Nim jednak zdążyła skomentować pomysł, przed bramą posesji zatrzymała się taksówka. Szofer wysiadł szybko i otworzył tylne drzwiczki. Natalia Bellówna w nieco przekrzywionej panamie wysiadła bez słowa.

Pani Jasia zapomniała o Koperniku. Siadła z powrotem na

ławce i obserwowała bacznie niemą scenę. Primabalerina z niezwykle godną miną przeszła obok obu pań udając, że ich nie widzi. Wkrótce zniknęła za frontowymi drzwiami. Natomiast do ławki zbliżył się szofer.

- Moje uszanowanie paniom - uchylił czapki. - A tamta, to rzeczywiście tu mieszka?

- Mieszka - odpowiedziała pani Hortensja.

- Zaraz tak sobie pomyślałem. Gdzież by to mogło takie dziwadło mieszkać? To znaczy, hmm, taka niemłoda już osoba - zmytygował się.

- Czyż ona nie powiedziała, gdzie mieszka? - zapytała pani Wojtasik.

- A gdzie tam! Wsiadło mi to do samochodu w malinieckim rynku. Wypindrzone takie i każe się do banku wieźć. Do jakiego?-pytam. A ona nic. „Do banku”-mówi. I tyle. To ja pytam: gdzie ten bank? W Lublinie? Na to ona się jeszcze rozzłościła. - „Nie wie pan, gdzie bank?” - krzyczy. No to ja dawaj w stronę Lublina. Ale po jakimś czasie znów się pytam. A ona znowu swoje: do banku i do banku. Widzę, że nieklawo z nią. W dodatku taka to może człowiekowi i nie zapłacić za kurs. Wtedy sobie pomyślałem, że ona ani chybi z tej „Idylli”, od Wieczorkowej. I przywiozłem. Ale zapłacić - nie zapłaciła.

- Ja panu zapłacę - powiedziała Hortensja otwierając torebkę i dziękuję panu.

Szofer zainkasował pieniądze, skłonił się nisko i pośpieszył w stronę taksówki. Pani Hortensja zirytowana trochę tym wydarzeniem spojrzała na swoją sąsiadkę z ławki. Ze zdziwieniem stwierdziła, że na zwykle tak łagodnym obliczu pani Jasi maluje się coś w rodzaju satysfakcji. Trzęsąc jeszcze bardziej niż zwykle głową powiedziała w sposób jak na siebie nieoczekiwanie normalny: - Dobrze jej tak, to wstrętna kobieta.

*

Wieczory w „Idylli” były na ogół spokojne. Pensjonariusze wcześniej kładli się spać. Czasami jeszcze przez jakiś czas dochodziły z góry podniesione głosy generałowej i krawcowej, ale i one koło dziesiątej milkły. Wówczas to zaczynała grasować

zjawia. Eliza Conti w wyciągniętych z lamusa teatralnych kostiumach krążyła po uśpionym domu odgrywając swoje dawne role. Niegdyś potrafiła wchodzić zniechcąco do pokoi pensjonariuszy przyprowadzając ich tym samym o przyspieszone bicie serca. Teraz jednak wszyscy zamykali się na klucz. Tak więc sceną, na której toczyły się dramaty, były przede wszystkim schody, korytarze i salon Pani Hortensja też stała się kiedyś widzem niecodziennego przedstawienia. Czytała spokojnie w salonie, kiedy uchyliły się drzwi i na progu stanęła Maria Stuart:

„I tu znów Henryk! Henryk przede mną w tej sali!
Widziałam go przed chwilą, był blady i chory.
A teraz takie jasne na licu kolory,
Jakby żył jeszcze - oko płomieniem się pali...”

Conti zrobiła parę kroków w kierunku siedzącej na kanapce Hortensji, wyciągnęła prawą rękę przed siebie zastygając w pozie o tyle dramatycznej co wyjątkowo niewygodnej, zwłaszcza dla pani Wojtasik, przed której twarzą znalazły się wyschnięte i powykręcane reumatyzmem palce artystki. Drzwi do ogrodu były otwarte i spływający z głowy Elizy welon, obsyty sztucznymi perłami, falował z lekka. Zaczesane do góry włosy wymykały się spod niego niechlujnymi kosmykami. Nieruchoma postać recytowała dalej...

„Precz! Precz ode mnie! Szukasz ślubnego pierścienia?
Oto go masz! Już odejdz. Nie jestem twą żoną.
Ach Henryku! Henryku! nie znasz ty sumienia
Dręczyć tak duszę tyłą mękami dręczoną!...
Ach! zlituj się nade mną - jestem nieszczęśliwa!
Chcesz może widzieć moje udręczenie, nędzę,
Patrz na twarz moją - z oczu strumień spływa;
Lecz ja tu cierpię, przysięgam! Nie wierzysz przysiędze?
Wszak jeszcześ słowom moim ufał przed godziną.”

- Pani Elizo - powiedziała łagodnie Hortensja Wojtasik -

dziś za mało jest publiczności, niech pani idzie spać, a w niedzielę zrobimy może przedstawienie dla większego grona.

Conti przestała być Marią Stuart. Usiadła obok swego jedyne go widza, podparła głowę ręką i sprawdziła w lustrze wiszącym na przeciwległej- ścianie, czy jej poza prywatna jest równie malownicza. Tremo nie miało jednak wiele do powiedzenia biednej Elizie.

- Dobrze... bardzo... dobrze - odpowiedziała z aktorską pauzą między wyrazami. Jej oczy zaczynały znowu cokolwiek rozumieć. - Zagram jeszcze niejedną rolę - dodała pani Conti i dość żwawo wstała. Trzeba przyznać, że zachowała proste plecy. Zrobiła kilka kroków po dywanie, obróciła się i dodała na pożegnanie: - Zdradził i odszedł! Skierowała się do wyjścia, a w momencie, gdy kładła rękę na klamce, spojrziała na panią Hortensję trochę przebiegle, a trochę jakby kończąc scenę:

- Róże... czerwone... przyniósł do garderoby. To był cały pęk. Na jednej jaśniał platynowy romb z czarną perłą i czarną emalią. Wspaniały pierścień smutnej miłości.

*

W piątek rano panowało w „Idylli” wyjątkowe podniecenie. Co przezorniejsi zajmowali miejsca w oknach wychodzących na aleję, którą miał nadejść Janusz Wróblewski, miejscowy lekarz. Raz w tygodniu przyjmował pensjonariuszy i wtedy cała piękna, a raczej niegdyś piękna pleć, rzuciła się na biednego doktora. Nie pozostawała w tyle także pani Jola Wieczorkowa. Trudno się dziwić, bowiem doktor był okazałym mężczyzną: wysoki, szeroki w ramionach, o silnym, prawie granatowym zaroście i takichże włosach z lekka falujących, zaczesanych do góry.

Lekarz nadszedł jak zwykle punktualnie i tłum staruszek pognał truchcikiem pod gabinet znajdujący się w prawym skrzydle na parterze. Pierwsza przy drzwiach znalazła się generałowa, dziś jeszcze bardziej wymalowana, patrząca zwycięskim zezem na pozostałe za nią rywalki. W końcu ogonka sły chać było podniesiony głos pana Daniela Pjerożyńskiego wszczynającego kłótnię z Natalią Bellówną.

Drzwi do gabinetu otwarły się i stanęła w nich siostra Danuta w wyjątkowo pogodnym nastroju.

- Proszę, pani generałowo. Jak się pani czuje po tych proskach, które przepisał pan doktor?

- Nic dobrego. Trudno powiedzieć, żebym odczuła poprawę. Łamie mnie już cała noga i biodro. Już lepiej robią mi ziółka tej Jasi, ona ma na wszystko odpowiednie napary.

Doktor mył tymczasem ręce.

- Dzień dobry, pani Heleno - lekarz pokazał w uśmiechu piękne zęby. - Znowu się pani na mnie skarży, cóż ja mogę poradzić, jeżeli pani irytuje się o każde głupstwo. To bardzo źle wpływa na stany newralgiczne.

- Taki młody lekarz nie może wczuć się w sytuację schorowanej kobiety.

- Ależ łaskawa pani, mam już blisko czterdzieści lat!

Zbieżne oczka generałowej Kaczorowskiej utknęły na owłosionym torsie, widocznym w wycięciu jakby trochę za małego dla doktora fartucha.

- Zmierzymy tętno. Stawy ma pani całkiem w normie, nie są rozsadzone. Siostró Danuto, proszę przygotować receptę. Damy pani generałowej olejek do smarowania. Trzeba będzie wcierać w stawy.

- A kto to robi, mam za słabe ręce! O, proszę, całe życie były słabe.

- Siostra Danuta zapewne pomoże pani.

- Tak, panie doktorze. Proszę do mnie przychodzić, pani Heleno, przed spaniem.

Pod drzwiami gabinetu panie zaczynały się niecierpliwić. Prym wiodła oczywiście Amelia Krukowa.

- I cóż ona tak długo zawraca głowę biednemu doktorowi. Już piętnaście minut ją bada.

- Widać lekarz lubi sfery wojskowe - wtrącił uszczypliwie Daniel.

- Zaszuszonej mumii - nie dawała za wygraną właścicielka domu mód. - To wstrętne, tak podsuwać zwiędłe ciało młodemu mężczyźnie. Ja pozwalam sobie tylko na zmierzenie pulsu i ogólne badanie, bez rozbierania się. Trzeba mieć

trochę wstydu.

Po wyjściu generałowej przez gabinet doktora Wróblewskiego zaczął przesuwać się cały korowód pensjonariuszek i pensjonariuszy, za wyjątkiem Żelazkiewicza. Doktor zapisywał nieodmiennie proszki, smarowidła i mikstury, czasem jakieś pepsynki na apetyt lub krople Inozieimcowe. Pod koniec wizyt Janusz Wróblewski był wystarczająco zmęczony. Monotonia przypadków, starcze narzekania, ciągle te same swary o leki, umizgi -przykrzyły mu się ponad miarę. Jedynie stan Ola Kucejki budził pewne zaniepokojenie lekarza. Siostra Danuta starała się rozproszyć te niepokoje plotkami o intensywności życia malarza, które mogło nadwreżyć jego zdrowie.

Koło południa doktor Wróblewski zamykał swój niewielki gabinet i ruszał do domu. Życie w „Idylli” wracało do swojej codziennej monotonii.

*

Pani Hortensja, jako jedyna osoba z „Idylli” pozbawiona afektu do doktora i zupełnie nieciekawa niesnasek w kolejce oczekujących na badanie, wymknęła się przez salon do ogrodu. Stała chwilę na stopniach tarasu nie mogąc zdecydować się, dokąd ruszyć. Wreszcie zesza żwirową ścieżką idącą pośród różanych krzewów skosem w sam róg posesji, gdzie stał domek, niegdyś przeznaczony dla służby lub ogrodnika, nikt zresztą nie pamiętał starych dziejów śmiesznego pawiloniku. Dziś rezydował tutaj pan Żelazkiewicz, nie cieszący się sympatią ogółu ani też o nią nie zabiegający. Hortensja dzielnie zapukała do oszklonych drzwi wejściowych. Wewnątrz panowała prawie zupełna cisza i tylko z oddali dobiegające szuranie nogami świadczyło o obecności kogoś żywego.

- Kto tam?

- Chciałam poprosić pana o parę astrów.

Drzwi uchyliły się powoli, długa sylwetka Żelazkiewicza zdawała się przebijać sufit ciemnego przedpokoju.

- Proszę, może pani pozwoli do środka.

Hortensja nie byłaby sobą, gdyby skwapliwie nie skorzystała z zaproszenia. Mimo iż ogrodnik zajmował domek już od wielu

lat, pani Wojtasik nie znała dotychczas jego wnętrza. Mały - wszystko tu było jak gdyby w zmniejszonej skali - pokoik, do którego gospodarz wprowadził gościa, pełnił funkcję gabinetu. Na ścianie gospodarz powiesił wspaniały inkrustowany miedzią napierśnik, pod nim skrzyżowane dwa rapiery i jeden buzdygan. Zupełnym zaskoczeniem dla Hortensji były dwa okazałe beżowe rajery wetknięte za zbroję w miejscu ramion. Pani Wojtasik powstrzymała się od natarczywych pytań. W przedpokoju zobaczyła przecież także dwa olbrzymie miecze, jeden zapewne Zerwikaptur dla Podbipięty, drugi dla Żelazkiewicza... ale te rajery? Ogrodnik „Idylli” posadził gościa na prostej i dość ubogiej jak na te militarne wspaniałości otomanie, a sam poszedł spełnić życzenie pani Hortensji.

Pozostawiona samej sobie dawna nauczycielka mogła uważnie rozejrzeć się po gabinecie. Mrużąc oczy dostrzegła na jesionowej sekretarce małą mizerykordię, służącą zapewne do rozcinania kopert lub książek, które dość szczelnie wypełniały cały ten mebel i kilka sąsiednich półek. Wrócił jednak ogrodnik i lustracja została przerwana. Przyniesione przez niego kwiaty były we wszystkich odcieniach pastelii, z rozczapierzonymi, wąskimi płatkami zupełnie bezbronnymi przed zbliżającą się szarugą jesieni. Żelazkiewicz dostrzegł w oczach Hortensji nie ukrywany, autentyczny zachwyty. I tak rozpoczęła się rozmowa o kunsztach starego ogrodnika, któremu niegdyś wrócono karierę naukową w dziedzinie botaniki.

*

Po dwudziestym wrześniu słoneczna dotąd pogoda zaczęła się powoli psuć. Lato miało się ku końcowi. Piękny ogród „Idylli” coraz częściej spowijały mgły. Melancholijny nastrój jesieni nie sprzyjał humorom pensjonariuszy. A może po prostu wyzierająca zewsząd wilgoć wzmagala reumatyczne dolegliwości starszych państwa. Zaprzestano nawet plotek i swarów. Samotni starzy ludzie bezwiednie szukali w sobie nawzajem oparcia. Posmutniała również pani Hortensja. Zatęskniła do córki, wnuka i do nowego sezonu w stolicy. Spacerując pewnego ranka alejkami pokrytymi warstwą

pożółkłych liści postanowiła w najbliższym czasie opuścić gościnne mury pensjonatu. - Dość tego, Hortensjo - pomyślała - czas rozstać się do następnego roku z tym dziwnym i żalonym miejscem.

Nazajutrz jednak deszcz rozpadał się na dobre. Pani Hortensja nie bardzo lubiła podróżować w czasie takiej pogody. - Poczekam, aż przestanie padać - zdecydowała. Skoro jednak przez następne dni nieodmiennie lało, w niedzielę, dwudziestego dziewiątego września pani Hortensja zaczęła od rana gorączkowo pakować walizki. Przy tych czynnościach zastała ją Jola Wieczorkowa.

- Niechże się pani jeszcze zatrzyma, choćby do jutra - prosiła. - Może skończy się ta plucha.

- Do jutra? - zastanowiła się pani Wojtasik - No, do jutra chyba jeszcze wytrzymam, ale dłużej na pewno nie! - fuknęła.

- Tak chciałabym z panią porozmawiać, pani jest takim doświadczonym pedagogiem - prosiła pokornie właścicielka „Idylli”.

- A co? Kłopoty z syneczkiem - raczej stwierdziła, niż zapytała pani Wojtasik.

Wieczorkowa zawahała się przez chwilę, w końcu przybrawszy jedną ze swoich kokieteryjnych min, szepnęła nieśmiało:

- To takie biedne dziecko, chowane bez ojca.

- Czyż matka się już nie liczy? - odpowiedziała nieco patetycznie Hortensja, która sama wcześniej owdowiała.

- Zrobiłam dla niego wszystko, co mogłam - broniła się Wieczorkowa - A on ... ja tylko pani mogę to powiedzieć. Błagam, niech pani do jutra zostanie.

Pani Wojtasik zgodziła się, acz niechętnie. Obie panie umówiły się na rozmowę po kolacji.

Nim jednak nadszedł wieczór, w „Idylli” dało się wyczuć nieokreślone podniecenie. Czy była temu winna paskudna aura, czy też spracowane serca mieszkańców pensjonatu źle znosiły gwałtowne skoki ciśnienia, dość na tym, że wybuchła nieoczekiwana awantura.

Olo Kucejko wyprowadzony z równowagi chyba po raz

pierwszy w życiu wypadł z roli ugrzecznionego lowelasa. Bez wątpienia zawiniła tu Natalia błakająca się w rozdrażnieniu po całym domu. Olo chciał zająć wybranke swego talentu przy pozowaniu do portretu. Zrobił tę propozycję wyjątkowo niezręcznie i to w dodatku w obecności panny Krzeczkovskiej. Obie kobiety poczuły się dotknięte. Natalia wzruszyła tylko ramionami i lekko uniosła lewą brew. Pannie Gabrysi jeszcze bardziej zmarszczył się nosek. Patrząc w dywan szybko wyszła z salonu.

- W jakim świetle pan mnie przedstawia, wypraszam sobie podobne propozycje! W dodatku ta biedna Krzeczkovska gotowa sobie nie wiem co pomysleć! Wybrał pan porę, nie ma co mówić! Może jeszcze chciałby pan malować mnie w paczce i w baletkach, w ... cielistym trykocie?!

- Ależ, pani Natalio, uwielbiam i ... mam prawo... jestem malarzem... pani jest taka piękna...

Kucejko plątał się w niezdatnych usprawiedliwieniach. Do tego zjawil się Pierożyński, niepożądany świadek upadku mistrza pędzla. Zatem Kucejce nie pozostawało nic innego, jak schronić się w swoim pokoju. Nie mógł się jednak powstrzymać, aby nie trzasnąć drzwiami.

*

W czasie kolacji zaczął padać lepki deszcz, czasem zacinający w szyby jadalni, czasem rozmazujący się po szkle bezgłośnie. Nikt nie miał ochoty na robienie efektownych wejść, nikt też nie przebierał się stosownie do pory.¹ Bellówna znalazła się pierwsza przy stole. Później reszta domowników w zważonych nastrojach zasiadła do kulebiaku, na domiar złego przypalonego przez Pelagię. Rózia i Zuzia usługiwały bez przekonania, przypominały senne muchy łączące pomiędzy białymi serwetami. Jedynie Wieczorkowa z nieodmiennym uśmiechem starała się robić dobry nastrój. Potrząsała bransoletami, szczebiotała i w nadmiernej gestykulacji błyszcząca całą tęczą pierścionków.

Generałowa z miejsca odsunęła kulebiak i poprosiła o

herbatę. Siedzący obok niej pan Daniel pracowicie skrobał przypalony spód ciasta. Po przeciwnej stronie pokoju jadalnego siedziała samotnie Amelia Krukowa. Żelazkiewicz nie zjawił się na kolacji, a siostra Danusia, jak zwykle w niedzielę, miała wolne popołudnie. Wyjechała do Lublina obiecując, że wróci wieczornym autobusem. Przy stoliku Oli, Bellówny i panny Gabrysi panowała martwa cisza.

Kolacja wyjątkowo szybko dobiegła końca i towarzystwo natychmiast rozeszło się po pokojach. Ostatnie opuściły stolik pani Wojtasik i Wieczorkowa. Z pokoju jadalnego przeszły do leżącej naprzeciwko kancelarii właścicielki. Był to pokój niewielki, urządony dość powściągliwie, ale nie bez gustu. Duże biurko, obite ciemnoczerwoną skórą krzesła, stary zegar, oszklona szafa biblioteczna wypełniona głównie encyklopediami, słownikami i starymi rocznikami „Pani”. Beletrystyki raczej tam nie było, na co zresztą bardzo uskarżali się mieszkańcy pensjonatu. Jedyнным frywolnym akcentem była wisząca na ścianie reprodukcja „Szału” Podkowińskiego. - To już na pewno ona powiesiła - skomentowała w myśli pani Hortensja i szybko rzuciła okiem w stronę uchylonych drzwi do prywatnego apartamentu pani Joli. Zdołała zobaczyć jedynie otomanę pokrytą ogromną ilością kolorowych poduszek, na szczycie których w niedbalej pozie spoczywała lalka płci męskiej.

Psiakrew! Pierrot! Coś podobnego! - pomyślała pani Wojtasik.

W tym momencie Wieczorkowa zamknęła drzwi do swojej sypialni sumitując się, że z powodu nieporządku nie może tam Hortensji zaprosić.

Pani Wojtasik musiała zrezygnować z dalszych oględzin wytwornego wnętrza. Pełna rezygnacji usiadła na sztywnym skórzanym krześle i nastawiła ucha nieskładnym zwierzeniem swojej gospodyni.

- Jednym słowem, uczyć się nie chce - przerwała w pewnym momencie.

Pani Jolanta już chciała otworzyć usta, aby wystąpić w

obronie syna, kiedy odezwał się stojący na biurku telefon. Hortensja odruchowo spojrzała na wskazówki zegara. Było piętnaście po dziewiątej. Wieczorkowa zachnęła się:

- Któż to może dzwonić o tej porze? - Podniosła słuchawkę.
- Halo? Tak - dodała po chwili. Po czym zamilkła i w miarę słuchania na jej twarzy zaczęło się malować niedowierzanie przechodzące stopniowo w popłoch. - Dobrze, czekam - wykszusiła wreszcie i odłożyła słuchawkę. Spojrzała na Hortensję niezbyt przytomny: i wzrokiem.

- Na miłość boską! Co się stało, pani Jolanto!?

- Bellówna - powiedziała łamiącym się głosem właścicielka „Idylli” - Bellówna nie żyje... zaraz tu będzie policja.

*

Sierżant Grzyb kręcił galką radioodbiornika i wpatrywał się w maleńką półkolistą skalę fosforyzującą bladym zielonkawym światłem. - Cholera - mrucał pod nosem - zaraz zacnie się „Lwowska Fala”, piszczy jak diabli, a tam Szczepcio leci.

W istocie, z okazałego aparatu radiowego wydobywały się jedynie wycia, potępiénce zawodzenia. Mundurowy denerwował się coraz bardziej.

- No, proszę... prawie za pięć dziewiąta, pogłupieli w tym radio czy pogłuchli?

Drewniana balustrada z półotwartą furtką odgradzała radioamatora od reszty ponurego pomieszczenia posterunku w Malińcach. Jak na niedzielny wieczór dyżur zapowiadał się przygnębiająco. W dodatku, mgła za oknami separowała sierżanta od reszty świata wyjątkowo szczelnie.

Mimo to z piskiem dolatującym z radioodbiornika zmieszał się warkot silnika. W chwilę potem do smętnego pomieszczenia wpadł mężczyzna.

- Panie posterunkowy, niech pan biegnie ze mną... tam, w moim aucie kobieta... stara, ale może jeszcze żyje... przejechałem!

Grzyb poderwał się na równe nogi, jakby wyrwany z głębokiego snu.

- Co? Gdzie? Mów pan do licha składniej!

- Nie ma czasu, później, na litość boską! Później!

Obaj wypadli z pokoju. Sierżant chwycił czapkę i zbiegł po paru stopniach na ulicę. Mizerna żarówka nad wejściem dawała światło o wiele za słabe, aby w szarym mleku mgły zobaczyć coś więcej niż sylwetkę jasnego auta, porzuconego prawie prostopadle do chodnika. Lewy reflektor był stłuczony. Mundurowy szarpnął tylne drzwiczki. Na siedzeniu leżała kobieta w rozpiętym płaszczu burberry, jedna jego połowa spadała na podłogę samochodu odsłaniając niemodny już ciepły kostium w kolorze wrzosu, opinający szczelnie smukłą postać. Rozsypane czarne włosy były w jednym miejscu sklezione. Chuda, upierścieniona ręka kobiety zawisała w powietrzu. Z drugiej strony podkurczone nogi ledwo mieściły się na siedzeniu. Sierżant cofnął się na chodnik i cichutko gwizdnął.

- Aleś pan trafił kobitę, musiała być kiedyś ładna. Ja ją znam z widzenia. Chodziła tutaj, zawsze wystrojona, dumna, nigdy z nikim nie gadała na rynku. Mówili, że wariatka z „Idylli”.

- Panie, co pan teraz głowę zawraca domysłami. Trzeba jej pomóc. Jest w tej dziurze lekarz?

- A po co on panu?

- Głupie żarty. Nie mnie, jej!

- Jej ksiądz może pomóc, to już nie nasza parafia. Bierzmy ją na posterunek.

Właściciel kremowej limuzyny zatrzasnął drzwi i podtrzymując nogi ofiary postępował pokornie za mundurowym. Ciało położono na ławie w sąsiedniej celi. Następnie sierżant wychylił się przez lufcik i krzyknął w ciemność:

- Pani Heniu! Leć pani po Kowalskiego! Mamy wypadek!

Z podwórza ktoś odpowiedział, po czym zadudniły oddalające się kroki. Grzyb wszedł za balustradę, zamknął za sobą furtkę i rozpoczął urzędowanie.

- Pana nazwisko?

- Kalinowski! Inżynier Jerzy Kalinowski, lat 48, mieszkam w Lublinie, przy ul. płk. Lisa-Kuli 3. Proszę, oto moja legitymacja.

- Żonaty?
- Tak. Dwoje dzieci. Czy to już wszystkie personalia?
- Na razie. Jaki był przebieg wypadku?
- Jechałem po pracy...
- W niedzielę?
- Czasem trzeba i w niedzielę... z budowy tartaku w Pustowoli. Sprawdzałem szalunki fundamentów...
- Do rzeczy, panie inżynierze. Szkoda czasu.
- Wyjechałem już po ciemku. Szosa mokra, musiałem szczególnie uważać wjeżdżając w las. Po dziesięciu minutach jazdy deszcz przeszedł w lepką mgłę, gęstniejącą z każdą chwilą. Kostka była bardzo śliska.
- Myśle - mruknął sierżant i zagapił się.
- Pisze pan dalej?
- Dobra, dobra. Niech pan mówi. Ołówek skrobie, psiakrew, trzeba by zatemperować.
- Dalej szosa skręcała w lewo, potem w prawo. Dojeżdżałem właśnie do kolejnego zakrętu, reflektory prawie nic nie pomagały. Tuż za zakrętem, w ostatnim momencie zobaczyłem jakąś postać. Było już za późno na hamowanie. Instynktownie skierowałem auto w prawo chcąc wyminąć tę kobietę z lewej. Miękkie pobocze odbiło mi kierownicę, samochód szarpnął i postać ^niknęła z hukiem pod lewym błotnikiem.
- Ale się pan urządził, inżynierze. Ta ćma i żadnego świadka!
- Właśnie że była jeszcze druga postać, także w płaszczu. Kiedy zatrzymałem auto i wyskoczyłem na szosę, ta druga osoba już zniknęła, pobiega w las. W tych nerwach nawet jej się nie przyjrzałem. Wyciągnąłem ostrożnie ofiarę spod auta i umieściłem ją na tylnej kanapie. Chyba jeszcze żyła. Nie wiem na pewno, byłem w szoku. Resztę pan zna, sierżancie.
- Posterunkowy Grzyb złożył papiery, wyrównał ręką nie zapisane arkusze i podniósł słuchawkę telefonu uderzając kilkakrotnie w widełki.
- Z Komendą Wojewódzką w Lublinie, panno Bożenko! Szybko! - rzucił w słuchawkę. - Tak zaczekam. Halo! Sierżant

Grzyb z posterunku policji w Malińcach melduje o wypadku przejechania kobiety.

- Nie macie co robić? - odpowiedział głos z Lublina. - Wybraliście się w taką psią pogodę.

- Nie moja wina. - I tu posterunkowy opowiedział przebieg wydarzeń.

- Tak, przyjąłem. Przyślemy wam kogoś. Zatrzymajcie inżyniera. Niech przenocuje gdzieś w Malińcach. Czy on był pod muchą? Sprawdźcie! Rano będziemy u was.

Jeszcze nie skończyła się służbowa rozmowa z Lublinem, gdy na posterunek wkroczył plutonowy Bronisław Kowalski. Spojrzał na inżyniera Kalinowskiego, który przygnębiony siedział na mało wygodnym krześle i palił papierosa.

- Ładny gips — zagadał nowo przybyły policjant swego szefa.

- Nie rozsiadaj się. Najpierw pójdziesz na miejsce wypadku... Gdzie to było dokładnie? - sierżant rzucił pytanie w stronę inżyniera.

- Jakieś sto, sto pięćdziesiąt metrów przed tym pensjonatem, na pierwszym zakręcie.

- Zrozumieliście, plutonowy?

- Tak jest, panie sierżancie!

- Później zajdziecie do pensjonatu i sprowadzicie tu właścicielkę, Wieczorkową. Zgoda? Uprzedzę ją o waszym przybyciu.

- Znam - odpowiedział zdziwiony tym służbowym tonem plutonowy.

Po wyjściu Kowalskiego zapanowało milczenie. Inżynier palił jednego papierosa po drugim, tak że wkrótce cały posterunek przypominał raczej wędzarnię niż pomieszczenie służące porządkowi publicznemu. Mgła nie rzedła i minęły prawie trzy kwadransy, zanim plutonowy Kowalski wrócił z ostentacyjnie lamentującą Wieczorkową, która uniosła brwi i zdziwionymi oczami szukała zwłok swojej pensjonariuszki.

- To tam? - wskazała na drzwi prowadzące do celi. W tym momencie dostrzegła mężczyznę w trenczu. - Przystojny - oceniła w mgnieniu oka.

- Tam. Może pani wejść. Kowalski, przynieśliście jakieś dokumenty denatki?

- Cały pokój my przewrócili, zanim się znalazły. Pani Wieczorkowa to już nawet myślała, że zginęły! Przez to zmarudziliśmy tyle czasu - plutonowy wyjął z raportówki papiery i położył je przed zwierzchnikiem.

Pani Jolanta jakby trochę się ociągając z przekroczeniem progu celi zamienionej na kostnicę, grzebała nerwowo w torebce. Wreszcie wyciągnęła chusteczkę i ruszyła we wskazanym kierunku, ale do ośrodka nie weszła. Zatrzymała się przy drzwiach, przytknęła chusteczkę do ust. Przez chwilę stała nieruchomo, trudno było odgadnąć, o czym myśli, potem odwróciła się i skinęła głową.

- To jest pani Bellówna. Straszna sprawa, co za nieprzyjemność! Ucierpi na tym reputacja mego domu. Zawsze wiedziałam, że jej spacery źle się skończą...

- Zeznania złoży pani jutro przed sędzią śledczym - z zawodową obojętności przerwał narastający potok słów sierżant Grzyb. - Pani jest wolna.

Wieczorkowa oniemiała na skutek nieoczekiwanego zwrotu posterunkowego, tym bardziej że znali się już sporo lat. Pomyślała tylko, że cham na urzędzie jest rzeczą wysoce niemiłą. Powiedziała „dobranoc” i wychodząc spojrzała jeszcze raz na inżyniera.

Wkrótce nadjechała karetka z lekarzem sądowym. Rumiany grubasek wyskoczył rażno z samochodu, przywitał się przelotnie z policjantami i zniknął w celi. Badanie zwłok trwało krótko. Lekarz wyszedł i oznajmił:

- Zgon denatki nastąpił mniej więcej dwie godziny temu. Przyczyną było złamanie podstawy czaszki i ogólny uraz głowy powodujący wylew do mózgu. Trzeba przyznać, że gdyby ktoś chciał ją precyzyjniej załatwić, to przy- wiele więcej mógłby działać.

Inżynier siedział ciągle nieporuszony. Nawet na tę mało dowcipną uwagę doktora nie zareagował. Pielęgniarze wynieśli ciało do karetki i posterunek wrócił do swego normalnego stanu prowincjonalnego uśpienia. Inżynier Kalinowski wstał

bez słowa opuszczając sierżanta i plutonowego.

*

Pani Wojtasik nagle poczuła się bardzo samotna i niepewna w tym dużym, uśpionym domu, który wydał się jej całkowicie pusty. Jednak nurtowały ją rozmaite pytania: przede wszystkim - co robiła Natalia Bellówna o tak późnej porze na szosie? Czyżby po nocy jechała do banku? Czemu skłamała mówiąc po kolacji, że idzie spać?

Postanowiła podzielić się z kimś swoimi wątpliwościami. Pomyślała przede wszystkim o spokojnej, rozsądnej i młodej siostrze Danusi. Musiała już chyba wrócić z Lublina. Cichutko podeszła do drzwi jej pokoju obok gabinetu lekarskiego i zapukała. Odpowiedziała jej głucha cisza. Zapukała mocniej, ale rezultat był ten sam. Nacisnęła klamkę, drzwi nie ustąpiły. - Czyżby spała tak mocno? - pomyślała pani Hortensja - czy też jeszcze nie wróciła? Ciemna noc, nie daj Boże, jeszcze drugi wypadek...

Postanowiła rzucić okiem na szklaną gablotkę koło frontowych drzwi, w której mieszkańcy „Idylli” wychodząc z domu zostawiali klucze. Klucza od pokoju pielęgniarki jednak nie było. Poczowała się jeszcze bardziej nieswojo. Nie zastanawiając się, po co, wróciła pod drzwi siostry Danuty. Zatrzymała się bezradnie, nie wiedząc, co dalej robić. Ze szpary przeciwległych drzwi sączyło się światło.

Pani Jasia nie śpi - pomyślała z pewną ulgą. Podeszła i zapukała. Za drzwiami coś zaszeleściło i zatupotało, po chwili odezwał się charakterystyczny głos:

- Kto tam?

- To ja, Hortensja, czy mogę wejść na chwilę?

Odpowiedź: „proszę” - poprzedziło krótkie wahanie.

Pani Wojtasik weszła do pokoju przepełnionego silnym zapachem suszonych ziół i zastawionego ogromną ilością ładnych starych mebli pomieszanych z bezwartościowymi gratami. Zarówno nie rozesłane łóżko, jak krzesła, komody i fotele zarzucone były częściami „biedermeierowsko-hiszpańskiej” garderoby. Na ścianach święte obrazy wisiały obok

egzotycznych pejzażów oraz wizerunków tybetańskich i malajskich bóstw. Nad wszystkim dominował naturalnej wielkości portret Teda Kozicy. Znakomity filozof stał z dumnie podniesioną głową i wysuniętą dolną wargą. Jego niezbyt urodziwe oblicze okalały wspaniałe, łącie mickiewiczowskie baczki. Pani Hortensji wydało się przez moment, że łypnął na nią porozumiewawczo. - Apage satanas - pomyślała i zwróciła się w stronę gospodyni. Pani Jasia stała pośrodku pokoju całkowicie ubrana. Na pomarańczową flanelową suknię włożyła gruby, nie pasujący do jej stylu sweter.

- Nie śpi pani o tej porze? - zapytała Hortensja.

- W taką mglistą noc trudno zasnąć. Elfy wtedy wychodzą.

- W taką mglistą noc zdarzają się także okropne wypadki, pani Jasiu - powiedziała dobitnie Hortensja Wojtasik. - Właśnie była tu przed chwilą policja. Natalia Bellówna wpadła pod auto na szosie. Nie żyje.

Oczy pani Kozicowej zrobiły się zupełnie okrągłe.

- Co pani mówi? To takie okropne! - wykrzyknęła łamiącym się głosem, po czym stwierdziła znacznie spokojniej: - To kara boska za grzechy tej kobiety. Ona obrażała Pana Jezuska.

- Niemniej przecież szkoda człowieka. - Pani Hortensja doszła do wniosku, że nie ma tu czego szukać. Dodała więc:

- Wieczorkowa poszła na posterunek zidentyfikować zwłoki. Rano wszystko nam powie. A teraz połóżmy się już. Dobranoc, pani Jasiu.

Wychodząc mimo woli spojrzała na drewniany stojak z miednicą.

Po co ona myje się w pokoju, skoro naprzeciw jest łazienka? - zastanowiła się. Jeszcze raz obrzuciła wzrokiem stojak. Miał u dołu półeczkę. Stały tam różne flakony i słoiczki o tajemniczej zawartości, a między nie wepchnięto parę grubych butów pokrytych świeżym, mokrym jeszcze błotem.

- Kara boska - powtórzyła pani Jasia.

- Dobranoc. - Pani Hortensja wyszła z pracowni czarnoksiężniczki pełna sprzecznych uczuć. Wróciła do swojego pokoju. Położyła się do łóżka i zgasiła światło. Sen jednak nie

przychodził. Myśli krążyły wokół wydarzeń tego dziwnego wieczoru. Wydało się jej w pewnym momencie, że gdzieś blisko skrzypnęły drzwi.

- Już mam chyba omamy słuchowe, zbyt ulegam nastrojom na stare lata - wyszeptała do siebie. - A może to jednak elfy? - Pani Hortensja uśmiechnęła się mimo woli. Uspokojona nieco przymknęła oczy i zapadła w pierwszy sen, gdy dotarł do niej odgłos otwieranych drzwi frontowych i kroków w hallu. - To chyba pielęgniarka? - w głębi duszy martwiła się o siostrę Danusię. Kroki jednak ucichły w lewym skrzydle. Wieczorkowa wróciła - stwierdziła pani Hortensja - ale do mnie nie zaszła. Trzeba będzie poczekać do rana.

*

Wczesnym rankiem, jeszcze mgła nie zdążyła opaść, gdy przed posterunek w Malińcach zajechał samochód lubelskiej policji. Wysiadło z niego dwóch ubranych po cywilnemu mężczyzn. Jeden średniego wzrostu, o krępej sylwetce i sprężystych ruchach, drugi - wysoki blondyn o isticie polskim typie urody. Sędzia śledczy Sylwester Pińczykowski i porucznik Waldemar Antkowiak wstępując po schodach posterunku byli pewni, że ich pobyt w tym miasteczku nie potrwa długo.

Przywitał ich sierżant Grzyb, złożył meldunek i przedstawił pokrótce wydarzenia ubiegłej nocy. Kowalski, który także niedawno nadszedł, błąkał się po posterunku nie wiedząc, co robić. Obecność gości z województwa wybiła go z normalnego trybu zajęć.

- Ciekaw jestem, jak długo będziemy czekać na inżyniera? - powiedział bezbarwnym głosem sędzia' patrząc przez dawno nie myte szyby na podwórze.

- Pewnie zaraz nadejdzie - odpowiedział sierżant niepewny, czy to w ogóle nastąpi. - Miał być przed ósmą. Śpieszył się do domu.

Sędzia widać nie lubił siedzieć beczynnie, bo zabrał się do wypytywania plutonowego Kowalskiego:

- To pan był na miejscu wypadku?

- Tak jest! Posłał mnie tam sierżant Grzyb - mało roztropnie

odpowiedział zagadnięty.

- No, i co pan tam znalazł, panie plutonowy?

- Właściwie to nic. Było kilka odłamków szkła od reflektora tej tatry.

- Skąd wiecie, że od tatry? Jesteście specem, od samochodów? - dość ironicznie włączył się do rozmowy porucznik Antkowiak.

- Specem, to może i nie... napis z latarni można było poskładać. Tu mamy te kawałki. Czechoslovakia - nie dał się zbić z tropu Kowalski.

- Sprawdzaliśmy - dodał starszy rangą posterunkowy.

- Pasują do auta Kalinowskiego.

- Dobrze, dobrze. Co jeszcze pan znalazł?

- Nic więcej. Była tylko głęboka koleina, ślad po kole na poboczu, trochę zygzakowaty. Widać było, że zatańczył¹, jak się omsknął z tej kostki. Chłapa była i ćma straszna.

- Żadnych innych śladów nie wypatrzył plutonowy? - wtrącił się znowu energiczny porucznik.

- Mówiłem, mokro... deszcz lał tego wieczora, wszystko wsiąkło w ziemię, nawet kałuży krwi po denatce by nie znalazł.

- A mogła być, ta kałuża? - nie rezygnował Antkowiak.

- Panie poruczniku, przecież ona to chuchro, gdzie tam mogła krwawić? Nie miała ran. Dostała błotnikiem - i po krzyku.

W tym momencie wszedł inżynier Kalinowski. Był blady. Widać było, że nie spał i nie miał czym się ogolić.

- Mamy wreszcie sprawcę wypadku - oznajmił za głośno sierżant.

- Jestem Kalinowski. Przepraszam, jeżeli panowie zbyt długo czekali.

- Sędzia śledczy Sylwester Pińczykowski z Lublina, a to porucznik Antkowiak. Rzeczywiście, czekaliśmy na pana, inżynierze. Może przystąpimy od razu do wyjaśnień. Jest pan gotów złożyć zeznanie?

- Jestem do panów dyspozycji.

- Pana dane personalne już mamy. Opuśćmy zatem te

wstępne formalności - sędzia rozpoczął przesłuchanie. - Sierżant zapoznał nas z protokołem pańskich zeznań. Interesuje mnie, czy pan ma jeszcze coś do dodania, inżynierze?

- Wczoraj nie przeczytałem tego protokołu, byłem zdenerwowany.

- Proszę, niech pan się teraz z nim zapozna - wręczył drobno zapisany papier. Kalinowski przebiegł oczyma pierwsze linijki i zatrzymał się.

- Tu opuszczono istotny fakt. Ja chyba mówiłem, że na drodze były dwie osoby, a tego nie ma w protokole. Dlaczego to opuszczono?

- Wydawało mi się wątpliwym pana zapewnienie o istnieniu świadka - bronił się sierżant Grzyb.

- Na przyszłość niech pan własne sądy oddziela bardziej starannie od zeznań - skarcił go sędzia zwracając się jednocześnie do Kalinowskiego. - Niech pan mówi dalej.

- Ta druga postać była także w płaszczu, tylko ciemnego koloru, nim zdołałem połapać się w sytuacji, ona wykonała jakiś nieokreślony ruch... jestem prawie pewien, że pchnęła tę kobietę pod moją tatrę.

- Czy zdaje pan sobie sprawę z wagi tego stwierdzenia? Ono diametralnie zmienia obraz całości?!

- Oczywiście! I mogę potwierdzić przysięgą swoje zeznanie. Przemawia za mną szybkie zniknięcie tej postaci w ciemnym płaszczu.

- Chciał pan raczej powiedzieć: za tą wersją - wtrącił z kąta Antkowiak.

- Za prawdziwością mego zeznania - poprawił się inżynier. - Panowie pozwolą zapalić?

- Naturalnie. Ja nie palę, dziękuję - odparł na gest Kalinowskiego sędzia. Inżynier zdenerwowaniu zapomniał poczęstować reszty zebranych. - Zdaje pan sobie sprawę - powtórzył Pińczykowski - że udowodnienie tej wersji będzie wyjątkowo trudne. Nie sądzę, aby domniemany morderca sam zgłosił się do nas i potwierdził pańskie słowa...

- Przecież za coś bierzecie pieniądze!

- ...gdyby to była prawda - ciągnął sędzia śledczy - pan, inżynierze, nie odpowiadałby w ogóle. Czy zatem nowa wersja nie jest dla pana wygodniejsza? Przed chwilą powiedział pan, że jest „prawie pewien”. Chodzi mi właśnie o to „prawie”. Miał pan czas przez noc przemyśleć całą sprawę. Normalnie odpowiada pan za nieumyślne spowodowanie wypadku, którego konsekwencją była śmierć Natalii Bellówny. Lepiej trochę zmienić zeznanie i oczyścić się całkowicie.

- Jakie zmienić, jakie zmienić, chwileczkę, przecież sierżant nie zaprzeczył memu wczorajszemu stwierdzeniu o tym, że mam świadka, a prawie pewien jestem, że ten świadek właśnie popełnił przestępstwo. Waszym obowiązkiem jest zbadać wszystkie okoliczności sprawy. Ja nie mam nic więcej do dodania i obstać przy tym zeznaniu, które zresztą nie różni się w niczym od wczorajszego.

- W takim razie będzie pan musiał jeszcze pofatygować się z nami na wizję lokalną. Pan, sierżancie, niech idzie spać, na posterunku zostanie Kowalski.

Samochód ruszył z piskiem opon. Trzej mężczyźni milczeli, tylko inżynier wskazywał gestem kierunek policyjnemu szoferowi. Na drodze nie opodał pensjonatu „Idylla” nie pozostały oczywiście żadne ślady. Miejsce wypadku można było ustalić jedynie po rozpląniętej mocno koleinie. Rozkiszłe deszczem pobocze, porośnięte w dodatku krótkimi trawami, skrętnie kryło tragedię eks-tancerki. Sędzia zwolnił zatem Kalinowskiego i kazał go odwieźć do Maliniec. Gdy pozostał sam z Antkowiakiem, zagadnął: - No, i co myślisz, Waldek, o tym inżynierze?

- Łże, to jasne. Boi się mamra, nie chce bulić odszkodowania spadkobiercom.

- Nie byłbym taki pochopny w sądach. On mógł widzieć kogoś, kto na wyjeżdżający z zakrętu samochód zareagował gwałtownym ruchem. Czy ja wiem, choćby chciał zasłonić oczy przed blaskiem światła. Kalinowski mógł ten ruch zarejestrować i dorobić mimo woli całą historię. Potem ta osoba widząc, co się stało, uciekła do lasu, nie każdy lubi patrzeć na ludzi pod kołami.

- Po mojemu nie było żadnej drugiej osoby-skonstatował Antkowiak. - Zwyczajny wypadek, jakich dziesiątki na drogach. Jeżdżą po wariacku, a my marnujemy czas na szukanie wiatru w polu.

Porucznik mimo to przypatrywał się uważnie krzakom i pierwszej linii drzew ociekających jeszcze kroplami wody. Las wydawał się mało zachęcający do spacerów. Był pełny jeszcze oparów mgły. Antkowiak, choć wyjątkowo skrupulatny w pracy, z pewnym wstrętem przeczesywał gęstwinę odchodzącą od drogi. Z szosy dobiegł go głos zwierzchnika:

- Waldek, jak skończysz, zajdź do pensjonatu, ja tam teraz idę. Posłuchamy, co lokatorzy „Idylli” opowiedzą nam o wczorajszym dniu.

Wysoka postać ślizgała się na opadłych liściach, gałęziach, potężnych korzeniach tkniętych jakby reumatyzmem, tak poskręcanych i sękatych. Trzeba było wlepić oczy w to podłoże szukając przysłowiowej igły w stogu siana. Las, który na ogół niechętnie odkrywa ludziom swoje tajemnice, tym razem ustąpił przed porucznikiem.» Antkowiak schylił się, pogrzebał palcami i wyciągnął spod olszyny nikłą poszlakę, bransoletkę z miedzi pokrytą znakami kabalistycznymi czy jakimiś hieroglifami. Musiała być niedawno zgubiona i to w biegu, o czym świadczyła tkwiąca w niej ułamana gałązka.

*

Leniwie, jak gdyby ociągając się, wstawał ranek trzydziestego września. Pelagia zasnęła. - Panienko Najświętsza, już za dziesięć siódma - jęknęła i nie tracąc czasu na staranniejszą toaletę, zaczęła szybko przyoblekać swoje zażywnie ciało. Narzekając pod nosem na łamanie w kościach, poczłapała na dół z pierwszego piętra, gdzie zajmowała mały pokój obok pani Bellówny, do swojego królestwa w suterenie. Na domiar złego ogień nie chciał się rozpalić. - Jak ten pijanica zdun nie przyjdzie przed zimą, to się człowiek chyba wścieknie - gderła. Kuchnia dymiała. Było zimno i wilgotno. Źle zaczął się dla Pelagii poniedziałek.

Zuzia wpadła do kuchni jak piorun. - Pani Pelasiu, pani

Pelasiu - wołała od progu - czy pani już wie?

- A co mam niby wiedzieć, że się ta choroba dymi?

- Ależ pani Pelasia nic nie słyszała? Panią Bellównę zabiła taksówka!

Kucharka rozdziawiła usta.

- Wszelki duch Pana Boga chwali. Coś ty, Zuziu, rozum postradała?

- Jak Boga kocham! Wczoraj wieczorem wyszła na szosę i taksówka ją przejechała. Całe Malińce o tym mówią. A piekarczowa powiedziała nawet, że to auto, to jakiś odmieniec prowadził. Ale ja w to nie wierzę - dodała roztropna pokojówka.

Pelagia przeżegnała się na wszelki wypadek.

- Ty, Zuźka, leć do pani Wieczorkowej. Może ono nic nie wie...

- E tam, nie wie - odezwał się od progu głos zaspanej, flegmatycznej Rózi. - Mówili, że sama w nocy nieboszczkę inde... idyfi...

Stanowczo było to zbyt trudne dla Rózi słowo, zamilkła więc, machnąwszy tylko dużą, czerwoną łapą.

Zuzia nie namyślała się długo. Pobiegnęła przeskakując po dwa stopnie na górę, do pani Joli. Właścicielka „Idylli” była już ubrana. Nie przespana noc odkryła tak zwykle starannie maskowaną sieć zmarszczek. Ucieszyła się na widok swojej ulubionej pokojówki, zaraz też zaczęła beładnie przekazywać jej wydarzenia poprzedniego wieczora.

- Najgorzej, Zuziu, że niedługo trzeba będzie im wszystkim o tym powiedzieć - skarżyła się.

- O to niech panią głowa nie boli. Zaraz oblecę pokoje i z nimi pogadam.

- Dobrze, Zuziu, jesteś kochana. Nie chodź tylko do pani Wojtasik, .ona o wszystkim wie - jęknęła Wieczorkowa.

Śniadanie w „Idylli” było oczywiście spóźnione. W dodatku Rózia upuściła pod drzwiami tacę zastawioną jajkami na miękko. Nic chyba jednak nie było w stanie bardziej poruszyć szepczących gorączkowo pensjonariuszy. Nie spodziewali się w tym domu jakichkolwiek zmian, sensacji, wydarzeń nie

przewidzianych skostniałym rytuałem dnia, podobnego do każdego z poprzednich. Toteż towarzystwo - najpierw zaskoczone - rychło przeszło do stanu ekscytacji. Nikt nie pamiętał o śniadaniu. Pan Olo siedział z wypiekami na twarzy starając się nie patrzeć na pannę Gabriellę. Generałowa przechylona szeptała coś do Daniela w pozie pełnej pokory, a Jasia, z trudem opanowując kiwanie głowy, nastawiała ucha w ich kierunku. Żelazkiewiczowi za to wyraźnie drżały ręce. Przy stoliku pod oknem Amelia Krukowa siedziała Szttywno, poruszając bezgłośnie wąskimi wargami, nie spuszczała przy tym oka z zebranych w jadalni. Jedynie Eliza Conti, jakby zupełnie nieświadoma wagi wydarzeń, oczekiwała spokojnie na śniadanie. Natomiast siostra Danusia, blada, ale doskonale opanowana, starała się zmienić tę atmosferę jej zdaniem niezdrawą dla staruszków.

- Proszę państwa - odezwała się - wierzę, że jest nam wszystkim przykro z powodu okropnego wypadku. Bardzo mi żal pani Bellówny. Państwu chyba też, musicie jednak dbać przede wszystkim o własne zdrowie. Bardzo więc proszę zjeść porządnie śniadanie, jeśli ktoś po jedzeniu będzie czuł się nadal podenerwowany, służę kroplami uspakajającymi.

I sama, chcąc dać przykład, zabrała się do jedzenia. Przemówienie pielęgniarki nie na wiele się jednak zdało. Zrazu powoli i nieśmiało zaczęły jednak padać komentarze i bzdurne pytania kierowane do pani Joli.

- Nic nie mogę powiedzieć ponadto, co państwo wiedzą ^zapewniła właścicielka pensjonatu.

Wobec tego podjęto rozważania na temat spadku po pani Natalii. Przy czym temat ten tak ożywił zebranych, że rozmowa stała się wręcz głośna. Amelia Krukowa, która zdążyła zapomnieć o modlitwie, podeszła do Wieczorkowej i zasyczała:

- A co z pokojem? Może się pani nareszcie zgodzi ... żebym nie musiała dłużej z taką osobą ...

Nie zabierająca dotąd głosu Hortensja zirytowała się: - Przecież to chyba nie najważniejsze w tej chwili, pani Amelio. W końcu zginął człowiek!

- Człowiek - wycedziła ironicznie Krukowa - zresztą, ja nie

do pani się zwracałam, lecz do pani Wieczorkowej - i odeszła godnie do swojego stolika.

Hortensja Wojtasik starała się coś jeszcze powiedzieć, ale zagłuszył ją panujący już na dobre gwar. Olo jękając się mówił o portrecie, brylantach i nogach. Panna Krzeczowska starała się wszystkim udowodnić, że Bellówna roztrwonila swoją fortunę na hazard i rozpustę. Przemówiła nawet pani Jasia, bełkotała znów coś o karze boskiej oraz o tym, że ludzie są dzisiaj niedobrzy i dlatego centaury się im nie pokazują. Ale nikt jej nie słuchał. Generałowa wzięła ster w swoje ręce i zadecydowała, że należy komisyjnie otworzyć pokój Natalii i dokonać inwentaryzacji jej dóbr. Wszyscy zerwali się ochoczo, wstrzymał ich jednak podniesiony głos Wieczorkowej.

- Proszę się natychmiast uspokoić! Nie mają państwo prawa tego robić! To należy do policji.

- Policja? Po co policja? - pytali pensjonariusze zmitygowani nieco ostrym wystąpieniem pani Jolanty.

Jakby w odpowiedzi w drzwiach stanęła barczysta postać Pińczykowskiego.

- Przepraszam, która z pań jest właścicielką pensjonatu? - spytał.

Wieczorkowa opanowała się natychmiast i przybrała uwodzicielską minę.

- To ja.

- Będę musiał chwilę z panią porozmawiać - stwierdził nieczuły na kokieterię sędzia śledczy. - Jestem Sylwester Pińczykowski z Lublina.

- Ależ, proszę bardzo, panie sędzio. Proszę tędy.

Nowo przybyły odwrócił się jeszcze od drzwi dodając:

- Z państwem też chciałbym potem zamienić kilka słów. Proszę nie wychodzić z domu.

Sędzia został wprowadzony do buduaru.

- Chyba tu będzie nam najwygodniej. Słucham pana.

Pińczykowski usiadł. Wyglądził dwoma palcami cienki wąsik à la Adolphe Manjou.

- Pani Jolanta Wieczorkowa, prawda?

- Tak jest, panie sędzio - zatrzepotała na wszelki wypadek rzesami.

- Od jak dawna jest pani właścicielką pensjonatu?

- Od trzech lat.

- A pani Bellówna kiedy u pani zamieszkała?

- Niedawno. Kilka miesięcy temu. Chwileczkę... od pierwszego kwietnia.

- Znała ją pani przedtem?

- Nie. Ktoś znajomy polecił mi ją. Miałam akurat wolny pokój na górze i zgodziłam się.

Pani Jolanta zaplotła na kolanach palce, eksponując długie, pociągnięte wiśniowym lakierem paznokcie.

- A co pani o niej wie?

- Niewiele, doprawdy niewiele. Była baletnicą. Samotna osoba, choć - jak mówią - miała trzech mężów.

- Żyją?

- Nie wiem. Chyba nie - odpowiedziała Wieczorkowa spuszczać oczy.

- A jaki jest jej stan majątkowy?

- O, ona chyba nie była bogata.

- Hmm. - Sędzia zamyślił się na chwilę. - Kto tu u pani mieszka. Proszę wymienić łącznie ze służbą.

- A więc kucharka. Mieszka na górze.

- A pokojówki? Widziałem dwie.

- Nie. One przychodzą z Maliniec. Jeszcze jest pielęgniarka. Mieszka na dole.

- Dobrze. A pensjonariusze?

Pani Jolanta coraz bardziej zdziwiona wymieniła nazwiska wszystkich swoich podopiecznych. Na końcu napomknęła o przebywającej tu od niespełna miesiąca pani Hortensji Wojtasik.

- A teraz, niech pani mi powie, tylko niech się pani dobrze zastanowi... Czy Natalia Bellówna miała tu jakichś wrogów? Kogoś...

- Ależ, panie sędzio - przerwała pani Jola - nie bardzo rozumiem... Takie pytania... przecież to zwykły wypadek?!

- Nie wiem, czy zwykły - odpowiedział sucho Pińczykowski.

Zawahał się - zobowiązuję panią do zachowania tego, co za chwilę powiem, wyłącznie do swojej wiadomości. Otóż, Jerzy Kalinowski twierdzi, denatka została pod koła wepchnięta.

Pani Wieczorkowa utkwiała w twarzy policjanta rozwarła szeroko oczy. - To znaczy - zaczęła - to znaczy, że... ależ nie, to niemożliwe... to byłoby potworne... czy pan sobie wyobraża, czym byłoby to dla mnie. Panie - zawołała rozpaczliwie - ja pana błagam, niech pan nie nadaje tej sprawie rozgłosu! To dla mnie ruina! Tyle włożyłam pieniędzy w ten pensjonat, tyle pracy, starań... dziecko mam na utrzymaniu... Wie pan, jak trudno samotnej kobiecie.

Tu pani Jola nie wytrzymała, by - mimo autentycznego wzburzenia - nie przybrać pozy bezradnego kobieciątka.

- Proszę pani - odparł sędzia śledczy - niepotrzebnie się pani w tej chwili denerwuje. Zaręczam, że na razie nie będziemy nikomu udzielać informacji. Ale musi nam pani pomóc. Niech więc pani odpowie na moje pytanie.

- O tych wrogów?

- Tak.

- Nikt jej tu nie lubił, to prawda, ale żeby aż tak - nie wyobrażam sobie.

- Dobrze. A może mi pani powiedzieć, co pani robiła wczoraj począwszy od ósmej wieczór?

- Jak to? Nie rozumiem?

- Przecież mówię wyraźnie. Wczoraj od godziny dwudziestej?

Na twarz Jolanty Wieczorkowej wystąpił krwisty rumieniec. - Co za insynuacje?! - spytała prowokacyjnie.

- Niczego nie insynuuję - Pińczykowski był już trochę rozdrażniony. - Ja się tylko pytam. Nie wiem, czy rozumie pani powagę sytuacji. Muszę wszystko sprawdzić.

- Proszę bardzo - powiedziała obrażonym tonem - od godziny ósmej aż do przybycia policjanta siedziałam z panią Wojtasik w swojej kancelarii.

- Na razie dziękuję. Proszę mi po kolei przysyłać wszystkich mieszkańców „Idylli”. Zacniemy od służby, potem pielęgniarka i pensjonariusze.

- Jak pan sobie życzy, panie sędzio - odpowiedziała Jola i z podniesioną głową opuściła pokój.

*

Pińczykowski został sam. Nim nadeszła następna osoba, wstał, przeszedł się po pokoju, zatrzymał się na chwilę przy oknie. Popatrzył na dobrze utrzymany ogród, na pawilon w głębi i rozkołysany las za ogrodzeniem. Od bocznej furtki, znajdującej się na tyłach domku ogrodnika, szedł właśnie Antkowiak. Do pokoju wpłynęła tymczasem gruba Pelagia, zdyszana i podniecona.

- Skaranie boskie, z tymi ludźmi - zaczęła nie pytana. - Stare to wszystko, a złe, zawistne, jakby sto lat mieli żyć.

- Pani jest tu kucharką, prawda? - przerwał ten potok słów.
- Od jak dawna?

- Za tamtej pani jeszcze byłam. Państwo inne się zjeżdżało, teraz wszyscy mają fiksum dyrdum.

- Lubiała pani Bellównę?

- Co tam miałam lubić albo nie. Specjalnie mnie nie wadziło, było spokojno, tylko tako zamyślono o innym świecie.

- A Wieczorkowa ją lubiała? - sędzia patrzył uważnie na pulchną twarz kucharki.

- Pani czegoś tam zazdrościło tej baletnicy. Nie wiem, pokojówki gadały, że żyło jak szumowino... miało niby tyle chłopów. A naszo co? Młodo jeszcze, synalka ma gagatka i samo siedzi z tym dziadostwem. Dla mnie nie jest zło, to mnie jej żal.

- A gdzie pani była wczoraj wieczorem?

- A gdzie miałam być? Spałam u siebie w pokoju.

- No, to niech pani zawoła pokojówki.

- Obydwie?

- Najpierw tę starszą.

- Rózię? Pewnie będzie w kuchni, zmywo po śniadaniu, ale od niej to się pan policjant niczego nie dowie. Ono gapo, ze wsi dziewucho. Zuzio co innego, miastowo - mrugnęła porozumiewawczo i wytoczyła się z buduaru.

Weszła Różia z porucznikiem Antkowiakiem. - Jesteś wreszcie - mruknął pod nosem Pińczykowski.

- O mnie się pan policjant pytał...

- Sędzia...

- ...sędzia pytał - powtórzyła flegmatycznie służąca.

- Różia sprzątała pokoje?

- Wieczorkowa kazała, więc sprzątałam. Ona mnie zawsze pcha do gorszych robót.

- W pokoju pani Bellówny też Różia sprzątała?

- Jak wszędzie, to i u niej też.

- Czy było tam wiele rzeczy, ubranie, może jakieś drobiazgi?

- Tyle co wszędzie.

- Miała biżuterię albo pieniądze?

- Może i miała, ja nie szpernaluję po kątach. Książeczkę miała PKO, raz widziałam, jak chowała, kiedy weszłam zamiatać.

- A jakieś papiery, listy, może coś takiego trzymała?

- Latała na pocztę. Z panią Wojtasik widziałyśmy, ale żeby trzymała - to nie wiem.

- Dziękuję Rózi i proszę przysłać Zuzię. Tak się nazywa, prawda?

- O, ona panu naopowiada!

W buduaru czuć było jeszcze swoisty zapach jędrnej dziewczuchy, kiedy wpadła druga pokojówka. Sadowiąc się wygodnie w fotelu, z miejsca zaczęła opowiadać o zwyczajach domu. Najwyraźniej uważała, że rozmowa z sędzią śledczym potrwa dłużej. Nic jednak szczególnego w tym rozwlekłym monologu Zuzi nie było, toteż inspektor jej szorstko kazał pójść po pielęgniarkę.

- Posłuchałeś sobie, no to masz wyobrażenie o tym domu - Pińczykowski zwrócił się do swego pomocnika. - Idź lepiej do pokoju Bellówny, może znajdziesz coś ciekawego.

- Rozkaz - wrzasnęła z ulgą Antkowiak i popędził na górę.

Siostra Danusia wywarła sympatyczne wrażenie. Nic jednak z tego, co mówiła o mieszkańcach „Idylii”, zasadniczo nie było w stanie podtrzymać twierdzenia Jerzego Kalinowskiego.

- Widzi pan sędzia, ja siedzę tutaj i znam tych starców. Ja

ich rozumem..Pan myśli, że oni przejęli się śmiercią Bellówny, nie - oni mają jakąś sensację, wreszcie w tym życiu, w tej monotonnej wegetacji coś się wydarzyło. Same drobne kłótnie nie mogą wypełnić czasu. Oni są szczęśliwi, że to jeszcze nie ich pora.

- Bellówna nie była lubiana przez dziadków - bardziej skonstatował, niż zapytał sędziego przypatrując się z przyjemnością młodemu stworzeniu.

- Pani Natalia starzała się wolniej, a tu większość kobiet... pan rozumie. Ona miała jeszcze tyle energii, że próbowała wyrwać się stąd, szukała czegoś, jeździła gdzieś i... zawsze wracała.

Pińczykowski zamyślił się chwilę. Aby formalności stało się zadość, ocknąwszy się, spytał siostrę Danusię, co robiła poprzedniego wieczora.

- Niedziele mam wolne - odpowiedziała pielęgniarka - pojechałam do Lublina.

- Czy mogę wiedzieć, o której pani wróciła?

- Oczywiście, panie sędzio, autobusem, który przyjeżdża do Maliniec o 21.08. Byłam w domu o wpół do dziesiątej.

- Kto pani otworzył drzwi?

- Nikt. Mam własny klucz.

- A więc, nikogo pani nie widziała? - zainteresował się Pińczykowski.

- Nikogo. Byłam zmęczona, a nade wszystko przemoczona. Poszłam prosto do swojego pokoju i położyłam się spać.

- I nic pani nie słyszała?

- Ja mam bardzo mocny sen, panie sędzio.

Spuściła oczy. Jej gęste, rude rzęsy były tak długie, że rzucały cień na upstrzone piegami policzki. Pińczykowski uśmiechnął się mimo woli. - No dobrze, siostrzyczko. To wszystko. Proszę mi teraz podesłać swoich pacjentów. Dziękuję pani.

Danusia zerwała się szybko i ruszyła ku drzwiom do salonu. - Jest wyższa ode mnie - pomyślał nie bez przykrości i automatycznie przyglądał wąż.

Pielęgniarka poszła do jadalnego, skąd dochodził gwar wciąż podnieconych głosów. Na progu spotkała panią Hortensję, która, znudzona słuchaniem burzliwej dyskusji, miała zamiar odejść w kierunku tylko sobie wiadomym. Ujrawszy siostrę Danusję zatrzymała się jednak na chwilę.

- Siostra już tam była? Czego oni chcą? O co im chodzi? - posypały się pytania.

- O nic nie chodzi i nie trzeba się denerwować. To zwykła formalność - zapewniła zebranych.

Oni jednak nie dali za wygraną.

Daniel Pierożyński zaatakował wprost: - Musi nam siostra powiedzieć, o co ten sędzia pyta.

Pielęgniarka doszła do wniosku, że się nie wymiga. - o to, kto tu mieszka - odpowiedziała - no, i co robiłam wczoraj wieczorem. Powiedziałam, że byłam w Lublinie i wróciłam autobusem o dziewiątej.

- A cóż to ich obchodzi? - kontynuował Daniel.

- Naprawdę nie wiem. Pani Wieczorkowa powiedziała już państwu, że macie się po kolei zgłaszać do buduaru. A więc proszę. - Obróciła się na pięcie. Pani Hortensji już w pokoju nie było.

Jako pierwsza ochotniczka zgłosiła się oczywiście generałowa. Tym razem nikt nie protestował i pani Helena człapiąc na cienkich nóżkach udała się do buduaru.

Śledczy na jej widok musiał ukryć wzrok w swoich notatkach. Powiedział tylko „proszę siadać” Dopiero po spisaniu personaliów ośmielił się spojrzeć na swoje vis- -a-vis. Rozpoczął rutynowe pytania.

Odpowiedzi były tyle obszerne, co nierzeczowe. Musiał ciągle przerywać dygresje na temat złej kuchni, braku partnerów do brydża i krzywych nóg Bellówny. Fakt, że generałowa od ósmej wieczór przebywała razem we wspólnym pokoju z Krukową, był jedyną konkretną rzeczą, jakiej się dowiedział. Z ulgą też zakończył tę rozmowę.

Generałowa tryumfalnie powróciła do jadalni. Wszyscy rzucili się na nią, a ona, szczęśliwa, że choć raz stała się centrum zainteresowania, udzielała informacji zarówno

prawdziwych, jak i całkowicie zmyślonych - bo fantazji generałowej nigdy nie brakowało. Nawet Amelia Krukowa wyjątkowo słodko spytała ją, czy musiała spowiadać się z tego, co robiła poprzedniego wieczora.

- Musieć, to ja nie muszę - odpowiedziała. - Ale powiedziałam mu, że siedziałam z nią cały wieczór w pokoju i że paliła bez przerwy papierosy. - Generałowa nie byłaby sobą, gdyby nie przygadała towarzyszce, ale tym razem zrobiła to żartobliwie.

Panna Gabriela wyciągnęła tymczasem lusterko i nerwowo poprawiała złote loczki. Szykowała się na spotkanie z urzędnikiem. Chciała chyba odwlec ten moment, ale wypychana przez resztę, uległa. Podreptała więc posłusznie. Nie należała do osób śmiałych. Toteż początkowo rozmowa sam na sam z nieznanym mężczyzną peszyła ją wyraźnie. Wierciła się niespokojnie na krześle, składała usta w ciup, a nawet usiłowała kręcić w palcach rąbek chusteczki. Pińczykowski podszedł do niej łagodnie: - Mieszka tu już pani od sześciu lat, zna wszystkich świetnie, na pewno może pani mi pomóc.

- Nie wiem, w czym, panie sędzio?

- Na przykład, kto się tu z kim przyjaźni?

- Trudno mówić o przyjaźniach w gronie tak pospolitych ludzi - powiedziała już z mniejszym napięciem panna Gabriela. - Kiedy byłam u hrabiów Zamoyskich...

- To nieważne - przerwał spokojnie Pińczykowski. - j Chcę wiedzieć o „Idylli”.

- Otóż taka „Idylla” to tu nie jest. Ja chciałam przedtem I tylko zwrócić uwagę pana sędziego, że jestem przyzwyczajona do ludzi z lepszych sfer. - Jej głos stawał się coraz twardszy. - Tu wszyscy są zawistni, zazdrośni.

- Na przykład?

Gabriela Krzeczowska zawahała się chwilę. - Na przykład pan Daniel Pierożyński, leśnik - podkreśliła z ironią.

- A o cóż jest zazdrosny pan Pierożyński?

- O mnie - wystrzeliła.

Pińczykowski oniemiał. - Jak to, o panią? - spytał po chwili.

- Po prostu - tu znów zaczęła się krygować. - Nie darzę go sympatią, dlatego jest dla mnie niemiły.

Aberacja - pomyślał śledczy i zaczął z innej beczki.

- A pani Bellówna była lubiana?

- Nawet to pseudotowarzystwo nie mogłoby lubić osoby, która całe życie... no ... która, po prostu, nie utrzymywała się z uczciwej pracy.

- Jak to? - zdziwił się - przecież była tancerką, prima-baleriną.

- Ha, ha, ha - roześmiała się nieoczekiwanie panna Gabriela. -1 ta biżuteria także z tego tańcowania? Mnie to pan mówi, kobiecie, przez całe życie uczącej cudze dzieci, bo nie miałam własnej rodziny. Błąkałam się od domu do domu i żadnych precjozów jakoś się dorobiłam, chociaż to były dobre domy. Nie, z pracy trudno uciuć na brylanty. Trzeba zastępu bogatych mężczyzn. Ja ich nie miałam.

Wyszło szydło z worka - pomyślał Pieńczykowski. - Czy panowie także nie lubili pani Bellówny?

Obserwował, jak na twarzy jego rozmówcy wykwita rumieniec. - Cóż, niech się pan o to zapyta panów - rzekła po chwili. - Jest ich zresztą niewielu.

Sędzia zastanowił się chwilę. Chciał spytać o coś jeszcze, ale zrezygnował. Na zakończenie postawił jedynie to samo pytanie, co wszystkim, z góry wiedząc, jaka będzie odpowiedź.

- Co robiłam wczoraj wieczorem? - powtórzyła panna Gabriela. - Było tak brzydko na dworze, tak smutno, poszłam wcześniej spać.

Rumieniec nie tylko nie ustąpił, ale nabrał żywszego odcienia. Pińczykowski bacznie przyjrzał się jej przez chwilę. Musiała być za młoda ładniutka - pomyślał - ale teraz! No cóż! W starym piecu diabeł pali.

- Dziękuję. Jest pani wolna.

Za chwilę miał się zdziwić jeszcze bardziej. Podprowadzona przez jednego z panów weszła do buduaru Eliza Conti. Oprócz imienia i nazwiska nie zdołał od niej niczego wyciągnąć, nawet z datą urodzenia były duże kłopoty. Przedziwna osoba obwieszona jak choinka ozdobami siedziała naprzeciw niego

szepecząc coś niewyraźnie i wodząc po pokoju błędnymi oczami.

Szkoda czasu - pomyślał. Przeszedł przez salon do hallu i zawołał: - Gdyby ktoś mógł sprowadzić porucznika Antkowiaka! W rozmowach zrobimy małą przerwę.

*

Pan Olo poszedł na górę po młodego policjanta. W jadalni trochę ucichło, Elizy nie było o co pytać. Za to odezwało się głośne utyskiwanie Rózi, która wymachując szczotką i śmietniczką ukazała się w głębi korytarza. - Żeby ich nagła choroba - narzekała. - Żeby ich pokrećilo za ten bałagan, co od rana w domu robią. Człowiek nawet sprzątać nie nadąży.

Energicznym ruchem otworzyła drzwi od pokoju panny Krzeczkowskiej i zabrała się do porządków.

Waldemar Antkowiak zbiegł szybko po schodach i zamknął się ze śledczym w buduaru.

- Znalazłeś coś ciekawego? - spytał Pińczykowski.

- Gdzie tam, kupa śmieci. Stosy starych szmat, wszystko fioletowe. Aż dziw, skąd ona to brała?

- Biżuterii nie ma?

- Jest cała kasetka, ale sztucznej i jedna broszka prawdziwa. Pośrodku ametyst, dookoła brylanty, z tego dwa wyłupane.

Pieniądze?

- Gotówki nie ma, tylko książeczka PKO z wkładem na trzy tysiące złotych.

- Jakież listy, dokumenty?

- Rozpoczęta papeteria, brakuje może trzech, może czterech kopert do kompletu. Programy teatralne, recenzje z gazet i fotografie. Stosy fotografii jej samej - jako łabędź biały, łabędź czarny, Kopciuszek i czort wie jeszcze co. Nawet ładna była, nie powiem.

- Sam jeszcze raz wszystko przejrzę. Skończymy tylko przesłuchiwać. Ale jak tak dalej pójdzie, uznam to za zmarnowany czas.

- Mówiła mi pokojówka, że ta pani, która tu na miesiąc tylko przyjechała, jest bardzo żwawa, inteligentna... i nie taka stara - pocieszył swego kolegę porucznik.

- Zobaczymy. Poprosimy ją potem. A teraz przyprowadź mi następne dziwadło i posiedź tu ze mną.

Waldemar Antkowiak doprowadził do buduaru panią Kozicową. Ujrzała ich Hortensja Wojtasik, która uchyliła drzwi chcąc się przekonać, czy całe zamieszanie przypadkiem nie dobiega końca.

- Jeszcze? - wykrzyknęła głośniejszym głosem, niż zamierzała.

- A pewnie, że jeszcze, niech ich dunder świśnie!

Pani Hortensja dopiero teraz zauważyła, że drzwi po przeciwległej stronie korytarza są otwarte, a po pokoju szasta się bojowo nastawiona Rózia. Podeszła więc do służącej.

- Cóż to Rózia tak późno sprząta?

- Paniusiu kochana, a gdzie to człowiekowi sprzątanie w głowie, kiedy tu od rana gliny się po domu włóczę. - Tak energicznie machnęła szczotką z kolorowych piór, że z szafki nocnej spadła fotografia oprawiona w owalną ramkę obciążoną popielatym aksamitem i potoczyła się pod łóżko. Rózia z głośnym stęknieniem dała za nią nura. Po chwili wyprostowała się z trudem i odłożyła na swoje miejsce konterfekt panny Gabrysi uwiecznionej przed czymś pałacem. W ogromnej dłoni obracała jeszcze jakiś przedmiot. - Proszę, jak to się starym babom we łbach przewraca ... żeby to fajkę kopcić. Zgroza tego świata!

Pani Hortensja powiedziała szybko: - Ludzie mają swoje dziwadła. Niech Rózia to odłoży na szafkę. Może wreszcie i ja doczekam się posprzątania pokoju.

Zawróciła pozostawiając nadal mruczącą gniewnie służącą.

*

Tymczasem w buduaru królowała pani Jasia. Wyczerpała już temat swojego świętej pamięci małżonka, różdżkarstwa i była przy opisie południc, które wyglądają jak kopczyki, gdy zniecierpliwiony sędzia przerwał jej: - Pani też wczoraj wieczorem nie wychodziła ze swojego pokoju?

Pani Kozicowa, którą oderwano od tak pasjonującego tematu, zamilkła na chwilę zbita z pantaląku, po czym chciała kiwnąć głową w odwrotnym niż zwykle kierunku, ale jej się to nie

udało. Wobec tego powiedziała: - Tak, nigdzie nie wychodziłam. I na tym rozmowa się skończyła.

Kiedy sędzia został w pokoju ze swoim „podkomendnym”, zrazu zapanowało milczenie. Antkowiak dostrzegł napięte mięśnie jego twarzy, chciał więc jakoś rozładować narastającą wściekłość śledczego, ale nic mu nie przychodziło do głowy. Wreszcie Pińczykowski sam się zreflektował.

- Cholera! Jak tak dalej pójdzie, powariujemy z kretesem. Mamy robótkę, niech to szlag!

- Wydaje się sprawa prosta. Marnujemy tylko czai w lamusie ze starzyzną. Facet rąbnął przypadkiem jakąś babę i zaraz cała afera.

- Na oko tak wygląda, ale ten inżynierek upiera się przy tercie.

Antkowiak wyciągnął się wygodniej na kozetce, popatrzył na czubki butów, które już starannie oczyścił po leśnych spacerach.

Gdzie on zdążył wypucować te kamaszki? - pomyślał? Pińczykowski idąc za wzrokiem porucznika. - No, koniu boży, do roboty! Dawaj tu dalszy ciąg tej szopki.

Waldemar zerwał się i po chwili wrócił z panią Amelią Krukową. Sędzia wskazał ręką fotel, popatrzył uważnie na twarz byłej krawcowej, po czym przeszedł do sakramentalnej listy pytań. Wąskie wargi Amelii potwierdzały jej kostyczność. Właściwie nic ją nie obchodziła nagła śmierć współtowarzyszki starości, wykazywała natomiast nie maskowany optymizm dotyczący wolnego pokoju po Bellównie. Ó generałowej Kaczorowskiej wyrażała się ze wstrętem, chociaż przy sprawozdaniu z ubiegłego wieczora wyjątkowo gładko potwierdziła, że od kolacji przebywała w pokoju na piętrze razem z tą naroślą na jej życiu.

Sędzia odetchnął z ulgą, gdy Krukowa zamknęła za sobą drzwi buduaru.

- Ale wiedźma! - wykrzyknął porucznik - nikogo nie oszczędziłaby dla swojej wygody albo przyjemności.

- Mamy już załatwioną damską większość „Idylli”. Kto nam jeszcze pozostał?

- Malarz, ogrodnik, ten gajowy - i gość pensjonatu, pani Wojtasik.

- Ty ich popytaj trochę, a ja pójdę do pokoju denatki, rozejrzę się... gnaty rozprostuję. Gdzie on jest?

- Jak wejdiesz na piętro głównymi schodami, to pierwsze drzwi po lewej stronie.

Podeślę ci malarza - dodał wychodząc.

Wkrótce wsunął się, już od wejścia w ukłonie, pan Olo.

- Można, za przeproszeniem pana przodownika, głowy pozawracać?

- Trzeba. Witam artystę.

- Jakiż tam artysta, ta nie daj Boże, wszyscy uciechu by nabrali usłyszawszy, co pan przodownik mówi.

- Już ja wiem. co mówię. Rozglądałem się, rozmawiałem z tym i owym, a raczej z tą i ową. Panie nachwalić się nie mogą talentu pana, panie...?

- Kucejko, do usług. Kucejko...Aleksander. Po kądzieli można by rzec, mam to imię. A pejzażów to ja namalował trochę, no, medames łaskawości wielkiej, że one talent upatrzyły w takich bohomazach.

- I wszystkie wyjątkowo zgodnie są do pana sympatycznie nastawione.

- Proszę pana przodownika, człek zasiedziały tu, lata ma, taż i dawna politura z człka nie zlazła tak ze szczętem. Ja, panie, całe życie adorował, pędzlem i... no, jakby powiedzieć... całym sobą. — Olo chrząknął z zakłopotaniem.

Porucznik uśmiechnął się, szczerze ubawiony tą rozmową.

- A którą z pań lubi pan najbardziej?

Każdą - wykrzyknął z zapalem Olo. - Kochać ta do końca życia i jeszcze mało.

- Ale którą pan wyróżnia?

- Panie przodowniku, trudna sprawa. I na tą człek się napatrzyć nie może, i na tamtą. Taka choćby, dla przykładu, rozumie się, panna Gabrysia, toż istny motyl! A Natalia, jaka szyja... była, hm... co za nogi, baletnica prima, ja malować chciał... no, nie wyszło, żal... a pani Hortensja, kobieta z głową, prawdziwa bystrość w oku, szelmutka, żywe srebro. Ja

powiem panu, ja się boję tylko trochę gienierałowej i tej „journal de mode”. No, one też miłe, tak jak by skłamał, cobym miał na nie złe słowo wyrzec.

- A pani Wieczorkowa także przypadła panu do gustu?

- Twarz porucznika wyrażała wesołość pomieszaną jednak z odrobiną czujności.

- Wstyd się przyznać, młodsze to ja wielbię tak naocznie li tylko. Można, oczywista rzecz, ona taka cała... w tych, no... wotywach. Dla mnie ona święta. Chciałoby się i do niej, ale... hmm, jak co do czego, toż wulkan po prawdzie, a ja czajniczek za ledwo... hmm.

Antkowiak parsknął zupełnie nieskrępowanym śmiechem. Dowiedział się jeszcze, że pan Kucejko spędził - jak wszyscy zresztą - wczorajszy wieczór w swoim pokoju, podziękował mu odprowadzając do drzwi buduaru, po czym poszedł po Eustachego Żelazkiewicza. Znalazł go w najdalszym kącie jadalni.

- Pan pozwoli na krótką rozmowę.

- Idę - odparł lakonicznie Żelazkiewicz i ruszył za porucznikiem. Przewyższał go o pół głowy. Ogrodnik wyglądał dziś raczej na grabarza niż na człowieka, który ma do czynienia z kwiatami. W przylegającym do salonu pokoiku zapanowała teraz zupełnie inna atmosfera. Odpowiedzi były z reguły krótsze od pytań, chociaż porucznik zadawał je wyjątkowo zwięźle, precyzyjnie i szybko. Chuda, wysoka, ubrana na czarno postać zdawała się być czymś skrepowana. Pan Eustachy błędził wzrokiem gdzieś ponad głową Antkowiaka lub szukał czegoś pod jego fotelem. Przy wspomnianiu Natalii Bellówny w jego zgaszonym głosie pojawiał się pewien ledwo uchwytny ton rozdrażnienia. Żelazkiewicz z wyraźną niechęcią odpowiadał na pytania związane z eks-tancerką. Na zakończenie stwierdził, że nie jest w stanie udzielić konkretnych wyjaśnień, bowiem mieszka oddzielnie, jako jedyny w „Idylli” zajmuje się pracą i nie obchodzi go stosunki w pensjonacie. W dodatku codziennie - również i wczoraj - chodzi wcześniej spać.

Na oficerze policji wywarł ujemne wrażenie. Czuł, że

Żelazkiewicz mógłby powiedzieć o wiele więcej. Na razie jednak nie widział potrzeby zatrzymywania go dłużej. Pożegnał zatem ogrodnika życząc mu złośliwie przyjemnej pracy w jesiennym ogrodzie „Idylli”.

Wypowiedź ostatniego z panów, Daniela Pierożyńskiego, także nie poprawiła samopoczucia porucznika. Robił aluzje do wielu romansów, do tajemniczych dochodów niektórych osób, napomykając także o powiązaniach pensjonariuszy w przeszłości. Nie mógł jednak podać konkretnych faktów. Płatał się przy każdym pytaniu. Wreszcie stwierdził na zakończenie, że zaraz po kolacji fatalnego wieczora poszedł do siebie i szybko zasnął.

Na te słowa Pierożyńskiego wszedł sędzia z plikiem wycinków prasowych pod pachą. Przesłuchania stałych pensjonariuszy zostały zakończone obiadowym gongiem. Nim ucichło jego brzmienie, Jola Wieczorkowa wpłynęła do buduaru w powiewnej sukni pawiego koloru z dużym dekoltem. Rozdając obydwu panom gorące uśmiechy zaprosiła ich do jadalni. Mile zaskoczeni słudzy Temidy bez ociągania ruszyli za właścicielką „Idylli”.

*

Po znakomitym obiedzie do pokoju za salonem została zaproszona pani Hortensja Wojtasik.

- Przepraszam panią, że zakłócamy jej sjęstę - zaczął z rewerencją sędzia - chcielibyśmy jednak zakończyć naszą wizytę przed zmrokiem.

- Przecież ja nic innego nie mam tu do roboty, jak tylko odpoczywanie, zbyteczna troskliwość - odrzekła pani Hortensja sadowiąc się tyłem do okna, aby móc lepiej obserwować obydwu panów. Przez chwilę uważnie oceniała ich walory intelektualne, po czym zwróciła się do młodszego wiekiem i rangą:

- No, i co pan, drogi Watsonie, znalazł w apartamencie baletnicy?

- Szukaliśmy obaj - odparł porucznik.

- A wyniki mizerne, spodziewałam się tego.

Tym razem sędzia odezwał się pierwszy: - Ja bym tak nie powiedział. Choćby książeczka PKO, papier listowy, no i te wycinki - tu pokazał stos makulatury piętrzący się na stole.

- Pani nie docenia naszych szczerych chęci - obruszył się Antkowiak. - Szukamy potwierdzenia wersji inżyniera Kalinowskiego.

- Nic nie wiem o żadnych wersjach, wydawało mi się, że panowie szukają raczej rodziny tej biednej Bellówny? - podchwyciła pani Hortensja.

- Widzi pani, inżynier Kalinowski stara się nam zasugerować nie wypadek, a morderstwo.

- Ależ to nonsens - zachnęła się drobna postać. - Przecież stwierdzono śmierć Natalii pod kołami samochodu tego... Kalinowskiego.

- Tak - ciągnął śledczy - ale inżynier z całą stanowczością wmawia nam, że Bellówna została Wepchnięta pod auto. Oczywiście, niech to zostanie między nami.

- Któż miałby to zrobić? I po co?

- My sobie też zadajemy te pytania - Antkowiak spojrzał przelotnie na chusteczkę w piątce pani Hortensji. - I jak dotąd nie znajdujemy dowodów.

- W takim razie tym bardziej należy zbadać rodzinne koligacje Natalii - zawyrokowała pani Wojtasik unosząc palec do góry.

- Tu wszyscy zapewniali nas o samotności pani Bellówny. Wieczorkowa twierdzi, że denatka miała trzech mężów, i że ci raczej już nie żyją.

- Biorąc pod uwagę zawód Natalii, to by się zgadzało. - Hortensja przybrała szelmowską minę. - Panowie oczywiście sprawdzą te wynurzenia naszej gospodyni.

- Upieramy się jednak przy naszej wersji - wyjaśnił z kozetki Antkowiak.

- Porucznik przeszukał dokładnie miejsce wypadku jak i leśną ścieżkę do pensjonatu. Nie było tam żadnych śladów.

- Poza jednym, który równie dobrze o czymś mówi, jak też może do niczego nie prowadzić. O, znalazłem w krzakach tuż przy zakręcie szosy taką właśnie bransoletkę z miedzi.

- Można obejrzyć? Ależ takie amulety od reumatyzmu rozdawała nam pani Jasia.

- Sama pani widzi, jaki warty dowód bytności zostawił ktoś w miejscu wypadku - powiedział Pińczykowski gładząc w zakłopotaniu wąsy. - Ktoś bardzo hipotetyczny.

- Czy pozwolicie panowie zajrzeć do tych wycinanek? - i pani Wojtasik z młodzieńczą werwą ubiegła porucznika, który chciał jej usłużyć.

Koledzy wymienili zdziwione spojrzenia.

Hortensja nie zwracając na nich uwagi zabrała się do wertowania samych entuzjastycznych recenzji z występów Bellówny. Na każdym z wycinków wypisane były starannie tytuły i data ukazania się gazety. Przerzucała je bez specjalnego zaciekawienia. Pochlebstwa kapwały na dywan buduaru, widać biedna baletnica nie zachowywała krytyk o odmiennej tonacji. Na odwrocie artykułu o wycofaniu się ze sceny Bellówny pani Wojtasik dostrzegła anons o bankructwie i rychłej śmierci na atak serca znanego bankiera, Mieczysława Szauberga. - Boże, to już piętnaście lat temu

- pomyślała i zaraz dodała głośno: - Chciałabym zatrzymać taki jeden wycinek, jeśli panowie pozwolą, na pamiątkę. Ja w gruncie rzeczy lubiłam ten zanikający już szyk artystki. Lubiłam jej wyjazdy do banków, jej trochę śmieszne stroje i kapelusze, i ten kolor wrzосу.

Obaj panowie uszanowali tę chwilową zadumę pani Hortensji, a sędzia zgodził się oczywiście na oddanie jej wycinka. Potem spytał jeszcze, czy urlopowiczka może potwierdzić, że wczorajszego wieczora pensjonat tak szybko ułożył się do snu, a ona sama siedziała z Wieczorkową w kancelarii. Podziękował za miłą rozmowę i na zakończenie dodał:

- My nie mamy tu już nic więcej do roboty.

- Zatem inżynier Kalinowski będzie odpowiadał przed sądem? - zaciekawiała się ponownie Hortensja.

- Tak, za nieumyślne spowodowanie wypadku, w którego konsekwencji nastąpiła śmierć Natalii Bellówny.

*

Nazajutrz swoim zwyczajem pani Hortensja ruszyła skoro świt na spacer. Przeszła przez salon i już z tarasu zobaczyła Żelazkiewicza z grabiami w ręku. - Czy kiedykolwiek te drzwi są zamykane na klucz? - pomyślała schodząc po stopniach na żwirową alejkę.

- Dzień dobry pani! - dobiegło z oddali przywitanie ogrodnika. - A co to dziś tak blisko domu?

- Dzień dobry, panie Eustachy! Dzień dobry! W las każe pan iść, za zimno, czuję się zresztą nie najlepiej. Tu, w pańskim królestwie jakby cieplej, może to te kwiaty stwarzają takie złudzenie. Liści naleciało przez noc cała fura.

- Faktycznie, człowiek urabia sobie ręce, a efektu nie widać.

- O! to już pan przesadza - zaproponowała Hortensja - jesień, więc liście opadają, grabić trzeba częściej, no i pan to robi. Ogród jest jak marzenie.

- A niech pani tam spojrzy - Żelazkiewicz pokazał w stronę domu - tam pod trzecim oknem całą rabatę astrów poprzedniego dnia zniszczyli.

Hortensja zmrużyła oczy i popatrzyła we wskazanym kierunku. - To z pokoju Gabrysi wyrzuca się śmiecie przez okno?!

- Ale gdzie tam, wyrzuca. Ktoś zwyczajnie podeptał. Stare fajtlapy, alejek im mało - sarknął Żelazkiewicz.

- Panie Eustachy, doprawdy wierzyć mi się nie chce, żeby z rozmysłem robili takie szkody. Może ktoś po ciemku wpakował się w te astry myśląc drogę?

- Tak, to było w nocy. Teraz wieczór wcześniej zapada, może pani ma rację, ale ja wytropię, kim jest ten łazik.

- Niedowidzą, biedaczyska - powiedziała ze współczuciem Hortensja zabierając się do odejścia. Żelazkiewicz zatrzymał ją przyjacielskim gestem.

- Zrobię pani nowy bukiet, przyniosę po śniadaniu. Lepiej, żeby były w wazonie niż połamane w ogrodzie.

- Chce mnie pan obdarzyć tymi zdeptanymi?

- No nie, skąd takie przypuszczenie? - Żelazkiewicz nie pojmował humoru Hortensji, lubił ją jednak. Toteż pokiwał

ręką, gdy drobna postać zaczęła maszerować w stronę najdalszego kąta posesji.

Po paru okrążeniach trzeba było przerwać spacer, bowiem Różia z tarasu wymachiwała tłustą łapą zapraszając w ten elegancki sposób na śniadanie.

Kiedy Hortensja dopijała ostatnie łyki herbaty, z salonu napłynęły dźwięki muzyki, a wkrótce potem charakterystyczny głos Ordonki zaśpiewał: „miłość ci wszystko wybaczy, bo miłość, mój miły, to ja”.

Oho! - pomyślała Hortensja - ten okropny Daniel zaczyna znęcać się nad patefonem. Ale nie był to Daniel. Olo od; rana majstrował przy aparacie radiowym, a był najwidoczniej w lirycznym nastroju. Hortensja zakradła się cicho do salonu z zamiarem nastraszenia rozmarzonego słuchacza, gdy jednak zobaczyła wyciągniętego na kanapie mistrza, z uniesioną głową, z półprzymkniętymi powiekami i rękami złożonymi na oparciu ciężkiego mebla - zaczęła się śmiać psując natychmiast efekt romantycznego rozmarzenia. Olo zerwał się do ukłonu, kiedy pani Hortensja podrygiwała jeszcze od tej nagłej radości.

- Panie Olu, to malarskie uniesienia już nie wystarczą?

- Łaskawej pani rączki całuję, światło płocze, robić mi się nie chce, wstyd powiedzieć, jaki leń we mnie wlał.

- Rozumiem - odrzekła Hortensja podając rękę na przywitanie. - Mnie też tak nosi bez celu.

- Nostalgia, proszę pani dobrodziejki, chandry za przeproszeniem pod nos się pchają, człowiek ot, pleśnieje, i te... no... farby, o, farby schną.

- Nie ma sensu się martwić. Przejdzie, ja panu mówię, minie i po kłopotcie. A dziś tak bez fajeczki?

- Widzi pani, pani Hortensjo, fajeczka, tak po prawdzie, nadpsuła mi się.

- Cóż pan z nią wyczyniał? - w oczach pani Hortensji pojawiły się chytre iskierki.

- Broń Boże, nic zdrożnego.

- Z fajką? Zdrożnego? Nie wierzę.

- A! Z fajką? To ja nic nie wyczyniał. Upadła na dywan i pękła szelma. A tyle lat służyła. W Paryżu, ma się rozumieć,

ją kupił.

- Rzeczywiście, szalapat z pana prawdziwy, i fajki pan rozrzuca po pokojach.

- Tutaj ktoś się nade mną pastwiwszy, plotki grube, panie tego... rozsiewa.

- Jakie tam plotki. Pan Aleksander może spać spokojnie... tylko ja coś tam wiem.

W tym momencie w salonie pojawiła się generałowa. I'ani Hortensja skorzystała z okazji: - Zostawiam państwa, bardzo mnie dzisiaj noga ciągnie. Pójdę się jeszcze położyć. Była już za drzwiami, gdy do jej uszu dotarł głos generałowej: - Niech pani idzie do Jasi, ona najlepiej wszystko wyleczy, właśnie coś warzy w swoim pokoju.

Pani Wojtasik uśmiechnęła się pod nosem, nie skierowała jednak swoich kroków w stronę pokoju czarnoksiężniczki. Zajrzała do kancelarii, ale zastała tam jedynie sprzątającą niezdarnie Rózię.

- Pani nie ma - oznajmiła służąca. - Do Lublina ją poniosło.

Hortensja Wojtasik, istotnie zboląła, wycofała się do swego pokoju i położyła się na kanapce nakrywszy rwące nogi pledem. I tak, rozmyślając o niecodziennych wypadkach w „Idylli”, spędziła czas do obiadu. Posiłek ten zresztą nie należał do udanych. W zupie pomidorowej pływały grudki zwarzonej śmietany. Hortensja odruchowo spojrzała na generałową. Pani Helena z niesmakiem odsunęła od siebie talerz i wlepiła kose oczy w ścianę. Hortensja usiłowała zjeść parę łyżek, ale wkrótce także zrezygnowała. Zupa była rzeczywiście nieapetyczna. Zwróciła się więc do gospodyni, która przed chwilą przyjechała z Lublina dość podekscytowana. Nawet nie zdążyła przebrać się przed obiadem. Wyspała się widocznie po trudach poprzedniej doby, bo wyglądała świeżo i pogodnie.

- Co słyhać w Lublinie, pani Jolu? - spytała ją Hortensja.

Wieczorkowa przechyliła się do ucha swojej sąsiadki i mówiła szeptem.

- Słyhać, słyhać, pani Hortensjo. Wszędzie mówi się o śmierci Bellówny. Zbadano całą sprawę, niestety, nikogo z krewnych, ani dalszych, ani bliższych, nie odnaleziono.

Ustalono jedynie, że pieniądze na książeczce pochodziły częściowo ze sprzedaży tych wylupanych z broszki brylantów. Głowili się oczywiście, po co Bellównie potrzebne były pieniądze i to kosztem zniszczenia biżuterii. Nic jednak sensownego nie udało się ustalić.

- Nie może być - powiedziała w zamyśleniu Hortensja. Wieczorkowa ciągnęła dalej:

- Ten przystojniak, porucznik, zapewniał mnie także o wycofaniu przez Bellównę testamentu. Natalia nie zrobiła jednak nowego. Rozumie pani, jak szalenie ten fakt jest dla nich intrygujący. Wyłążą ze skóry, żeby poznać treść, nagabują notariusza, ale on nic nie ma do powiedzenia. Testament został u niego złożony gotowy i zalakowany. Bellówna potem go zabrała. A tu przecież też się inny nie znalazł.

- Zatem to nie notariusz sporządzał to pismo?

- Tak właśnie mówił mi Waldemar... to jest porucznik. Bellówna ma być pochowana w Malińcach pojutrze, w czwartek.

- No cóż - odrzekła pani Hortensja - musiała chyba ten testament zniszczyć. A czy w ogóle miała czym w ostatniej woli rozporządzać?

- Właśnie, że nie bardzo. Trzy tysiące w banku i to wszystko przejdzie na skarb państwa - stwierdziła z pewną goryczą pani Jola.

- A więc bogactwo Natalii Bellówny to legenda?

- Chyba tak.

- Swoją drogą, to dziwne, przecież ta kobieta latami musiała dużo zarabiać?

- Ale już od piętnastu lat nie tańczy, a rączkę do wydawania miała hojną. Przepuściła wszystko.

Jola Wieczorkowa była w tej chwili wyraźnie zła.

Co to ją właściwie obchodzi? - pomyślała Hortensja i z powrotem zabrała się do zupy. Tłusty i kwaskowaty płyn zdążył już ostygnąć. Pani Wojtasik rozejrzała się po sali. Zupy nikt nie zjadł, nikt prócz jej drugiej sąsiadki. Eliza Conti łączywie pochłonęła cały talerz. Strużka pomidorowej

zupy spływała jej po brodzie. Pani Hortensja odwróciła się z niesmakiem. Różia zaczęła zbierać talerze pomrukując pod nosem o pańskich fanaberiach. Niebawem Zuzia wniosła półmiski z pieczenią.

- Skocz no jeszcze, Różka, po ziemniaki i buraczki - zakomenderowała.

Różia ruszyła się ociężale. Nim przyniosła salaterki z warzywami, pieczeń już stygła na stolikach.

Jakoś nie idzie dziś ten obiad - pomyślała Hortensja. W dodatku w nodze znów ją rwało. - Bardzo mi dziś dokucza reumatyzm - zwróciła się do Elizy. Aktorka wyraziła nawet zrozumienie. Przyznała, że sama też ma często bóle, pokazując powykręcane artretyzmem ręce.

- Wydawało mi się, że pani nosiła miedzianą bransoletkę od pani Jasi - zauważyła Hortensja.

Eliza Conti uśmiechnęła się w zamyśleniu: - Tak, tak... nie mam teraz, nie mam... na górze... na górze została - wyjąkała.

Hortensja przyjrzała jej się bacznie. Eliza znowu powróciła do stanu otępienia.

- Trzeba nosić tę bransoletkę. To podobno rzeczywiście pomaga - powiedziała pani Wojtasik, choć miała pewne wątpliwości "co do leczniczych właściwości bransoletek rozdawanych przez panią Kozicową.

Eliza ocknęła się i sięgnęła do pieczeni. Różia zdążyła właśnie donieść ziemniaki, buraczki i zawiesisty sos. Pensjonariusze, nie nasyceni pierwszym daniem, nabierali na talerze duże porcje. Generałowa pierwsza złapała nóż, z wysiłkiem odpiłowała kęs mięsa i podniosła do ust. Nie pomogły jej mocne, zdrowe zęby. Pieczeń nie dała się pogryźć. Wdowa po generale zrobiła się purpurowa: - Tego już za dużo! - wrzasnęła. - To mięso jest twarde jak podeszew! Chciałam zwrócić uwagę właścicielce, że my za tę garkuchnię płacimy ciężkie pieniądze!

Jola Wieczorkowa spieszyła się, chciała coś odpowiedzieć, ale generałowa nie dopuściła jej do głosu. - Żądam,' aby pani natychmiast zwolniła tę przekłętą Pelagię i wynajęła kucharza z prawdziwego zdarzenia! Żądam tego, płacę i żądam!

W pokoju zapanowała głucha cisza. W końcu pani Jola podniosła się z miejsca: - Istotnie, obiad nie udał się dziś Pelagii - powiedziała. - Ale stanowczo przesadza pani, pani generałowo. I ten ton wydaje mi się nie na miejscu.

- To pani jest nie na miejscu - padła replika. - Każdy grosz z nas wyciąga i nic w zamian nie daje.

Właścicielka „Idylli” wycodziła: - Bardzo panią proszę o nieurządzanie podobnych scen! Omówimy sprawę na osobności, a teraz pójdę do kuchni i poproszę Pelagię, aby na poczekaniu zrobiła coś zastępczego.

- Zwolnić, zwolnić natychmiast tę kuchnię - wołała generałowa za wychodzącą z pokoju - a coś zastępczego to sama sobie zrobię, nie potrzebuję niczyjej łaski! - dodała ciszej i dźwignąwszy się z krzesła poszła do swojego pokoju.

- Znów zatruje powietrze - syknęła Amelia Krukowa. Inni pensjonariusze nie odzywali się, pokornie jedli polane sosem ziemniaki i buraczki.

Wkrótce powróciła Wieczorkowa, przeprosiła zebranych zapewniając ich, że za chwilę dostaną jajecznicę na szynce, natomiast wieczorem będzie solidna kolacja. Nikt już nie protestował i obiad spokojnie dobiegł końca.

*

Hortensja powróciła do swojego pokoju i znowu się położyła. Jej samopoczucie niestety nie polepszyło się. - To chyba na zmianę pogody - pomyślała, moszcząc się na kanapce. Rzeczywiście, deszcz przestał padać, przez chmury coraz częściej prześwitywało słońce. Pani Hortensja ułożyła się wygodnie i sięgnęła po świeżo przetłumaczone „W poszukiwaniu straconego czasu” Prousta. Niedługo jednak danym jej było przebywać „W stronie Swanna”. Nie zdążyła przeczytać trzech stron, kiedy zapukano do drzwi.

- Proszę - powiedziała niechętnie. Drzwi uchyliły się i do pokoju wsunęła się ostrożnie zwalista Pelagia. Miała buraczkowe wypieki na twarzy i była wyraźnie wzburzona.

- Ja do pani, bo pani to sprawiedliwy człowiek, nie do nikogo skrzywdzić.

- Proszę usiąść, pani Pelasiu - zaprosiła ją Hortensja.

Kucharka usiadła na brzeżku fotela, położyła spracowane ręce na pasiastym fartuchu, chlipnęła parę razy i zaczęła na dobre lamentować.

- Człowiek tyle lat robi, w świątek i piątek, nieraz to i nóg z tej roboty nie czuję, żeby tylko wszystko dobrze było. I nigdy złego słowa nikt na mnie nie powiedział, j A tako chorobo przekleto...

- Pani Pelasiu, rzeczywiście jest pani pracowita i smacznie pani gotuje, ale dzisiejsza pieczeń była naprawdę twarda.

- A co ja zrobię, jak takie mięso Pinkus z Maliniec przywiózł. Mogłabym jeszcze parę godzin dusić, na starego woła nie ma siły. Dyć mówiłam pani, że diabła warte. Ale ono to co i raz na coś lepszego pożałuje, chociaż jej mówię, że za tanie pieniądze to psy mięso żrą. Ech, co tam! - obtarła wierzchem dłoni nos. - Potem wszystko na mnie. A ta nagło zarazo zezowato, to się do mnie przyczepiło jak rzep do psiego ogona. Spokoju mi nie daje.

- Nie trzeba się przejmować - usiłowała uspokoić ją Hortensja.

- Jak się nie przejmować, kiedy ono napytlowało naszej pani, żeby mnie wyrzuciło.

- Pani Wieczorkowa przecież tego nie robi.

- A jo tam wiem? Odgrażało się, że robię byle jak, i że się to może źle skończyć.

- Była zdenerwowana, pani Pelasiu, bo ta generałowa rzeczywiście zbyt ostro się odezwała. Ale z pewnością nie wymówi pani pracy.

- A może by paniusio łaskawo za mną się wstawiło? - prosiła pokornie kucharka.

- Ależ oczywiście, droga Pelagio, porozmawiam z panią Wieczorkową.

- Paniusi to szlachetno, nie tako jak tamto... idiotyczno babo - dodała dobitnie. - A łakome to, a żerte... Cały czas by sobie bęben ładowało. Ja jej tam do kuchni nie wpuszczam, nie ma głupich. Samo się nieraz zakradnie i pożał się Boże, co tam wyprawia. A najczęściej tam lezie, kiedy myśli, że ja

śpię. Przyłapałam ci ją tego wieczora, co tę baletnicę taksówko rąbło.

Pani Hortensja nastawiła ucha. - Na pewno tego wieczora?

- Niech mnie piorun strzeli, jak nie tego. Budzika zapomniałam w kuchni. Schodzę, a ta ogień rozpałiło i nasmażyło naleśników całą górę. Za mietłę chciałam złapać i babę przegnać, ale mnie uprosiło, żeby nikomu o tym nie mówić, nawet obiecało coś dać. No i nie powiedziałom nikomu, nawet temu policmajstrowi nie powiedziałom. I jak mi się wywdzięczyło? Z pracy kazało wyrzucić. Diabelski pomiot! - Pelagia znowu zaczęła chlupać.

- Niech pani dziś zrobi dobrą kolację, wtedy wszystkim przejdą złe humory. A z pracy nikt pani nie zwolni - zapewniła Hortensja Wojtasik, po czym spytała: - O której to było godzinie?

- Niby te naleśniki?

- Tak. Kiedy pani zeszła?

- Na moim budziku było chyba wpół do dziewiąty. Pani to akurat w kancelarii siedziało, u Wieczór ko we j.

- A pani generałowa wyszła wtedy z kuchni?

- Wyszło. Tyle, że trzy naleśniki zabrało. Nie mogło darować.

- Czy pani też wyszła? - pytała dalej Hortensja.

- Gdzie tam, musiałom przecie komin ogarnąć po tej chorobie, bo to śmietnik koło siebie zawsze robi. Tako to jest ludzko wdzięczność! Tfu!... Paniusio nie gniewo się, że tyle czasu zabrałom.

- Skądże.

- Niech paniusie Najświętszo Panienko ma w swojej opiece - rozczulila się Pelagia, i upewniwszy się raz jeszcze, że pani Hortensja będzie jej orędowniczką, wytoczyła się z pokoju.

- Uff - odetchnęła pani Wojtasik. - Czy wszyscy muszą ze swoimi kłopotami do mnie przyłązić? W końcu też jestem stara i bolą mnie nogi.

Opatuliła się lepiej pledem powracając do Prousta. Lektura nie wciągnęła jej jednak. Gdzieś w głębi duszy nurtował ją niepokój. Coś było w tej sprawie, co nie pasowało do gładkiej

koncepcji lubelskiej służby sprawiedliwości. Ale co? Czyż drobne kłamstewka pensjonariuszy „Idylli” mogą mieć jakiegokolwiek znaczenie? Pani Hortensja zamyśliła się głęboko. Zdawało jej się, że gra z generałową w inteligencję i w żaden sposób nie może odgadnąć potrzebnego słowa. Ale tym razem nie знаła ani pierwszej,, ani ostatniej litery.

- Nie powinnam być taka bierną - stwierdziła. - Powinnam chyba coś robić. Głębiej zbadać pewne sprawy, nie ślizgać się po powierzchni. Skąd wiadomo, na przykład, że przypadkowe grono pensjonariuszy nie znało się wcześniej? Może mieli jakieś kontakty? Jeśli mieli, to bardzo zręcznie je ukrywają. Trudna będzie sprawa - mruknęła z pewnym zniechęceniem a Znowu otworzyła książkę. Nagła myśl, że może mimo wszystko było to morderstwo, poderwała ją na równe nogi. - Nie możesz tego tak zostawić, Hortensjo - orzekła. - A jeśli chcesz działać, musisz się podleczyć. Rwący ból nogi nie ustawał, postanowiła więc uchwycić się ostatniej deski ratunku, poszła do pani Jasi. Zastała ją w czarnym chińskim kimonie malowanym w złoto-fioletowe smoki. Z garnuszka dymiącego na spirytusowym palniku wydobywał się ostry aromat ziół.

- Szykuje pani jakiś napar, pani Jasiu? - spytała.

- Lekarstwo na raka - odpowiedziała spokojnie Kozicowa z uwagą mieszając drewnianą kopyścią w garnuszku.

Pani Hortensja pomyślała, że chyba zbyt poważnie potraktowała talenty lecznicze czarodziejki. Brnęła jednak dalej:

- No widzi pani, ja także chciałam się pani poradzić. Takie mam ostatnio przykre bóle reumatyczne w nogach.

Pani Jasia raptem się ożywiła. - Reumatyzm - zawołała

- tylko chrzanem! Trzeba się obkładać chrzanem.

- Hmm - stropiła się pani Hortensja. - Ale jak to zrobić?

- Trzeba natrzeć surowego chrzanu i na noc robić takie kompresy.

- Skądże ja wezmę chrzan?

- Pan Żelazkiewicz pani da. On ma chrzan i zioła ma. Pan Żelazkiewicz ma wszystko, tylko - tu pani Jasia zawahała się chwilę, jak gdyby zrozumiała, że w podekscytowaniu

powiedziała zbyt dużo.

- Tylko co? - zapytała dociekliwie Hortensja.

Pani Kozicowa trzęsła głową dość gwałtownie. - Niech pani nikomu o tym nie mówi, pan Żelazkiewicz nie pozwala. Nie wiem dlaczego, ale nie pozwala. On jest botanik, zna wszystkie zioła, zbiera w ogrodzie i w lesie.

- Nie pozwala mówić o tym?

- Nie. I gniewa się bardzo, kiedy do niego bez uprzedzenia przychodzę - poskarżyła się Kozicowa.

- To pani po te zioła do niego chodzi? - zdziwiła się Hortensja.

- Po zioła. Wieczorem, kiedy nikt nie widzi.

- Rozumiem. Ale po co go uprzedzać?

- On tak każe - pani Jasia była wyraźnie zdenerwowana. - Bo czasem są u niego goście - dodała cicho.

- A kogoż to przyjmuje pan Żelazkiewicz wieczorami?

- Nie wiem, nie wiem - broniła się indagowana.

- To skąd pani wie, że ktoś tam przychodzi? Widziała pani kogoś?

Pani Jasia przyparta do muru wyznała w końcu: - Raz jeden widziałam. Była tam pani Wieczorkowa i ta baletnica. Wino pili - dodała. - Ale pan Żelazkiewicz bardzo się złościł i wtedy nie pozwolił mi przychodzić bez uprzedzenia, i zabronił o ziołach mówić!

Pani Wojtasik postanowiła kuć żelazo póki gorące. Jak gdyby od niechcenia dodała jeszcze jedno pytanie:

- A tego wieczora, kiedy zginęła Natalia Bellówna, też pani chodziła do Żelazkiewicza?

- Też - przyznała pani Jasia - ale jego w domu nie było.

- I zaraz pani wróciła?

- Zaraz... prawie zaraz - jeszcze trochę po ogrodzie spacerowałam. Taka była cudna mgła, myślałam, że elfy wyjdą.

- Sędziemu powiedziała pani coś innego - zauważyła łagodnie pani Wojtasik.

Replika, jak na panią Kozicową, była dość ostra: - Bo to nie ich interes!

- No tak - Hortensja zrobiła krótką przerwę - jak ja mam jednak iść po chrzan do pana Żelazkiewicza, skoro on nie życzy sobie niespodziewanych gości?

Pani Jasia trochę się zmartwiła. — Rzeczywiście, nie pomyślałam o tym. To nie szkodzi - wykrzyknęła po chwili radośnie. - Dam pani kocią skórkę albo lepiej - esencję bursztynową. Wszystkie bóle przejdą.

Hortensja Wojtasik przyjęła z podziękowaniem flakonik ze złotawym płynem. Obiecała, że jeszcze tego wieczora przeprowadzi kurację. W tym momencie odezwał się gong na kolację. Pani Kozicowa zaczęła gwałtownie przekładać porzrzucone wszędzie części ubrania, chcąc chiński szlafrok zastąpić godną hiszpańską szatą. Hortensja tymczasem udała się do siebie umyć ręce i przyglądzić siwe i dość niesforne włosy.

*

Kolacja przebiegła spokojnie. Głównie zresztą dlatego, że Pelagia, na skutek urażonej ambicji, a może dzięki radom pani Wojtasik, przeszła samą siebie. Posiłek był rzeczywiście znakomity. Nawet generałowa nie powiedziała złego słowa. Zmiotła wszystko z apetytem.

Hortensja, jako osoba ceniąca dobrą kuchnię, nigdy jednak nie ulegająca grzechowi obżarstwa, skosztowała po troszeczku wszystkich specjalów, popiła dwoma filizankami herbaty - także dziś wyjątkowo dobrej - i wcześniej wycofała się do swojego pokoju. Po dobrej kąpieli wysmarowała obolałe miejsca esencją bursztynową. Zasnęła kamiennym snem, rano obudziła się rześka i wypoczęta. Nogi prawie wcale nie bolały. Natychmiast więc postanowiła rzucić się w wir działań. Powędrowała do Maliniec. Po wielu dniach niepogody znów zaświeciło słońce. Świat mienił się wszystkimi barwami jesieni. Nadchodziło babie lato. Pani Wojtasik różnym krokiem maszerowała do miasteczka wdychając czyste, orzeźwiające powietrze. Głównym celem jej wyprawy był wprawdzie urząd pocztowy, po drodze jednak, prawdopodobnie pod wpływem energicznego marszu, przyszło jej do głowy, że dobrze byłoby

zajść do pewnego małego żydowskiego sklepiku, w którym kupowała niegdyś znakomite nugaty i rachatlukum. Stanowczo miała słabość do słodczy. Toteż zamiar swój zrealizowała natychmiast po dojściu do nędznego ryneczku. Wytargowała, jak należy, towar i z paczką smakołyków pod pachą wkroczyła na pocztę. Nie musiała zastanawiać się długo, gdzie załatwić swoją sprawę, okienko było tylko jedno. Siedziała w nim blond piękność, wyraźnie pragnąca upodobnić się do Marleny Dietrich. W momencie wejścia pani Hortensji obgryzała właśnie paznokcie. Natychmiast jednak zaprzestała tego haniebnego zajęcia, z zaciekawieniem przyglądając się interesantce.

- Poproszę dwie koperty i dwa znaczki na listy - zwróciła się do niej pani Wojtasik.

Dziewczę grzebało się dość długo, od czasu do czasu rzucając kątem oka na Hortensję. Wyraźnie miała ochotę nawiązać rozmowę. Nowo przybyła ułatwiła jej to zadanie.

- Musi się pani tu nudzić... tak sama - zauważyła.

- Pewno, pan naczelnik rzadko przychodzi, częściej w rynku u Lejzorka przesiaduje. Mówi, że piwo tam dobre

- skrzywiła się z niesmakiem - A ty, człowieku, siedź tu, czasem godziny mijają, żywego ducha się nie zobaczy.

Pani Wojtasik ze współczuciem pokiwała głową: - Szkoda takiej ładnej, młodej dziewczyny. Jak pani na imię?

Rozmówczyni rozpromieniła się. - Bożenka-oznajmiła.

- A pani, to chyba nietutejsza? Nigdy pani nie widziałam.

- A, nietutejsza, ale już przeszło miesiąc mieszkam niedaleko stąd, w „Idylli”.

- O rany! - wykrzyknęła panna Bożenka. - I nie boi się pani?

- A czegoż miałabym się bać?

- No, wie pani, nigdy nie wiadomo. Ta baletnica tam mieszkała i szybko ją ktoś załatwił.

- Eee, od razu załatwił. Po prostu wypadek, wszędzie może się zdarzyć!

- Ale ona była jakaś dziwna - upierała się urzędniczka pocztowa. - Zawsze w tych fioletach, stare szmaty takie, przedwojenne. A nosa darła!

- To pani ją znała, panno Bożenko?
- E tam, znała. Kilka razy przychodziła.
- Dużo wysyłała listów?
- Nie. Żeby dużo, to przesada. Raz tylko jakiś list wysyłała.
- Pewnie do rodziny - zaryzykowała pani Hortensja.

- Nie wiem do kogo. Ja tam nie oglądam - panna Bożenka pogardliwie wydeła wargi. - Do kogo telefonowała, też nie wiem. Z tej kabiny nic nie słychać. A chyba ze trzy razy dzwoniła. Raz to nawet całkiem niedawno. Chyba ostatni raz ją wtedy widziałam. Kapelusze miała taki, jaki sto lat temu noszono. A oczy jakies... rozbiegane. Wyglądała jak strach na wróble, Panie, świeć nad jej duszą

- dodała na wszelki wypadek.

Hortensja Wojtasik schowała koperty do torebki i uśmiechnęła się ujmująco.

- Do widzenia, panno Bożenko, wszystkiego dobrego! Może by pani jakąś książkę poczytała sobie, kiedy nie ma ruchu?

- Nie mam skąd brać, raz miałam - Marczyńskiego. Fajna, ale musiałam oddać.

- Następnym razem przyniosę pani coś do czytania - zapewniła ją Hortensja. - Do zobaczenia!

- Do widzenia pani. - Z podniecenia znów podniosła dłoń do ust.

Pani Wojtasik ruszyła w powrotną drogę. Na zakręcie machinalnie wyciągnęła jeden nugat i zaczęła przegryzać.

- Do kogo dzwoniła ta nieszczęśnica? - myślała. - Rodziny żadnej nie ma, przyjaciół nie ma - a jednak? Może tylko udawała przed sobą, że gdzieś dzwoni, do kogoś pisze. Tak jak z tym bankiem. Naprawdę należałoby zbadać przeszłość tych staruszków. Hortensja przez dłuższy czas szła zamyślona. - Eureka! - nagle zawołała głośno i obejrzała się, czy nikt tego nie słyszał. Szosa była jednak pusta. - Już wiem, co zrobię, co muszę zrobić. Ale do tego trzeba pojechać do Lublina. A więc jutro do Lublina! E, nici z tego - przypomniała sobie - jutro jest pogrzeb Bellówny. Do Lublina pojedę pojutrze. Dumna ze swego pomysłu wkroczyła przez bramę wjazdową. Na ławce opodal siedziała

nadęta jak zwykle Amelia Krukowa.

- Skąd to? - zaczęła panią Hortensję.

- Ze spaceru.

- Proszę, niech pani spocznie - Krukowa uśmiechnęła się krzywo.

Pani Wojtasik usiadła bez entuzjazmu i poczęstowała ekskrawcową nugatem. Amelia nie odmówiła. Jadła przez chwilę, po czym zaatakowała:

- Powinna mi pani pomóc, Wieczorkowa pani słucha.

- Nie wiem, doprawdy, w czym mogłabym pani pomóc?

- chłodno powiedziała Hortensja.

- Z Wieczorkową pogadać o tym pokoju po baletnicy. Ja z tą bezbożnicą już wytrzymać nie mogę - Krukowa spuściła wzrok zagryzając usta.

- Nie wiem, czy to pomoże. Zresztą oddzielny pokój jest z pewnością znacznie droższy. Nie wiem, czy panią stać?

- Droższy, droższy - zaperzyła się Amelia. - Mogłaby po tej samej cenie wynająć, gdyby Boga w sercu miała, bezwstydnica.

- Co też pani mówi!

- A to pani nie wie, że ona rozwódka?

- Wiem, ale nikogo za to nie potępiam. Pani Jola nie ma łatwego życia, dziecko sama musiała wychować.

- To i wychowała na szulera. A tak źle to jej nie jest. Pieniądzy z ludzi dość powyłudza. Ona i tę baletnicę chciała oskubać, ale trafiła kosa na kamień Jedna taka sama dobra jak i druga.

- Proszę pani - zapytała lodowatym tonem pani Wojtasik - czy pani chce prosić mnie o przysługę, czy też obmawiać panią Wieczorkową? Jeśli to drugie, to nie trafiła pani na wdzięcznego słuchacza.

Krukowa wyprostowała się godnie: - Nie chcę niczyjej łaski. Wiem, że pani zawsze jej będzie broniła. Nawet jak powiem pani, że ona tego Bazylego, co to mieszkał przed Bellówną, na tamten świat wyprawiała.

- Przede wszystkim w podobne oszczerstwa nie uwierzę - orzekła pani Hortensja wstając z ławki.

- To niech pani każdego zapyta. Tak się z nim pokłóciła, że biedaczysko na atak serca skonał.

Hortensja Wojtasik oddaliła się szybko. Była wściekła. Pomyślała nawet, że Amelia Krukowa mogłaby chyba popełnić morderstwo. - Ale z tą Jolą coś swoją drogą nie w porządku - przyszło jej nagle do głowy. Te wizyty wieczorne z Bellówną u Żelazkiewicza, i to udawanie anioła... Fałsz, po prostu fałsz jest w tej kobiecie.

Przy obiedzie przyglądała się właścicielce pensjonatu bacznie, sama mając sobie za złe, że ulega ohydnyim insynuacjom starej jędzy. Jola Wieczorkowa wydawała się przygaszona. Znów była w Lublinie, ale wróciła w kwaśnym humorze. Po obiedzie szybko opuściła jadalnię.

*

O zmroku wszyscy zebrali się w salonie. Pani Wojtasik chcąc uciec przed dość monotonną konwersacją, postanowiła pospacerować jeszcze po ogrodzie. Długo jednak samotności nie zażyła. Z gęstniejącego mroku wychyliła się Eliza Conti. Jej masywna postać ginęła w fałdach aksamitnej peleryny, której kołnierz obszyty był srebrną lametą. Hortensji przemknęło przez głowę, że artystka zbyt wcześnie przybrała pogrzebowe szaty.

- Nigdzie i nigdy spokoju - dramatycznym głosem rozpoczęła rozmowę Eliza - błąkam się... wieczór za wieczorem... w dodatku, te głosy, wszędzie pełno głosów. To szmer widowni.

- Chłodno już, pani Elizo, proszę się lepiej okryć.

Szeleszczące pod nogami liście głużyły dźwięki rozmowy obu kobiet. Od czasu do czasu, przez wierzchołki drzew przelatywał wiatr. Siwe włosy aktorki tworzyły wtedy aureolę.

- Nikomu wierzyć! Każda roślina kłamie, one są niewzruszone, ich los tkwi w ziemi. Ja błądzę... nie wiem, czuję na sobie swój los.

- Czy pani się czegoś lub kogoś boi? - zapytała z przejęciem pani Wojtasik.

- Opadają powoli... coraz więcej ptaków z lasu... takie

blaszane liście wirują.

Dwie sylwetki zbliżały się do plam światła rozmazanych na ścieżkach malinieckiego pensjonatu. W domu jeszcze wszystkie okna były rozświetlone, wybiegało z nich ciepło; tu jednak pachniało wilgocią butwiejących resztek lata, piwniczne zimno dawało się we znaki starym kobietom.

- Może podejmiemy nieco szybciej? - spytała nie wiedząc dlaczego szeptem Hortensja.

- O, znów chodzi...

- Kto?

- Chodzi tam... nie tam - rozrzuciła ręce Eliza. - Poznaje jego krok.

- Pani Elizo, tu nikogo nie ma, jesteśmy same w ogrodzie.

- Banko! I dziś znowu! - czarna peleryna zafalowała i Conti obróciła się dookoła. Patrzyła gdzieś w ciemność, i choć nie mogła nic widzieć, resztką aktorskiej sztuki zdawała się świadczyć za swymi nonsensownymi słowami. Ten strzęp człowieka był rzeczywiście czymś głęboko przejęty.

- Niech się pani uspokoi, pani Elizo, zaraz będziemy na tarasie. Noc jest wyjątkowo ponura, ale nie ma się czego obawiać.

- Duch Banka, o tam, tam, za tym wysokim grabem. Idzie do nas.

- Gdzież duchy tak wczesną porą? One pojawiają się dopiero po północy. Proszę tu stąpać ostrożnie. Na ścieżce w tym miejscu było mniej żwiru i pod nim rozdeptana glina.

- One pojawiają się w dniu tragicznej śmierci. Banko wtedy też chodził po parku.

- Niemożliwe, co też się pani przewidziało? Kiedy pani widziała Banka? Tego ducha?

Duża sylwetka w pelerynie jakby zapadła się w siebie: - Wczoraj i w niedzielę... i jeszcze kiedyś... głowa mnie boli... nie pamiętam.

Gdzieś z boku trzasnęły łamane gałązki. Pani Wojtasik także zaczęło się robić nieswojo. Ostatnie metry dzielące je od tarasu zostały pokonane nader szybko, Eliza Conti opadła na żelazne krzeselko, pomimo nienagannie przybranej pozy widać było

zmęczeniu. Tymczasem Hortensja, złapawszy oddech, podeszła do balustrady starając się wypatrzeć coś w mroku późnego wieczoru. Z głębi istotnie ktoś nadchodził, ale kroki, ledwo słyszalne, kierowały się ku bocznym drzwiom pensjonatu. Zapewne widok starych dam na tarasie pomieszał szyki zbliżającemu się.

Pani Wojtasik straciła już nadzieję na wypatrzenie ducha Banka, gdy z ciemności doszedł ją głos Pierożyńskiego:

- Mogą się panie przeziębic. Za duży chłód. Ja idę spać. Dobranoc.

- Dobranoc - z ulgą odpowiedziała pani Hortensja.

*

Czwartek w „Idylli” rozpoczął się ód szalonej krzątaniny. Wszyscy ledwo przełknawszy śniadanie ruszyli do pokoiów przebrać się na smutny obrządek. W domu panowało jakieś nieokreślone przygnębienie, umilkły zwykle swary, schodzono sobie raczej z drogi. W pół do dziesiątej pod bramą stała już generałowa z krawcową i Danielem, reszta nadchodziła powoli. Nawet Rózia i Zuzia, wyszykowane jak do kościoła na sumę, stały się punktualnie. A przecież mszy biedna tancerka została pozbawiona. Miejscowy proboszcz kategorycznie sprzeciwił się nabożeństwu za duszę kalwinki, nawet, jeśli to miało dotyczyć ofiary wypadku, chyba bardziej potrzebującej błogosławieństwa na długą drogę w zaświaty niż inni, opatrzeni sakramentami. Dyplomatyczne zabiegi pani Wieczorkowej zmiękczyły księdza, który w rezultacie zgodził się odprowadzić ciało Bellówny do grobu na malinieckim cmentarzu. Bellówna była zresztą wychowana w wierze katolickiej, a jedynie „rozwód” zmusił ją do zmiany wyznania.

Błade słońce przyglądało się beładnej grupce wiedzionej przez Wieczorkową w stronę kościoła. Rózia taszczyła ogromny wieniec upleciony z papierowych pąsowo-srebrnych chryzantem u dołu i prawdziwych astrów u góry, liliowych, w kolorze tak lubianym przez ekscentryczną Natalię. Reszta towarzystwa wlokła się w swych czarnych strojach jakby wypożyczonych z ubogiej garderoby prowincjonalnego teatru.

Obok szeroko otwartych wrót do podziemi kościoła stał oparty o ceglany mur srebrny krzyż wetknięty na długą czarną tykę. Przy trumnie, z głową dotykającą niskiego sklepienia tkwił zakrystian w komży. Cała grupa odprowadzających towarzyszkę wypełniła szybko ciasne pomieszczenie. Niebawem zaczęli napływać mieszkańcy Maliniec, zwykli uczestnicy takich uroczystości. Dobiegło też człapanie koni. Widać nadjechał karawan. Minęło jeszcze parę minut, nim zjawił się ksiądz z kropidłem i mały ministrant z kadzielnicą. Wysoko ponad łukiem sufitu odezwała się wtedy przytłumiona sygnaturka, a wraz z jej dźwiękiem weszli grabarze. Trumna majestatycznie opuszczała podziemia. Oczy pani Wojtasik zaszkliły się łzami. Wydawało się jej, że Bellówna po ostatnim pas odpływa za kulisy i tylko braw nie było już słyhać. Konie szarpnęły czarnym baldachimem, ruszył też kondukt, który był jedyny w swoim rodzaju i w swojej biedzie samotności. Patrzącego z boku mógł porwać żaloszny śmiech, a powinna opanować zaduma nad dogorywającym życiem tych istot. Koła terkotały po kocich łbach, białe pióropusze koni ciągnących karawan chwiała się na wszystkie strony. Ksiądz postępował za krzyżem zatopiony w brewiarzu. Wkrótce przekoczono zardzewiałe wierzeje cmentarne i trumna w dalszą drogę ruszyła na barkach grabarzy o malinowych nosach. Amelia Krukowa nie powstrzymała się od prostackiej uwagi, że Bellówna i po śmierci ma czterech młodych chłopów.

Z daleka widać już było rozkopaną ziemię, miejsce wiecznego spoczynku Natalii, kiedy uwagę konduktu przykuł stojący nad pustą jeszcze mogiłą mężczyzna. Znakomicie ubrany człowiek w średnim wieku zdjął na widok zbliżającego się konduktu pilśniowy kapelusz z dużym rondem. W rękę trzymał imponującą wiązanke pąsowych róż. Wieczorkowa w tym samym momencie nachyliła się do pani Hortensji z wyjaśnieniem.

- To ten inżynier, który przejechał Bellównę. Prawda, że przystojny?

- Pan Kalinowski?

- Tak - szepnęła Wieczorkowa, i zaraz cała grupka żałobników wiedziała, kim jest nieznajomy przy grobie. Na wielu przybycie Kalinowskiego na tę smutną uroczystość zrobiło przychylnie wrażenie. Pani Wojtasik także ten gest bardzo się podobał, starała się znaleźć blisko inżyniera. Chmara miejscowych dewotek odcięła jej jednak drogę, toteż Hortensja odłożyła na później rozmowę ze sprawcą nieszczęścia. Baczyła tylko uważnie, żeby Kalinowski nie wymknął się wcześniej.

- Za duszę świętej pamięci Natalii odmówmy Ojczy Nasz, Zdrowaś Mario i Wieczne Odpoczywanie - głos księdza przerwał narastające szepty zamieniając je w mamrotanie modlitwy. Widok trumny ze zwłokami Bellówny pod nogami dawał kilku pensjonariuszom krótkie odprężenie w oczekiwaniu na własną kolejkę; tym bardziej że nikt prawie nie lubił baletnicy. Jedynie siostra Danusia chlipała w chusteczkę. Była młoda i mogła sobie pozwolić na luksus współczucia.

Ksiądz pochylił się po grudkę ziemi, przez chwilę rozcierał ją w palcach, jakby zwlekał, wreszcie cisnął ją na wieko trumny. Kamyki spadając po owalnych bokach dębowej ściany wydawały głuchy odgłos.

- Pulver es et pulveris revertetris...

Trumnę spuszczonego w dół. W tym momencie rozległ się nieoczekiwany szatański śmiech Elizy Conti. Echo odbiło się o kamienne nagrobki cichego jesiennego cmentarza potęgując niesamowitość tej sceny. Po ostatnim dudniącym: ha, ha, ha! - Eliza gorączkowym gestem podniosła dłoń do czoła i lekko się zachwiała. Wieczorkowa podbiegła z pomocą, ujęła pod rękę starą aktorkę. Zapanowała ogólna konsternacja, z czego skorzystała Hortensja przesuując się w stronę tkwiącego stale w tym samym miejscu inżyniera.

- Bardzo pana przepraszam - powiedziała ściszym głosem - rozumiem, że to dla pana przykre przeżycie. Chciałam panu podziękować za przybycie, za tę piękną wiązanke. Myślę, że niewiele osób byłoby stać na coś podobnego.

- Czulem taką potrzebę - odpowiedział pan Jerzy spoglądając z zaciekawieniem na drobną postać Hortensji. — Czy pani jest krewną... zmarłej?

- Nie. Jestem tylko na urlopie w pensjonacie „Idylla”. Ona tam mieszkała.

Inżynier ruszył ku bramie, lecz Hortensja nie zamierzała jeszcze pożegnać swego rozmówcy. Przeszli zatem w boczną alejkę oddalając się od pozostałych przy grobie Bellówny mieszkańców podmalinieckiej willi.

- Chciałam zapewnić pana o mojej przychylności. Ujęła mnie taka postawa, mało jest dziś gentlemenów. Rozumiem dobrze pana sytuację i bardzo chciałabym pomóc. Nie mam tylko pojęcia jak?

- Ja też nie mam pojęcia, jak sobie pomóc. Chyba nie obejdzie się bez procesu?

- Wspominał pan w zeznaniach po tragicznej nocy, że był tam jeszcze ktoś. Może trzeba szukać dalej, nie poddawać się za wcześnie.

- Wyczerpałem już wszystkie dostępne mi środki.

- Ja mam natomiast zebranych parę niejasności z tego wieczora, gdyby pan zechciał przyjąć mnie u siebie, w Lublinie, moglibyśmy razem dojść do jakichś wniosków.

Kalinowski po krótkiej chwili wahania pochylił głowę z atencją i rzekł: - Będzie mi niezwykle przyjemnie.

- Może jutro - zaproponowała pani Hortensja.

- Dobrze, jeśli to pani odpowiada, przed południem. O jedenastej?

- Jedenasta jest godziną idealną. Tylko jeszcze miejsce musimy ustalić.

- Byłbym zaszczycony, gdyby pani zechciała mnie odwiedzić: ulica płk. Lisa-Kuli nr 3.

- Zgoda - odrzekła Hortensja.

Kalinowski złożył głęboki ukłon i ruszył w stronę bramy.

*

Po trudach wyprawy na cmentarz maliniecki i emocjach związanych z pogrzebem Natalii, pensjonariusze „Idylli” byli

wyraźnie zmęczeni. Toteż natychmiast po obiedzie towarzystwo rozeszło się do swoich pokojów. Nawet generałowa nie wyraziła ochoty na grę w inteligencję. Pani Hortensja jednak machinalnie udała się do buduaru. Zasiadła wygodnie w fotelu, który kilka dni temu okupował sędzia śledczy, i oddała się rozważaniom o ostatnich wydarzeniach. Szczególną uwagę poświęciła tragicznie zmarłej balerinie. - Właściwie bardzo enigmatyczna postać - myślała. - Nikt o niej nic nie wie poza tym, że tańczyła w różnych rolach. Skąd ta legenda o jej bogactwie, o niezliczonych kochankach? Czy jest w tym choć źdźbło prawdy, czy też tylko zwykła zawiść ludzka? W końcu przecież nie było jej czego zazdrościć. Niezależnie od bujnej młodości na starość została sama, niezbyt zamożna, a w dodatku znienawidzona przez swoje otoczenie. Pani Hortensja przypomniała sobie również o mężach Natalii. Rzekomo było ich trzech. Nawet jeśli dwa razy owdowiała, to z trzecim musiała się rozwodzić – była przecież kalwinką. Czyżby więc jeden z tych mężów żył? Ten list i rozmowy telefoniczne...

W tym momencie z sąsiedniego salonu dotarł do jej uszu ściszony głos kobiety. Jola Wieczorkowa coś do kogoś mówiła, na co przez czas dłuższy nie otrzymywała odpowiedzi.

Pani Wojtasik nie miała zwyczaju podsłuchiwania cudzych rozmów, tym razem jednak poczuła instynktownie, że nie powinna się ujawniać. Skuliła się więc i siedziała cichutko jak mysz pod miotłą. Z początku nie była w stanie rozróżnić słów. Cichej tyradzie właścicielki „Idylli” towarzyszyło teraz pomrukiwanie innej osoby. - Jej rozmówcą jest mężczyzna - skonstatowała Hortensja. I w tym momencie wyłowiła uchem pierwsze konkretne zdania: - Trzy tysiące siedemset - mówiła Wieczorkowa. - Do jutra wieczór muszę zapłacić. Znów odpowiedział jej nieokreślony pomruk. Jola jednak wyraźnie podniosła głos: - Może i nie pana sprawa, a może i pana. Proszę się dobrze zastanowić.

- Nad czym? - tym razem i męski głos zabrzmiał wyraźnie.

- Żelazkiewicz - stwierdziła Hortensja Wojtasik.

Jola znowu wróciła do szeptu, teraz jednak był on raczej słodki. Po chwili odezwał się bas ogrodnika: - Nie ma mowy!

Nastąpił dłuższy moment ciszy, po czym głos kobiety wycedził mocno i wyraźnie: - Jak pan uważa, ale sędzę, że odmawianie mi tej drobnej przysługi może panu nie wyjść na dobre.

Drzwi od ogrodu otworzyły się z hukiem. Na tarasie zadudniły szybkie kroki ogrodnika. Pani Hortensja zerknęła w okno. Żelazkiewicz zmierzał w stronę swego domku. Jego wysoka sylwetka wydała się jeszcze bardziej zgarbiona.

- Do Lublina! Muszę jutro dotrzeć do Lublina. Tylko tam mogę się czegoś dowiedzieć - wyszeptła gorączkowo pani Wojtasik. W jej głowie kłębiły się różne niedorzeczne przypuszczenia. - Opanuj się, Hortensjo! - skarciła samą siebie. - Cierpliwości, trochę cierpliwości!

*

W piątek, 4-tego października, Hortensja obudziła się wcześniej. Przez szpary pomiędzy ciężkimi kotarami zasłaniającymi okno jej pokoju prześwitywało łagodne jesienne słońce. Podniecona zadaniami, jakie ją dziś oczekiwały, pani Wojtasik zerwała się szybko. Po bólu w nodze nie pozostało śladu. Umyła się i ubrała wyjątkowo starannie. Włożyła popielatą sukienkę z wełnianego jerseyu. Z okrągłego tekturowego pudła wyciągnęła odpowiedni filcowy kapelusz. Na szyi zawiązała dość zawadiacko apaszkę w odcieniach granatowym i bordo. Przycesała włosy, usta pociągnęła leciutko szminką i włożyła czystą batystową chusteczkę do torebki. Jeszcze tylko strzepnęła kilka pyłków z wiszącego na wieszaku granatowego płaszcza i udała się na śniadanie. Na szczęście, w jadalni nikogo nie było prócz Zuzi, która zakręciwszy się błyskawicznie, przyniosła gościowi kilka grzanek i herbatę. Pani Hortensja na nic więcej nie miała ochoty. Dodała, że spieszy się, ponieważ jedzie do Lublina i nie wie, czy zdąży wrócić na obiad. Zuzia wyraźnie chciała zapytać o cel tej nieoczekiwanej wycieczki, jednak nie ośmieliła się. Tak więc pani Hortensja, przez nikogo nie indagowana, wyruszyła w stronę malinieckiego rynku. Autobus spóźnił się nieco, ale i tak pani Wojtasik przed dziesiątą dotarła do Lublina. - Mam

jeszcze trochę czasu - pomyślała - pójdę spokojnie piechotą. Mimo częstych pobytów w Malińcach, do Lublina zaglądała rzadko. Ciekawa więc była zobaczyć, co się w tym mieście zmieniło od czasu, gdy uczyła w tutejszym gimnazjum. Po drodze weszła na pocztę i poprosiła o książkę telefoniczną. - Czy on aby ma telefon? - martwiła się, szukając gorączkowo litery N. - Jest! Nycz Ludwik!

Wykręciła numer. Po dłuższej chwili odezwał się dźwięczny, lekko afektowany męski głos: - Hello!

- Tu Hortensja Wojtasik, chciałam mówić z panem...

- Droga pani Hortensjo - przerwał męski głos - jakże się cieszę, tyle czasu nic o pani nie słyszałem! Skąd pani dzwoni?

- Z poczty.

- Jak to? Stąd, z Lublina?

- Tak.

- Byłoby mi bardzo miło spotkać się z panią. Czy to jest możliwe?

- Właśnie o to samo chciałam się pana spytać.

- A o której godzinie czcigodna pani dysponuje czasem?

Hortensja zawahała się: - Sądzę, że około pierwszej będę wolna.

- To doskonale - ucieszył się jej rozmówca. - Wobec tego zapraszam panią na obiad. Czekam o pierwszej w „Europejskiej”.

- Czy nie za szykownie jak na moją skromną osobę? - w jej głosie dźwięczała nuta kokieterii.

- Pani szanowna raczy żartować. Nie ma zbyt eleganckiego lokalu dla tak rzadko widywanego gościa.

- Niechże więc będzie, panie Ludwiku. Stawiam się punktualnie.

- Zamówię stolik i będę czekał w hallu.

- Wobec tego do rychłego zobaczenia.

- Do zobaczenia, pani Hortensjo. Zrobiła mi pani przemiłą niespodziankę.

Pani Wojtasik odwiesiła słuchawkę. Uśmiechnęła się na myśl o spotkaniu z trochę zabawnym, ale niewątpliwie sympatycznym znajomym z dawnych lat. Wyszła z urzędu

pocztowego i pomaszerowała w stronę dzielnicy willowej.

W labiryncie wąskich uliczek odnalazła w końcu potrzebny adres. Zza żywopłotu wystawała biała bryła jednopiętrowego domu o płaskim dachu. Fasadę przecinała pionowa linia szybek znacząca niesymetrycznie usytuowany hall i schody. Po prawej, od ogrodu, był taras, a przed nim wąski basen oddzielony różanym gazonem. Po stronie lewej do willi przytknięty został garaż, wypełniający przestrzeń graniczącą z sąsiednią posesją. Dzwonek w furtce terkotał aż do momentu, gdy Hortensja wstąpiła pod ganek ze śmieszną żelazną latarenką, przypominającą trochę lampy karawanu. Drzwi z jasnego drzewa uchyliły się i sam pan inżynier stanął w progu.

- Oczekiwałem panią! - Kalinowski w powściągliwym ukłonie starał się uśmiechać możliwie szeroko.

- Jestem prawie punktualna - Hortensja spojrzała na zegarek. - Mam nadzieję, że pan się nie śpieszy?

- Skądże, proszę dalej - gospodarz willi jakby trochę stawał się miłszy. Wprowadził gościa do obszernego hallu! Wszystko tu było z jesionu. Na wysokości głowy wzdłuż białych ścian pokoju biegły podwójne półki, na których stało parę egzemplarzy ładnej ceramiki: bańki, dzbanki,, gliniane zwierzęta. Na górnej półce, oparty o ścianę stał obraz Matki Boskiej z Dzieciątkiem malowany na szkle przez jakiegoś Hucuła; kapiący czerwienią płaszcz, niebieskie lilie przemieszane z zielenią ornamentów, tworzyły znakomity akcent kolorystyczny. Pod obrazem, w kącie stał niski stół i dwa fotele skórzane, za nimi wznosiły się drewniane schody. Z hallu rozchodziły się gwiazdźście pokoje. Do jednego z nich Jerzy Kalinowski wprowadził swego gościa. Pani Wojtasik ledwo przekroczyła próg pokoju, oniemiała z zachwytu nad dywanem. Prawdziwy pers pokrywał całą ścianę łącząc się nieomal ze wspianiałym tremem w złotych ramach zajmującym róg pokoju. Pod przeciwległą ścianą tykał miarowo belgijski zegar. Obok dominował portret pięknej kobiety w imponującym kapeluszu, ozdobionym ogromnym pękiem piór.

Pani Hortensja zaproszona uprzejmym gestem gospodarza, spoczęła na kanapie. Kalinowski usiadł na krześle i zamyślił się chwilę zwracając ku niej swój ostry, męski profil. Światło słoneczne dawało błyski w jego kasztanowatych, równo rozdzielonych przedziałkami, włosach.

Jola ma rację, przystojny mężczyzna - pomyślała pani Hortensja

- Zaszczyca mnie pani swoją wizytą, pani...

Hortensjo. Hortensja Wojtasik, emerytowana profesorka fizyki. Nawet nie przedstawiłam się panu. Niech pan wybaczy ten nietakt.

- Ach, żaden nietakt, szanowna pani. Po prostu nie było na to czasu - pośpieszył z usprawiedliwieniem Kalinowski. - Czym mogę panią poczęstować: kawa, herbata, u może coś mocniejszego?

- Proszę się nie fatygować, dziękuję bardzo.

- Naprawdę nic? - zmartwił się gospodarz.

Naprawdę nic. W moim wieku trzeba już uważać.

Zapanowało krótkie milczenie. Hortensja przerwała je pierwsza.

- Piękną ma pan willę i tyle ładnych przedmiotów.

- No cóż, zostało mi trochę rzeczy po matce.

Czy to ta śliczna pani? - spytała pani Wojtasik wskazując damę z portretu.

- Tak - odpowiedział z pewną dumą Kalinowski. - Była Ulotnie bardzo piękna.

Hortensja jeszcze przez moment patrzyła na portret.

Spod ogromnego kapelusza spoglądały na nią rozmarzone, granatowe oczy.

Przejdźmy do rzeczy - powiedziała. - Może pana dziwi moja wizyta, ale proszę mi wierzyć, kiedy zobaczyłam pana tam, na cmentarzu, pomyślałam sobie, że mam obowiązek panu pomóc. Przedtem był pan dla mnie anonimową postacią, musiałam dopiero pana ujrzeć, aby poczuć, że pan jest żywym człowiekiem, którego może spotkać niezasłużona krzywda.

Kalinowski przyjrzał się uważnie skromnie siedzącej Hortensji. - Jestem pani ogromnie wdzięczny. Doprawdy, nie

wiem, czym zasłużyłem na pani życzliwość. Niemniej - jak już pani mówiłem - nie wiem, nie mam pojęcia, jak pani mogłaby mi pomóc. Policja mi nie wierzy, a ja nie mam sposobu ich przekonać.

Hortensja spytała konspiracyjnie. - Może jakieś dowody przekonałyby policję?

- Ale takie dowody nie istnieją - stwierdził ze smutkiem gospodarz.

- Jednak widział pan kogoś. Czy naprawdę nie mógłby pan tej osoby rozpoznać?

- Niestety, absolutnie nie. Wie pani, było ciemno, mgła. W ułamku sekundy zrozumiałem, że nie uniknę wypadku. Byłem po prostu wstrząśnięty.

- Nie dostrzegł pan nawet, czy była to kobieta czy i mężczyzna? - ciągnęła pani Wojtasik.

- Nie mam pojęcia - odpowiedział po krótkim wahaniu Kalinowski. - Postać w długim płaszczu, to wszystko.

W tym momencie odezwał się w hallu telefon. Inżynier przeprosił gościa i wyszedł. Po chwili do uszu Hortensji dotarł jego poirytowany głos: - „Wysłałem pieniądze wczoraj”. Nastąpiła dłuższa pauza, widocznie osoba po drugiej stronie drutu wygłaszała tyradę.

- Nie mam czasu w tej chwili - krzyknął w końcu Kalinowski - mam gościa... Nie, wyobraź sobie, że nie moja przyjaciółkę... powtarzam, nie mam czasu. Zadzwońię po południu. Do widzenia.

Wrócił do salonu wyraźnie zdenerwowany, choć usiłował opanować się.

- Pani wybacz. Dzwoniła moja żona, właściwie była żona - poprawił się.

- Separacja? - spytała pani Wojtasik starając się przybrać jak najdyskretniejszą minę.

- Tak, Niestety - westchnął Kalinowski. - Dzieci żal. Syn ma trzynaście, córka dziesięć lat. - Pośepnie spojrział na blat stolika.

- A więc nie uprzytamnia pan sobie, kto był na szosie z Natalią Bellówną? - zmieniła temat Hortensja. - Szkoda,

wielka szkoda.

- Wiem jednak, że był tam ktoś na pewno, ktoś, kto ją popchnął. Czy mógł to być ktoś z tego pensjonatu?

- Teoretycznie mógł, prawie każdy, zwłaszcza że zmarła nie była tam zbyt popularną osobą.

- Co pani mówi? - zdziwił się gospodarz. - To przecież grono starców.

- Nie są tak niedołęzni, jak to by się mogło wydawać - zaprotestowała Hortensja - i w dodatku, to właśnie chciałam panu powiedzieć, wszyscy składali fałszywe zeznania.

- Jak to? Skąd pani o tym wie? Czy mogłaby to pani udowodnić?

- Mogłabym. A skąd wiem? Mam swoje metody - podniosła w górę palec.

Inżynier uśmiechnął się: - A na czym polegały te fałszywe zeznania?

- Na tym, że nikt wtedy, w każdym razie prawie nikt nie udział w swoim pokoju, a wszyscy twierdzili, że zaraz po kolacji poszli spać.

- Ciekawe - zadumał się Kalinowski.

To jest bardzo dziwne towarzystwo, proszę pana - ciągnęła pani Wojtasik. - Gdyby pan tylko mógł sobie przypomnieć tę osobę.

- Myśli pani, że to mimo wszystko ktoś z pensjonatu? - spytał z ledwo dostrzegalną nadzieją w głosie.

- Nie wykluczam takiej możliwości.

- Tacy starzy ludzie, tacy nieporadni - ciągnął z powątpiewaniem.

- Starzy i biedni, to prawda, ale w starcach drzemią często straszne namiętności. Ja bym za nich trzech groszy nie dała. Jedna parzy tajemnicze zioła i odbywa spacerzy przy księżycu. Drugi bez umiaru obmawia ludzi, trzecia chciwa i podstępna, czwarty mruk o podejrzanej przeszłości, w końcu - piąta, sfiksowana aktorka, która wieczorami krąży po domu i odgrywa różne role...

- Pewnie ta, która śmiała się na cmentarzu - wtrącił Kalinowski.

- Zgadł pan. Niepoczytalna osoba. Mówi ciągle; - „zdradził i odszedł” - a raz powiedziała mi nawet, że na czerwonych różach przyniósł jej do garderoby pierścionek.

- Pierścionek?

- Tak, wetknięty na różę, zdaje się, że z czarną perłą w rombie z czarnej emalii. Pewnie to sobie wymyśliła lub wygrzebała z jakiejś marnej sztuki. Niesamowita kobieta.

- Rzeczywiście - przytaknął Kalinowski - zdaje mi się, że jest tam jeszcze taka pani o oczach... no...

- ...zezowatych, chciał pan powiedzieć. To niejaka generałowa Kaczorowska. Łakoma, niby to niegroźna, ale kto to wie? Myśl, że wśród nich może się bezkarnie ukrywać morderca, spędza mi sen z powiek. Dlatego właśnie przyszedłam do pana -- zakończyła Hortensja.

Kalinowski skłonił głowę. - Jestem niezmiernie wzruszony pani troską i ogromnie zobowiązany. Obawiam się jednak, że nic nie zdziałamy. W końcu będę odpowiadał za nieumyślne spowodowanie śmierci. Wyrok nie powinien być duży.

- W tym sęk - westchnęła pani Hortensja - że wyrok powinien otrzymać kto inny - i może znacznie wyższy. - Zamyśliła się chwilę błędząc bezwiednie wzrokiem po ścianach. Wreszcie wstała.

- No trudno. Rozczarował mnie pan. Liczyłam, że otrzymam od pana jakieś wskazówki. Będę jednak nadal walczyła.

Wyciągnęła do Kalinowskiego dłoń, którą on z szacunkiem ucałował. - Dziękuję pani z całego serca - powiedział ze ściśniętym gardłem. - Jest pani osobą nader szlachetną.

- Niech pan-nie przesadza - zachnęła się Hortensja. - To przecież normalny ludzki obowiązek, a poza tym starcza ciekawość. No, żegnaj pana. Proszę się nie załamywać.

- Moje uszanowanie pani.

Hortensja Wojtasik ruszyła w stronę drzwi. Na ulicy przyspieszyła kroku. Właściwie nie miała nic przeciwko uczcie czekającej ją w restauracji „Europejska”.

*

Do „Europejskiej” wchodziło się z rogu ulicy. Portier

bezszelestnie uchylił drzwi przed gościem; z wnętrza ciągnęło przyjemne ciepło, dyskretny szmer rozmów dolatywał zza pąsowych aksamitnych kotar. Na kanapce siedział nieco znudzony starszy mężczyzna z siwą, lekko zaondulowaną głową, ubrany w nieskazitelny ciemny garnitur i lakierki. W rękę trzymał nieodłączną laseczkę ze srebrną gałką. Przez sekundę wytworny pan zatrzymał wzrok na wchodzącej kobiecie, po czym zerwał się z miejsca i z wrodzoną galanterią złożył ukłon na tyle głęboki, na ile umożliwił mu to podeszły wiek.

- Wreszcie, po tylu latach - Hortensja wyciągnęła rękę - spotykamy się ponownie w dobrym zdrowiu.

Ludwik Nycz ucałował dłoń. - Muszę jeszcze raz zapewnić panią, że telefon zrobił mi prawdziwą i jakże miłą niespodziankę. Czy mogę zdjąć płaszcz?

Hortensja szybko wyzwoliła się z jesiennego okrycia i para ruszyła w kierunku sali. W tym momencie podszedł maitre, siwy pan rzucił mu swoje nazwisko, ten skłonił się i poprowadził ich do stolika w głębi drugiej sali.

- Zarezerwowaliśmy ten dla państwa, trochę z boku, ale za to zaciszny - uśmiechnął się odsuwając krzesła. Jak spod ziemi wyrósł pikolak podając Hortensji i panu Nyczowi menu. Reszta rytuału potoczyła się równie gładko. Było trochę namysłu przy dobieraniu win, lecz to także należało do zwyczajowych ceregieli, które zaczęły niecierpliwie damę.

- Ja poproszę o sauterne, jest odrobinę słodki.

- Zatem niech będzie sauterne, no i te dwa pstrągi w galarecie. Na razie! - zaznaczył pan Nycz. - Mamy teraz chwilę dla siebie - zwrócił się do Hortensji. Lekko mrużąc oczy popatrzył prosto w twarz kobiety. Była w tym spojrzeniu pewna kokieteria.

- Pani Hortensjo, proszę powiedzieć... podać prawdziwy powód pani telefonu do mnie. Nie mogę marzyć, że spotkanie nasze jestli tylko bezinteresownym kaprysem madame.

- Madame już od dawna miała kaprys widzenia znakomitego dyrektora. Boże! Z jaką radością przypomniałam

sobie stare dzieje... prawie tak stare jak my, kiedy biegałam na jaskółkę do Teatru Wielkiego. Wszyscy bileterzy mnie znali, ze studenckiej kiesy suplałam kopiejki, a oni pozwalali przemykać się w pierwszym antrakcie do krzeseł. Lubiłam te chwile w teatrach, żałuję, że wtedy nie znałam Lwowa - i pana. I to jest właśnie prawdziwy powód naszego spotkania.

- Czyżby nagle warszawskie wspomnienia chciała pani zamienić na lwowskie, pani Hortensjo? Niebywale pochlebna dla mnie taka nowina.

- Historia, która przyprowadziła mnie do pana, zaczynała się - jak przypuszczam - w pańskim teatrze we Lwowie, potem przeniosła się do Warszawy, dogorywa natomiast tuż pod Lublinem, w Malińcach.

- Straszne zagadki. Dogorywająca historia... kogo lub czego?

Kelner, bezczelnie młody i nienagannie grzeczny, postawił zręcznym ruchem pstrągi, odkorkował butelkę sauterne, nalał w kryształowe kieliszki, po czym ulotnił się bezszelestnie.

- O, niech się pan nie przeraża, Ludwiku! Ja wierzę jedynie w pańską doskonałą pamięć - kontynuowała Hortensja zabierając się do ryby - ta historia prawie pana nie dotyczy... a raczej przypomina chwile... długie lata prowadzenia przez pana, z tak znaczącymi efektami, sceny. Ileż sław miał pan u siebie, ileż sztuk przeszło do kronik!

Nycz podniósł kieliszek, odchylił głowę ze wspaniałymi siwymi puklami, popatrzył znowu na Hortensję i po pauzie powiedział:

- Łaskawa pani Hortensjo, komplementuje mnie pani, wypijmy więc za te wątpliwe osiągnięcia dzisiejszego emeryta. Ze Lwowem związała się moja młodość, cała energia twórcza, ale to było w zeszłym stuleciu. Po co wywlekać tamte dzieje. Dobre mają wino.

- Wspaniale! I ten bukiet - Hortensja wsadziła najpierw nos do kieliszka, potem mały łyk wina smakowała z wyraźną rozkoszą. - Rzeczywiście beile époque, belles femmes, można pozazdrościć.

- Kobiet? Epoki? Czy teatru? - dopominał się dalszego

komplementu pan Ludwik.

- Wszystkiego oczywiście. Proszę nie zrozumieć mnie źle, chodzi właśnie o kobiety. Chciałabym dowiedzieć się czegoś o Elizie Conti, ona przecież grała u pana przez parę sezonów.

- Tak... - Nycz sięgnął do włosów, jakby chciał poprawić niesforny pukiel - Conti?... zaraz, muszę sobie przypomnieć.

Pstrąg tymczasem zniknął z talerzy.

- Łyknijmy wina, zapewne pomoże nam we wspomnieniach.

- Tak. Ona gdzieś na początku lat osiemdziesiątych zjawiała się w teatrze. Ktoś mi ją podrzucił, robiąc tym samym brzydki kawał. Biedactwo nie miało żadnego zadęcia teatralnego, żadnej iskry bożej. Miała natomiast ładne plecy... - ten ostatni wyraz Nycz przeciągnął znacząco.

- Grała wcale niemałe role...

- Prawda, prawda! Do czasu jednak, kiedy nie wyrzuciłem inscenizatora Grabicza. Musiałem go poświęcić, inaczej pani Conti położyłaby mój teatr z kretesem.

- Kto wszedł na jej miejsce?

- Urocze stworzenie, o dziesięć lat młodsza, osiemnastolatka, Natalia Bellówna. Oczy, nogi, w nich siedział talent. Zadebiutowała zresztą nie jako tancerka... jako aktorka w mało znaczącym epizodzie w „Zniewolonej Cygance”.

- Szybko przestała grywać epizody i wstawki baletowe? - z niewinną miną ciągnęła dyskretną indagację pani Wojtasik.

- Oczywiście! Nie mogłem pozwolić, żeby toto się marnowało!

- Łatwo sobie wyobrazić, co przeżywała Conti, co musiała czuć.

- O, najgorsze było jeszcze przed nią. Kelner!

- Proszę uprzejmie - chłopak schylił się w ukłonie podając ponownie kartę.

- Dla mnie chateaubriand.

- A ja poproszę fricadeau cielece.

- Służę uprzejmie!

- Więc co jeszcze gorszego mogło spotkać biedną Elizę?

- Hortensja przekrzywiła głowę z zaciekawieniem.

- Wtedy i mnie zrobiło się jej żal. Otóż, Natalia wcale nie była panną ...

- Proszę, proszę ...

- Była panią Bellówną, co brzmi głupio i jest niezgodne z polskim językiem, ale tak było. Młoda osoba, bezwzględna na tyle, że tego nawet wiek nie usprawiedliwiał, postanowiła zgniebić Elizę Conti także psychicznie. Conti żyła, już dziś nie przypomnę sobie nazwiska, z młodym facetem, który stawiał pierwsze kroki ... coś tam próbował wystawie, chyba z powodzeniem... dobrze się zapowiadał.

- Okropna kobieta, nie wystarczały jej triumfy sceniczne?

- Bellówna oczywiście bez większego trudu odbiła Elizie Conti tego młodzieńca. We krwi miała zdobywanie po trupach.

- Sama jest już trupem.

- Pani Hortensjo, czy być może?

- W prasie lubelskiej była wzmianka o jej śmierci. Powinien pan być zauważyć, taki drobny tekścik o przejechaniu byłej tancerki, primabaleriny.

- Ach, to jest ten krąg, który łaskawa pani tak tajemniczo na początku zakreśliła: Lwów, Warszawa ... ale co mają do tego Maliniec?

- Tam została przejechana albo jak twierdzą niektórzy wepchnięta pod samochód. Tylko, że na to nie ma dowodów. Przed paroma miesiącami zamieszkała w pensjonacie „Idylla”, schronisku dla niezamożnych osób. Ja też tam mieszkam.

- Pani żartuje! Co pani robi w tym towarzystwie? Przecież się pani rozchoruje!

- Spędzam tam jedynie wakacje przez sympatię dla miejsca. Zwykle przyjeżdżam do Maliniec pod koniec lata. Zbyt wcześnie zapakował mnie pan, panie Ludwiku, do przytułku

- Hortensja roześmiała się dla złagodzenia nagany.

- Proszę, dla pani chauteaubriand, dla pana frieadeau. Ostrożnie, bardzo gorące talerze.

- Czy to znaczy, że potrawy zimne?

- Ależ jesteśmy znaną firmą, byłby to niewybaczalny błąd

kucharza. Myślę, że będzie państwu smakowało.

- Wróćmy do tej pasjonującej historii. Cóż dalej?

- Dla Conti był to straszny szok, truła się nawet. Potem, kiedy doszła do siebie, występowała już tylko na prowincji. Nigdy nie podniosła się po tych przeżyciach.

- Wspomniał pan, że Natalia w chwili pojawienia się u pana była już osobą zamężną, czy nie tak?

- Zgadza się.

- Kim był jej mąż, może pan pamięta jego nazwisko?

- Nazwisko kiedyś znałem ... no, ale zdążyłem zapomnieć. On był chyba kimś spoza teatru. Wielki, ponury drab, mówił basem Pamiętam, że bałem się go, kiedy czekał przed wejściem dla aktorów. Mógłby być cerberem.

- Pan chyba zdemonizował tę postać?

- Jeśli nawet, to bardzo mało. Aha, on był chyba uczonym.

- Jest pan tego pewien?

- Zupełnie. Utkwił mi w pamięci jego obraz z okresu, gdy musiał sobie zdawać sprawę z przegranej z Bellówną. Rozpił się potem i zламаł karierę.

- A Bellówna?

- Ona najspokojniej w świecie zmieniła wyznanie, wzięła ślub z byłym kochankiem Elizy Conti i wyjechała do Warszawy, dbając jednak bardziej o swoją karierę aniżeli o nowego męża.

- To jest materiał na dramat. Przydałby się dobry literat.

- Życie pisało dalej. Ten chłopak ... jakżeż się nazywał ... niedługo cieszył się Bellówną, po paru latach zmarł w stolicy na suchoty. Takie przynajmniej doszły do mnie słuchy. A potem nie interesowałem się już piękną i zimną Natalią, choć wiem, że zrobiła karierę. Kelner! Proszę o wspaniałe desery!

- Zechce pan, przepraszam... zechcą państwo sobie wybrać coś z menu, czy mam polecić naszą specjalność lokalu?

- Niech pan poleca.

- Co jest specjalnością na wety tego lokalu?

- Gruszki księdza Bourdeloue - z całym spokojem wyrecytował kelner.

Zdziwienie pojawiło się na twarzy pani Wojtasik, stary pozer nie dał jednak poznać po sobie, że także nie miał pojęcia o gruszkach księdza Bourdeloue.

- Jak smakuje ten specjał, młody człowieku? - zapytała bez skrępowania Hortensja.

- Szanownej pani będzie z całą pewnością smakował: sos waniliowo-migdałowy, gruszki po prostu w nim toną.

- Proszę w takim razie o te gruszki, dwa razy.

- Czy pan wie coś o dalszych losach Elizy Conti, panie Ludwiku?

- Ponad to, co już powiedziałem, bardzo niewiele. Wyszła w końcu za mąż, także za miernego aktora i nawet starszego od niej o kilka lat. Miała z nim dzieci.

Deser i rachunek bardzo przypadł do gustu panu Nyczowi, toteż dalsza rozmowa polegała wyłącznie na wspomnianiu sukcesów dyrektora Teatru Lwowskiego.

Hortensja wlokła się od autobusu, przejeżdżona, niemniej zadowolona z lubelskich ustaleń. Było już szaro na dworze, gdy stanęła przed pensjonatem zdumiewająco rozświetlonym.

Festyn, czy co u licha? - pomyślała otwierając drzwi. We wnętrzu panowała atmosfera dawno tu nie odczuwana. Kinkiety salonu rozproszonym światłem oblewały Ola w tanecznym uścisku z panną Gabrysią, na kanapie ze wzrokiem wbitym w sufit siedziała rozmarzona generałowa, wsłuchana w melodię białego bostona. Wodzirejem płytowym mianowano Daniela. Hortensja szybko wycofała się od progu salonu, przeszła na drugą stronę korytarza i na chwilę zniknęła w swoim pokoju. Po paru minutach, gotowa do poddania się sielankowej atmosferze, pojawiła się ponownie. Teraz dopiero dostrzegła jeszcze jedną ucze- stniczkę five'u, panią Jasię, która zajmowała drugi róg kanapy, pracowicie wyszywając monogram na chusteczce.

- Wspaniale się państwo bawią - powiedziała wchodząc pani Wojtasik, przebrana w czarny wełniany kostiumik z białą pikową bluzeczką. Kołnierzyk był wyłożony na żakiet, na szyi lśnił matowo sznureczek pereł. Zgromadzeni w salonie przez chwilę oglądali kreację profesorki.

- Staralam się dostosować do tego tańczącego podwieczorku - wyjaśniła Hortensja.

- Dobrodzika zawsze pendant, że tak powiem, do czasu, j Wrodzony takt i smak szanownej pani, nie wspomniawszy o boskich perfumach. Co za kobieta! - Olo wybałuszał oczy na rzeczywiście elegancko wyglądającą Hortensję.

- Pani Wojtasik ma na twarzy wypisane zadowolenie.; Czyżby wyprawa do Lublina okazała się udaną?

- A tak, panie Danielu, nawet bardzo udaną - odpowiedziała uśmiechając się tajemniczo Hortensja.

- Czekałam na nią, dziś nie wykręci się od inteligencji - dorzuciła z kanapy generałowa Kaczorowska.

Białe boston skończył się. - Niech pan da Baker, koniecznie chwila odpowiednia taki, przepraszam, powiew Paryża - zawołał Kucejko.

- Ten Olo ma zachcianki - rzędził Daniel - skąd ja mu wezmę Josephinkę? Wieczorkowa i Baker! Ona ma całe stosy płyt w wykonaniu Eugeniusza Bodo, chórów rewelersów, ale żądać od Wieczorkowej Paryża, czysty nonsens.

Pani Jasia przechyliła się do Hortensji i wyszeptła:

- On tak mówi na panią Jolę, bo ten Rajmund, wie pani, jej syn, przyjechał rano. Siedzi tam u niej do tej pory, a pani Wieczorkowa taka zdesperowana. - Jasia przeciągała sylaby w takt kręcenia główką.

- A gdzież pani Krukowa? - zapytała swą sąsiadkę Hortensja.

- Ach, pani Hortensjo, to pani nic nie wie? Po pani wyjeździe zaczęła się przeprowadzka. Krukowa przez cały dzień przenosi swoje rzeczy do pokoju po Bellównie. Wieczorkowa długo z nią konferowała i zaraz potem ta przeprowadzka.

- Ho, ho, ho - zdziwiła się Hortensja - jeszcze nie tak dawno mowy o tym być nie mogło. Przecież sama słyszałam, jak Wieczorkowa wykręcała się od molestowali Amelii.

- Co one tam mówią? Nic nie słyszę - dogadywała generałowa z drugiego końca kanapy. Tymczasem Daniel znalazł wreszcie płytę z „J'ai deux amours”. Olo nie tracąc

czasu sunął do przestraszonej pani Jasi, w szarmanckim ukłonie porwał ją do tańca, przy czym wyraz twarzy miał łagodnie kabotyński.

- Ktoś musiał Wieczorkowej pożyczyć większe pieniądze na karciane długi synalka - włączył się do rozmowy Daniel, zastępując tańczącą Jasię, tyle że bez jej wdzięku.

Panna Gabrysia zajęła się poprawianiem kwiatów w wazonie patrząc tęsknie w ogród,

- o,o, plotkują beze mnie - narzekła pani Helena, ale nie przychodziło jej na myśl, by podnieść się i przyłączyć do rozmowy. Olo płaśał dalej, nie zwracając uwagi na resztę towarzystwa. Jedyne pani Jasia niespokojnie spoglądała z objąć partnera w stronę Hortensji.

- Więc pan sugeruje, że to właśnie Krukowa dała pani Joli pieniądze?

- Każdy o tym wie. Teraz będzie zażywać rozkoszy własnego pokoju, ale myślę, że wkrótce wróci do generałowej ...

- O mnie mówią, o mnie - gderała Kaczorowska. - Gadanie jeszcze nic nikomu nie dało. Lepiej w coś zagrać!

- ... Wieczorkowa, kuta na cztery łapy, znajdzie kogoś i nim minie parę miesięcy - ciągnął Pierożyński - krawcowa wróci na stare śmieci.

- Najpierw będzie musiała spłacić Amelii pożyczkę.

- Chyba pani żartuje! Wliczy całość do należnych jej opłat za życie w tym strasznym domu.

- Nie taki znów straszny, dbają o nas w miarę możliwości - powiedziała bez przekonania Hortensja.

Daniel musiał oderwać się od rozmowy, bowiem madame Baker zakończyła popis. Następnym kawalkiem był fokstrot. Wspaniały, modny, po wojskowemu zadzierzysty. Olo odprowadziwszy Jasię złożył ukłon przed generałową. Ruszyli do tańca. Hortensja zamyśliła się na moment:

- A gdzie to pani Eliza, przez cały wieczór nie wychyliła nosa ze swego pokoju?

Daniel pogłaskał się po łysej jak kolano głowie.

- Prawda, nie było pani. Była dzisiaj wielka awantura z doktorem Wróblewskim. Ta wiedźma doprowadziła go do

szahu.

- Doktora? - zdziwiła się Hortensja.

- Taki spokojny człowiek - wtrąciła się panna Gabrysia, która siedziała cichutko w kącie i w dalszym ciągu układała machinalnie kwiaty wazonie.

- Tak - zgodziła się Kozicowa - tylko nie zna się na hinduskiej medycynie.

- Pani zawsze swoje - obruszył się Pierożyński. - Grunt, że zna się na europejskiej medycynie. A opanowany jest, i owszem, ale kto to wytrzyma, jak mu ta aktorka wyciąga jego prywatne sprawy.

- Jakie prywatne sprawy? - zainteresowała się Hortensja.

- Ano, że niby on lekceważy pacjentów, bo mu co innego w głowie. Romanse - dodał, przesywając rozmówczynię ptasimi oczkami, jakby chciał sprawdzić, jakie ta rewelacja robi na niej wrażenie.

Pani Wojtasik wzruszyła ramionami: - No, cóż! Doktor Wróblewski jest młody, przystojny, kawaler, może sobie robić, co mu się podoba. - Nie chciała słuchać dalszych plotek na ten temat, choć Daniel wyraźnie pałał ochotą zdradzenia tożsamości rzekomej wybranki lekarza.

Panna Gabrysia, zadowolona z wykonanej przez siebie kompozycji z drobnych żółtych astrów i marcinków, wstała z krzesła i zbliżyła się do kanapy.

- Niech pani sobie wyobrazi - zwróciła się do Hortensji

- że Eliza Conti ośmieliła się oskarżyć doktora, że z jego winy zmarł pan Bazyli.

Błękitne oczy Gabrysi stały się zupełnie okrągłe.

- A na co umarł ten pan? - spytała pani Hortensja.

- Na serce - odpowiedziała panna Krzeczowska - po prostu na serce. Cóż doktor Wróblewski mógł pomóc?

Pani Jasia podniosła głowę znad robótki: - Gdyby dawał mu napar z jaskółczego ziela ...

- Daj pani spokój - zachnął się Daniel, i zwracając się do Hortensji Wojtasik dokończył opowieści:

- Jednym słowem, awantura była na dziesięć fajerek. Wróblewski wypadł z gabinetu złorzecząc Elizie. Wrzeszczał,

że on już tu dłużej nie wytrzyma, że zabije starą wiedźmę jak psa. Trzasnął frontowymi drzwiami i - poszedł. A nasza pielęgniarka pół dnia przepłakała. Na obiad nawet nie przysła.

- Bardzo to nieprzyjemne - stwierdziła pani Hortensja.

- Musiała mieć Eliza zły dzień - dodała w zamyśleniu.

W tej chwili odezwał się gong wzywający na kolację. Olo szarmancko ucałował dłoń generałowej i wszyscy żwawo podążyli do jadalni. Towarzystwo zasiadło do omletu z groszkiem. Przysła nawet Eliza, wyjątkowo ponura i nieobecna duchem. Do końca posiłku trzy miejsca pozostały puste. Siostra Danusia, Wieczorkowa i Żelazkiewicz nie zjawili się w jadalni. Nastrój zmienił się diametralnie. Generałowa jednak, jak gdyby nic nie wyczuwając, uparła się i po kolacji wyciągnęła Hortensję do buduaru na partyjkę inteligencji. Pani Wojtasik zrobiła to wyraźnie na odczepne, toteż gra ciągnęła się bez końca, a generałowa Kaczorowska po raz pierwszy nawet wygrywała. Obok w salonie było pusto, jedna tylko podłużna żarówka mlecznym światłem zaznaczała kontury mebli. Z kancelarii dobiegały podniesione głosy. W końcu Hortensja przeprosiła partnerkę tłumacząc się zmęczeniem po dniu pełnym wrażeń. Obie panie podreptały do swoich pokojów.

*

Hortensja Wojtasik podeszła do okna. Noc była jasna, wygwieżdżona. - Będzie dziś chyba przymrozek - pomyślała. Szczelnie zaciągnęła kotary. Następnie oddała się zabiegom toaletowym. Powiesiwszy w szafie starannie białą bluzkę i czarny kostium, opatuliła się obszernym ciepłym szlafrokiem w kolorze bordo. Było nieco chłodno.

Gorąca kąpiel, ot co by mi się przydało - orzekła. Chyba już wszyscy śpią, łazienka będzie wolna.

Niemniej nie śpieszyła się z realizacją swojego zamiaru. Prawdziwie „idylliczny” nastrój panujący w pensjonacie tego popołudnia wciągnął i ją bez reszty, oderwał od istotnych poczynań dokonanych w ciągu dnia. Teraz wszystkie myśli,

wątpliwości i podejrzenia powróciły ze zdwojoną siłą. Musiała je pozbiierać.

Dość długo siedziała w fotelu starając się przypomnieć sobie coś z dalekiej przeszłości. W pewnym momencie podniosła się niechętnie. - Ty już też masz chyba sklerozę Hortensjo - mruknęła pod nosem. Przewiesiła przez ramię ręcznik kąpielowy, wyciągnęła spod poduszki białą jedwabną koszulę i wyszła na korytarz. Dom zdawał się pogrążony we śnie. Skierowała kroki w prawą stronę. Rzuciwszy okiem na drzwi do salonu spostrzegła, że są uchylone. Stąpając bezszelestnie zbliżyła się do nich. Po nogach przeleciał jej zimny powiew. - Nic dziwnego - stwierdziła, zaglądając do środka — drzwi od tarasu na pół otwarte.

Oprócz chłodu jesieni do salonu wpełzała również poświata księżycza. Palila się także mleczna żarówka. Światła wprawdzie niewiele, ale wystarczająco, aby Hortensja mogła stwierdzić, że szata przyoblekająca postać stojącą tyłem do drzwi uszyta jest z oliwkowo-zielonego aksamitu.

Eliza Conti stała nieruchomo, niewrażliwa na ciemność i zimno. Poniżej zdeformowanej talii połyskiwał miedzią misternie spleciony łańcuch. Głowę trzymała wysoko, do połowy pleców spływały staranniej dziś niż zwykle przeczesane włosy.

Czy ona wpatruje się w ogród? - pomyślała pani Hortensja i machinalnie spojrzała w rozwarte drzwi. Taras i alejki, skąpane w księżycowym świetle, były puste. Jedyne z prawej strony w oddali świeciło jedno z okien domku ogrodnika.

Żelazkiewicz jest u siebie - pomyślała pani Hortensja.

W tym momencie zaskrzypiał złowieszco głos starej aktorki.

- „Precz, przekłeta plamo! precz! mówię. Raz, dwa - czas działać. Piekło ciemne. Wstydź się, mężu, wstydź się! Żołnierzem jesteś, a tchórzysz ...”

Hortensja stała w progu jak zahipnotyzowana. - Kim jest Eliza Conti? - myślała. - Starą, obłąkaną kobietą?

- „Jednakże kto by się spodziewał tyle krwi w tym staruchu!”

Głos na chwilę umilkł. Aktorka wstrząsnęła głową. Zabrzęczał cicho miedziany łańcuch. Hortensja z mroków pamięci

przywołała obraz postawnej młodej kobiety. „Belle femme” - mówili o niej - przypomniała sobie. I zaraz potem zadźwięczała jej w głowie nieustannie powtarzana kwestia: „zdradził i odszedł”.

- „Ciągłe ten zapach krwi! - zawołała nagle Lady Makbet. - Wszystkie zapachy Arabii nie odejmą tego zapachu z tej małej ręki! och, och, och!”

Eliza Conti patetycznym gestem wzniosła obie ręce. Nie były bynajmniej małe. Były duże, kościste i artretycznie powykręcane. W prawej dłoni coś jakby załśniło na moment, albo tak się tylko wydawało obezwładnionej grozą widowiska Hortensji. Przeszedł ją dreszcz. - Zimno - ocknęła się - trzeba wziąć tę kąpiel. Niech Conti w samotności dogra do końca swoją rolę. Cichutko zamknęła drzwi od salonu i na palcach udała się do łazienki. Strumień gorącej wody ogrzał ją i uspokoił. Kiedy wycierała się, dobiegł ją odgłos kroków z korytarza, a potem usłyszała trzaśnięcie frontowych drzwi. Pomyślała, że droga wolna, i wyszła z łazienki. Z prawdziwą przyjemnością ułożyła się wygodnie w łóżku. Szybko brał ją Morfeusz w swoje władanie. Ostatkiem świadomości pomyślała: - Dokąd wieczorami chodzi Żelazkiewicz? Nie była już jednak w stanie zastanawiać się nad tą sprawą, usnęła. Zapadła głęboko w nierealną krainę zmiennych, gorączkowych obrazów. Mieszkańcy „Idylli” tańczyli fokstrota na maliniackim rynku, a Ludwik Nycz, co i raz odrzucając do tyłu swoją bujną, mlecznobiałą czuprynę, przygrywał im na harmonii. Potem był znów pensjonat, nastrój niepokoju. Hortensja wiedziała, że musi koniecznie włożyć swój kostium w pepitę, otworzyła więc szafę, z której tanecznym krokiem wyskoczyła młoda Natalia. Krzyk, który wydała / siebie pani Wojtasik, nie ustawał. Przeciwnie, wzmagał się, wibrował coraz donośniej, coraz ostrzej wrzynał się do uspiętej świadomości. Otworzyła oczy. Przez szpary w kotarach sączył się blask dnia. Dom drżał od tupotu. Krzyk wzbijał się w wyższe tonacje. Świdrował, narastał. W sekundzie, w której Hortensja uświadomiła sobie, że jest on rzeczywisty, nie było jej już w łóżku. W mgnieniu oka narzuciła szlafrok i wypadła na

korytarz.

Różia stała pod drzwiami panny Gabrieli z twarzą siną i sparaliżowaną strachem. Z jej otwartych niekształtnych ust dobywał się ów obłąkańczy wrzask. Nieskoordynowanym ruchem wielkich łap wskazała salon. Pani Hortensja jak przez mgłę ujrzała biegnących ze wszystkich stron łomu mieszkańców „Idylli”: chiński szlafrok pani Jasi, łabędzie puchy Wieczorkowej, bonżurka Ola, Daniel, doktor, Pelagia ... Z rozpędem pchnęła drzwi. Przeciąg ciągnący od tarasu uniósł muślinową firankę, która na chwilę* »kryła twarz leżącej na podłodze kobiety. Hortensja W kilku susach znalazła się przy drzwiach do ogrodu. Masywne ciało Elizy Conti było zwrócone nogami do tarasu. Rozrzucone na boki ręce przypominały szpony krogulca. Martwe oczy uparcie wpatrywały się w sufit.

Pod lewą pierśią zielony aksamit sukni zabarwił się na czerwono. W środku tej rdzawej plamy tkwiła niewielka srebrna rękojeść.

Piekielny hałas panujący wokół dopiero w tej chwili dotarł do świadomości pani Hortensji. Wyprostowała się nagle i krzyknęła zdumiewająco władczym głosem: - Proszę tu niczego nie ruszać! Proszę natychmiast wyjść! - po chwili dodała: - Niech tylko pan zostanie, doktorze.

*

Sędzia Pińczykowski i porucznik Antkowiak byli tym razem dalecy od żartów. Na ich nietęgę humory wpłynęła dodatkowa świadomość, że po śmierci Natalii Bellówny zdecydowanie pokpili sprawę. Toteż gdy pani Wojtasik, która teraz zeznawała w pierwszej kolejności, spytała z niewinną miną:

- No cóż, nie uwierzyli panowie zeznaniom inżyniera Kalinowskiego?

- Śledczy zsiniał ze złości.

- O ile dobrze sobie przypominam, to pani również nie upierała się przy wersji morderstwa.

- Nie upierałam się, to prawda, ale jest również prawdą, że zadałam sobie trud, aby wiele rzeczy sprawdzić, co wam nie

przyszło do głowy.

- Co, na przykład? - wtrącił porucznik.

- Na przykład alibi wszystkich mieszkańców „Idylli” na wieczór dwudziestego dziewiątego września.

- Przecież wszyscy zeznali, że nie wychodzili ze swoich pokojów.

- A panowie dali temu wiarę?

Pińczykowski z trudem opanował atak furii, przez jego gładko ogoloną twarz przemknął brzydki grymas.

- Nie było podstaw ... - zaczął.

Pani Hortensja nie dała mu dokończyć. Podniosła palec i powiedziała dość dramatycznie: - A oprócz pani Wieczorkowej i mojej skromnej osoby nikt nie miał alibi. Dosłownie nikt!

- A gdzie oni byli? - zainteresował się Antkowiak.

- Pan Kucejko przebywał w pokoju panny Krzeczkwoskiej, pod której oknem ktoś, notabene, zdeptał rabatę astrów. A reszta włóczyła się nie wiadomo gdzie. Pani Kozicowa poszła po zioła do pana Żelazkiewicza, ale nie zastała go w domu. Potem błądziła gdzieś wśród mgły. Mam powody przypuszczać, że w ogrodzie przebywał również pan Pierożyński i że spotkał tam Elizę Conti. Generałowa smażyła w kuchni naleśniki, na czym przyłapała ją kucharka. Potem Pelagia, jak twierdzi, została w kuchni, a pani Kaczorowska udała się w nieznanym kierunku. Przez ten czas Amelia Krukowa mogła siedzieć sama w swoim pokoju, ale mogła także wyjść. W końcu wbrew temu, co twierdzi pielęgniarka, o godzinie 22.30 nie było jej jeszcze w domu. Ot, i proszę, jakie mają alibi!

Pińczykowski z zakłopotaniem przyglądał cienki wąs.

- Czemu nas pani o tym nie poinformowała?

- Po prostu dlatego, że rozmawiając z panami nie miałam jeszcze o niczym pojęcia.

Sędzia przyjrzał się jej z zainteresowaniem. - Czy i na wczorajszy wieczór nikt nie ma alibi?

- Tego jeszcze nie zdążyłam odkryć - odpowiedziała ze spokojem Hortensja. - Ale nie omieszkam.

- Tym razem panią ubiegniemy - wycedził Antkowiak.
- Zobaczymy - odrzekła pani Wojtasik.
- Mamy przecież nadzieję, że pani nam pomoże - powiedział bardziej ugodowo Sylwester Pińczykowski.
- Jeśli tylko zechcecie mnie słuchać.
- Kogoż więc pani podejrzewa? - zapytał porucznik.
- No cóż - zawahała się Hortensja - podejrzewałabym przede wszystkim Elizę Conti, gdyby żyła.
- Na jakiej podstawie?
- Na tej podstawie, że serdecznie nienawidziła pięknej Natalii i miała ku temu konkretne powody. Te panie nie spotkały się po raz pierwszy w „Idylli”. Znały się od bez mała pięćdziesięciu lat. Wtedy to bowiem, we Lwowie, Bellówna odbiła Elizie kochanka i wyszła za niego za mąż.
- Sprawdzimy te pani rewelacje - oznajmił sędzia śledczy.
- Czy wiedziała pani o tym od początku? - dodał
- Skądże znowu. Odkryłam to dopiero wczoraj i naprawdę zaczęłam mocno podejrzewać Elizę. Zwłaszcza że bransoletka, którą panowie znaleźli w krzakach przy szosie, należała niewątpliwie do niej. Wszyscy prócz niej mieli bransoletki od pani Kozicowej na ręku. Eliza nie potrafiła powiedzieć, co zrobiła ze swoją. Ponadto musiała czuć się osaczona i nieszczęśliwa od momentu, gdy złośliwy los kazał jej mieszkać pod jednym dachem z kobietą, która ją unieszczęśliwiła.
- Pani Conti zrobiła na nas wrażenie kompletnej sklerotyczki - stwierdził Pińczykowski.
- Zapewne częściowo nią była, ale odnoszę wrażenie, że w o wiele mniejszym stopniu, niż mogłoby się to wydawać, To była chyba jedna z jej ról, i może nawet wygodna, zwłaszcza dla człowieka, który się czegoś boi.
- Boi?
- Tak. Wydaje mi się, że Eliza Conti czegoś się w ostatnich dniach bała. Była niespokojna. I te krwawe role, które odgrywała: Balladyna, Lady Makbet... - Pani Wojtasik zamyśliła się - ona chciała przez te teksty coś przekazać... |
- Twierdzi pani, że tego wieczora, kiedy zginęła Bellówna,

Conti wychodziła?

- Nie twierdę, ale podejrzewam. Proszę zresztą zapytać o to pana Pierożyńskiego.

Następnie pani Wojtasik dokładnie opowiedziała zdarzenia poprzedniego wieczora i spotkanie z zamordowaną aktorką. Antkowiak wszystko skrzętnie notował. Hortensja nadmieniła nawet o awanturze z doktorem, o jego rannej obecności w „Idylli”, wspomniała o przyjeździe Rajmunda Wieczorka z Lublina, tylko swoją własną wyprawą nie pochwaliła się. Sprawa lekarza szczególnie zainteresowała sędziego Pińczykowskiego.

- Czy on jest chirurgiem? - spytał.

- Zdaje się, że robił specjalizację w chirurgii, tu jednak występuje w roli internisty ... no, i chyba amanta - Hortensja zawahała się chwilę przed wypowiedzeniem tego zdania, czuła bowiem autentyczną sympatię do siostry Danusi. Jednak sprawa dobrej opinii pielęgniarki wydała jej się błaha wobec morderstwa.

- Mówiła pani - zaczął z innej beczki Pińczykowski - że widziała pani wczoraj wieczorem coś błyszczącego w ręku Elizy Conti. Czy to było to? - położył na stole sztylet.

- Ja nie wiem, panie sędzio - odpowiedziała Hortensja.

Było ciemno. W ogóle nie jestem pewna, czy mi się nie przywidziało. Mam krótki wzrok.

- A zna pani ten nóż?

- Owszem. Widziałam tę mizerykordię.

- Gdzie?

- W domku pana Żelazkiewicza. Tam są w ogóle różne stare bronie, miecze ...

- Dobrze, ale nie mieczem zabito Elizę Conti, a tym właśnie. Przy czym cios był niezwykle precyzyjny. A więc, twierdzi pani, że ten sztylet jest własnością Eustachego Żelazkiewicza?

- Nie twierdę, że jest jego własnością, ale że go u niego widziałam - sprostowała Hortensja. Zamilkła czekając na dalsze pytania.

- Co może pani powiedzieć o Żelazkiewiczu - przyszedł

wreszcie z pomocą Waldemar Antkowiak.

- Niewiele, kontakt z nim jest trudny. Może pani Wieczorkowa ma więcej na ten temat do powiedzenia.

- Dlaczego pani tak sądzi?

- Tak mi się wydaje. Bywała razem z Natalią Bellówną wieczorami w jego domku.

- Kiedy?

- Tego nie wiem. Raz zastała ich tam pani Kozicowa.

- Ale kiedy poszła do niego w wieczór śmierci tancerki, nie było go w domu? Tak pani przecież zeznała - nalegał porucznik.

- Powtórzyłam jedynie to, czego się dowiedziałam od pani Kozicowej. Zresztą wczoraj również nie było pana Żelazkiewicza przy kolacji.

- Nie domyśla się pani, dokąd on chodzi wieczorami?

- Nie - stwierdziła Hortensja. - Chciałabym jedynie dodać, że kiedy zajrzałam wczoraj do salonu za piętnaście jedenasta i kiedy po raz ostatni widziałam Elizę Conti żywą, u ogrodnika paliło się światło.

- To nie znaczy, że on sam nie mógł się znajdować gdzie indziej, na przykład pod oknem salonu, gdzie ktoś podeptał astry, zauważył śledczy. - Ślady męskich stóp nie są zbyt wyraźne, ale jednak są.

- W noc śmierci Natalii też ktoś podeptał tę samą rabatę - stwierdziła pani Wojtasik.

- Skąd pani o tym wie?

- Od Żelazkiewicza.

- Ciągle ten Żelazkiewicz - zniecierpliwził się Pińczykowski.

- Może należałoby zainteresować się bardziej tą postacią? - odparła Hortensja przyglądając się badawczo sędziemu.

- My sami wiemy, czym należy się interesować - burknął Pińczykowski.

Hortensja Wojtasik przeprosiła urażonych przedstawicieli prawa. Po czym znów musiała odpowiadać na wiele pytań, gdzie, o której godzinie i kogo widziała poprzedniego wieczora. Zeznała, że przy kolacji również Wieczorkowa i siostra Danusia były nieobecne. A potem widziała jedynie generałową i Elizę w

roli Lady Makbet. Około jedenastej ktoś jeszcze wychodził z pensjonatu - dziwna pora!

Gdy podczas przesłuchania padło nazwisko Wieczorkowej, po krótkim namyśle Hortensja zdecydowała się powiedzieć, że pani Jola miała ostatnio kłopoty finansowe związane z długami syna. Pieniądze pożyczyła jakoby od pani Amelii Krukowej, dając jej w zamian oddzielny pokój. Wyraziła wprawdzie współczucie dla Jolanty Wieczorkowej z powodu wielkich zmartwień, jakie sprawia jej jedynak, nie kryła jednak, że poczynania matki i syna uważa za dość niewyraźne.

Sędzia uważnie słuchał, po czym podziękował pani Hortensji dodając, że prawdopodobnie nie jest to ich ostatnia rozmowa.

*

Po jej wyjściu z pokoju otarł pot z czoła.

- Ta paniusia coś za mądra - powiedział do porucznika.

Sprawa i tak jest cholerna, a ona, tak coś czuję, jeszcze nam namiesza.

Waldemar Antkowiak wzruszył ramionami:

Pewnie za dużo kryminałów czytuje, przejęła się rolę Sherlocka Holmesa, ale nie z takimi babami udawało nam się uporać.

Pińczykowski westchnął:

- Powiedz ludziom, aby dokładnie zbadali teren i pokój zamordowanej. Trzeba będzie również zrewidować dom Żelazkiewicza, ale jeszcze nie teraz. Odsapnę chwilę - i zaczniemy rozmowy z „niewinnymi” starszankami. Chciałbym ich wszystkich, wraz ze służbą, przesłuchać do południa. Potem porozmawiamy z panią właścicielką, doktorkiem, a na koniec zostawimy sobie ogrodnika.

Porucznik Antkowiak szedł do jadalni, gdzie - jak przed niespełna tygodniem - zebrało się całe towarzystwo. Nie było już tym razem gwaru, plotek i pytań. Śmiertelną ciszę przerywał jedynie szept pani Krukowej odmawiającej różaniec i ciche pochlipywanie panny Gabrieli. Nad mieszkańcami „Idylli” zapanował wszechwładnie strach.

- Będą teraz wszyscy państwo przesłuchiwanie na okoliczność mordu dokonanego na osobie Marii Woźniak alias

Elizy Conti - powiedział twardo Antkowiak. - Proszę, aby pierwsza osoba zgłosiła się w buduarze za piętnaście minut. Niezależnie od tego w ciągu najbliższych dni aż do odwołania nikomu nie wolno opuszczać Maliniec.

Pani Jasia bardzo nieśmiało wysunęła się do przodu.

- Proszę, zdaje się, że chciała pani o coś zapytać - uprzejmie przemówił porucznik.

Wdowa po filozofie wydusiła z wielkim trudem: - Ja właśnie... właśnie miałam wyjechać, pod Kraków...

- Nie ma mowy!

- Ale kiedy... muszę... naprawdę, muszę... mam trzymać do chrztu dziecko jednej wróżki...

- Albo wróżka odłoży chrzciny, albo kto inny zostanie chrzestną matką - skonstatował nieco zdziwiony Antkowiak i opuścił pokój, udając się do oczekującej na rozkazy ekipy śledczej.

Pińczykowski tymczasem z trudem zbierał się przed czekającymi go przesłuchaniami. Zdawał sobie sprawę z tego, jak ciężkie czekają go chwile. Potraktował ostro zarówno pierwszą ochotniczkę, oczywiście generałową, jak i wszystkie inne osoby, które tego dnia przewinęły się przez buduar. Tym razem nie było mowy o sutym obiedzie, o odpoczynku. Obaj z porucznikiem zaledwie tknęli przysłane przez Wieczorkową kanapki, natomiast łączywie rzucili się na kawę.

Przypierali do muru służbę i lokatorów pensjonatu, wyciskając z nich prawdę, a z kobiet sporo łez. Niewiele im to jednak dało. Wprawdzie wszyscy przyznali się do kłamstw podczas pierwszego śledztwa, różnie je tłumacząc, lecz nie rzuciło to światła na śmierć Elizy Conti.

Wyjątkiem były zeznania Rózi uparcie twierdzącej, że sztylet należy do Żelazkiewicza, ale już od jakichś dwóch dni miała go u siebie aktorka. Nikt jednak nie umiał wytłumaczyć, skąd się tam wziął. Stróży sprawiedliwości zastanowiło także zeznanie Daniela Pierożyńskiego, który przyznał się, że wieczorem 29 września spacerował po ogrodzie, gdzie spotkał zadyszana Elizę. Olo długo starał się bronić honoru panny Krzeczkowskiej, w końcu jednak uległ presji. Panna Gabriela

natomiast nawet nie usiłowała trzymać się swojej poprzedniej wersji. Z miną pełną godności i dystynkcji oświadczyła, że pan Kucejko istotnie przebywał owego wieczoru w jej pokoju i że nie miała zamiaru nikomu, nawet policji, opowiadać się, skoro nie widziała nic wspólnego między tym faktem a śmiercią Bellówny.

Jednym słowem okazało się, iż pani Hortensja miała rację. Podczas pierwszego przesłuchania nikt nie powiedział prawdy, nikt też nie miał alibi na poprzedni wieczór.

I tym razem opowieści były zgodne: wszyscy przebywali sami w swoich pokojach, nawet generałowa i krawcowa.

Amelia bowiem spędziła pierwszą noc w nowym apartamencie.

Jedynie lekarz i siostra Danusia byli przez całą noc razem, przynajmniej tak twierdziła pielęgniarka. Sprawilo to niejaka przykrość przesłuchującemu, któremu dziewczyna wpadła w oko. Roztrzęsiona, opuchnięta od płaczu Danusia przysięgała, że doktor Wróblewski jest bardzo szlachetnym człowiekiem, tylko stara aktorka wyprowadziła go z równowagi oskarżając go o śmierć pana Bazylego. Lekarz załamał się nerwowo.

- Musiałam go pocieszyć - dodała na końcu cichutko. - I co ja teraz zrobię, pani Wieczorkowa wymówi mi pracę...

- Spod rudych rzęs znów puściły się łzy.

- Niech się pani tak nie przejmuj - pocieszył ją Pińczykowski. - Jest pani przecież dorosłą, niezależną kobietą. Czy i dwudziestego dziewiątego września spędziła pani wieczór z doktorem Wróblewskim?

- Tak - zakwiliła Danusia - byłam u niego w Malińcach.

- Kiedy pani wróciła?

- Nie wiem. Nad ranem.

Sędzia, po raz pierwszy w dniu dzisiejszym łagodny, powiedział jej parę słów otuchy na zakończenie rozmowy. Gdy pielęgniarka wyszła, zwrócił się do Antkowiaka: - Żaden z niej świadek, panna zakochana po uszy. Ten konował mógł z jej łóżka wyjść co najmniej piętnaście razy po to, by zamordować piętnaście starych wariatów, a ona dałaby się ze skóry obedrzeć, że nie opuścił jej ani na chwilę. Swoją drogą, dziwny gust mają

te dziewczyny - dodał z pewnym niesmakiem.

- Dawaj tu właścicielkę tej budy - odezwał się po chwili.

Wieczorkowa wchodząc obejrzała buduarę, jakby nigdy w nim nie była. Potem poszukała oczami oparcia w Waldemarze. Porucznik udał zainteresowanie jakąś notatką, nie chciał podtrzymać na duchu swej kawiarnianej znajomości. Jeszcze mi tego potrzeba - pomyślał. - Ta głupia baba gotowa wygadać się o naszym spotkaniu zupełnie przecież niewinnym.

- Gdzie pani była wczoraj wieczorem? - zaczął śledczy.

- W swoim pokoju.

- Z kim?

- Miałam gościa - z pewnym ociąganiem odpowiedziała pani Jolanta.

- Chyba raczej kogoś z rodziny? - wtrącił Antkowiak.

- Tak, syna.

- Stęsknił się za mamą czy może miał jakiś interes?

- Po co ta ironia? To nie ma nic do rzeczy.

- Dobrze, dla nas to jest istotne, o której wyszedł?

Wieczorkowa uniosła się i nerwowo obciągnęła spódnice.

- Nie wiem, doprawdy nie wiem. Tak się zagadaliśmy, że nawet nie spojrzałam na zegarek.

- Czy zdaje pani sobie sprawę, że to jest bardzo ważny szczegół? - spytał zimno Pińczykowski. - Mam nadzieję, że obie furtki i brama są na noc zamykane.

- Nie. Jak dotąd było w moim pensjonacie bezpiecznie.

- A kto wychodził z domu o jedenastej?

- Skąd ja mam wiedzieć? Każdy może wyjść. Mało to się ci starcy włóczą po nocach?!

- Muszę pani powiedzieć - po chwili przerwy odezwał się sędzia - że te wykrętne zeznania bardzo mnie dziwią. Zachowanie syna i pani jest mocno podejrzone.

- Ależ... O Boże!... Panie sędzio, to niecne insynuacje tych ramoli. Ja nie mam nic wspólnego z tymi wypadkami, z morderstwami, a mój syn prawie nigdy nie zjawia się u mnie. Bezcelne mieszanie go do tego, tego... galimatiasu, nikomu na nic się nie zda.

- Miała pani jednak kłopoty - spokojnym głosem ciągnął

śledczy - finansowe. Długi trzeba czasem płacić w najmniej dogodnym terminie.

- Długi mego syna płaciłam z własnych pieniędzy. Zresztą długi honorowe to nie morderstwo.

- Zobaczymy. Z synem pogadamy w Lublinie.

Pani Jola zaczęła czegoś szukać w kieszeni żakietu, zapewne chusteczki. - Proszę panów, moje dziecko - wybuchnęła płaczem - dlatego że jest młode, przysparza kłopotów. On się wyszumi. Ale ci starcy... Kto na niego naopowiadał?

- Od zadawania pytań to my tu jesteśmy - Pińczykowski nie zmieniał tonu. - Mogę pani jednak odpowiedzieć. Przede wszystkim pani Wojtasik, pan Pierożyński i inni. Krukowa zeznała, że pożyczyła pani w krytycznym dniu pieniądze i dostała za to pokój po tancerce. Zgadza się?

- Nawet przez moment nie spodziewałam się takiego obrotu śledztwa, a raczej, że panowie pójdą w tym kierunku.

- Czyżby chciała nam pani zasugerować inny kierunek? - zapytał z nikłym uśmiechem Waldemar.

- Rozumiem, musicie brać pod uwagę wszystkie ewentualności, ale ta jest idiotyczna. Oświadczam, i mogę powtórzyć pod przysięgą, że ani ja, ani mój syn nie mamy nic wspólnego z morderstwami.

- O, pani raczyła pomnożyć ich liczbę? Do tej pory tylko jedno jest pewne. Elizę Conti zasztyletowano, samobójstwo zostało wykluczone przez naszych ekspertów i doktora Wróblewskiego. Nie możemy tego jednak powiedzieć w wypadku Bellówny.

- On też dobry! Amory mu w głowie, nie leczenie.

- W tym wypadku solidaryzuje się pani z insynuacjami Conti alias Woźniakowej.

- Obejdzie się bez tych porównań! Każdy dobry, dopóki nie dostanie się na afisz. Albo ten Żelazkiewicz...

- Słuchamy.

- Żelazkiewicz - nabrała oddechu Wieczorkowa - jest mężem, był... mężem Bellówny. Panowie zapewne już o tym wiecie od życzliwych?

- Czy pani jest tego pewna? - zapytał Antkowiak z wrażenia

przerywając robienie notatek.

Wieczorkowa zorientowała się, że ta rewelacja może odwrócić uwagę policji od jej spraw rodzinnych, toteż zaczęła opowiadać ze szczegółami historię życia tancerki, pokrywającą się zresztą z opowiadaniem Nycza. Tyle, że wymieniła jeszcze trzeciego męża, zmarłego przed osiemnastu laty dyrygenta. Skończyła na tym, że to właśnie Żelazkiewicz zaprotegował Bellównę na mieszkanie w pensjonacie, dając gwarancję jej wypłacalności. - „Ona ma wiele błyskotek z dawnych lat”. - Takie były słowa pana Eustachego, kiedy uczynił mi tę propozycję - dodała triumfująco.

- On chyba zwariował sprowadzając je obie pod jeden dach
- wykrzyknął Antkowiak.

- Chciał się zemścić za złamane życie i naukową karierę
- orzekła Wieczorkowa.

Sędzia odchrząknął: - Zatem będzie pani odpowiadała za składanie fałszywych zeznań. I powiem jeszcze więcej. Mam prawo do uzasadnionego podejrzenia, że pani celowo przemilczała ten fakt przy naszym pierwszym spotkaniu. Musieliście zdrowo podskubywać tancerkę. Tak. Pani i ten Żelazkiewicz!

- Pan oszalał! Oburzające! Jak wy traktujecie ludzi, którzy chcą wam pomóc?

- Pani doskonale wiedziała o związku między Bellówną i Żelazkiewiczem i umiała utrzymać ten fakt w tajemnicy przed pensjonariuszami. Doskonale pani wiedziała, że nikt nam o tym nie może powiedzieć. Nawet Daniel Pierożyński miał zaledwie nikłe podejrzenie. A to oznaczało pieniądze!

- Może i oznaczało, ale pieniędzy nie było. Bizuteria! śmieszna stara broszka! A książeczki nikt nie ugryzie.

- Proszę nas teraz zostawić, powrócimy do tej sprawy. Żegnam panią!

*

Wieczorkowa wypadła z buduaru na podobieństwo chmury gradowej. Wściekła biegała po korytarzu szukając pani Wojtasik. Hortensja najspokojniej w świecie czytała książkę w

swoim pokoju. Od czasu do czasu odkładała lekturę i zamyślała się. W tej pozycji zastała ją Jola, która wleciała ledwo markując pukanie.

- Najmniej po pani, pani Hortensjo, spodziewałam się niewdzięczności. Ładnie mnie pani obmalowała!

- Nie bardzo wiem, za co mam być wdzięczna? - powiedziała Hortensja nie zmieniając pozy. - Płacę jak inni, a bywałam tu jeszcze przed panią. O co zatem chodzi?

- Kto panią prosił płatać w to moje dziecko - zapytała nieco spokojniejszym tonem Wieczorkowa. - Zaufałam pani, widać nikomu nie można zwierzać się ze złych chwil.

Nie wiem, dlaczego przychodzi pani do mnie z awanturą? O hazardzie syna i płaceniu przez panią coraz wyższych długów wiedzieli w „Idylli” wszyscy. - Hortensja położyła szczególny akcent na nazwie pensjonatu. - Wiedzieli również o jego wczorajszej wizycie. Teraz chciałabym jeszcze trochę poczytać. Odjadę, kiedy tylko sędzia śledczy zezwoli. Nic innego nie jestem w stanie pani powiedzieć poza wyrazami współczucia. Dla kogoś prowadzącego taki dom sytuacja przedstawia się katastrofalnie.

Po prostu grozi ruina. Niech mi pani wierzy, bardzo mi pani żal.

*

W tym samym czasie porucznik wydawał dalsze polecenia ekipie. Pińczykowski zostawił sobie rewizję w domku ogrodnika, wysłał ludzi do pokoju aktorki, kazał zabezpieczyć ślady na rabacie przed oknem salonu. Słowem, cały pensjonat zamienił się w policyjne laboratorium.

- Kogo mamy teraz na rozkładzie? - zapytał, gdy wrócili do buduaru.

- Albo doktora, albo ogrodnika - odparł porucznik.

- Niech będzie lekarz.

- Czy możemy prosić doktora Wróblewskiego? - rzucił na korytarzu Antkowiak.

Na ten głos wybiegła najpierw siostra Danuta, a za nią ukazał się Janusz Wróblewski. Pielęgniarka powstrzymana gestem

porucznika powróciła do swego pokoju.

- Zechce pan usiąść, doktorze - polecił sędzia - nasza rozmowa musi potrwać nieco dłużej. Występuje pan przecież w podwójnej roli: świadka i w pewnym sensie... biegłego, rzeczoznawcy, rozumie pan?

- Oczywiście. Chociaż chciałbym od razu panom powiedzieć, że nie mam ochoty na intymne zwierzenia dotyczące mnie i panny Danuty.

- Postaramy się to uwzględnić, doktorze. Ale właściwie od wczoraj nie opuszczał pan „Idylli”. Tego zaprzeczyć się nie da? Niech nam pan opowie, co działo się w salonie, tutaj, kiedy pan nadbiegł z resztą mieszkańców?

- Kiedy tu wbiegłem, zapominając o moim incognito, Conti leżała tuż pod drzwiami wiodącymi na taras. Leżała twarzą do góry, ręce miała rozrzucone na boki, z prawej pospadały na podłogę bransolety...

- Jedną znaleźliśmy nawet pod kanapą - dodał porucznik.

- Czy myśli pan, doktorze, że ofiara broniła się i w szamotaninie pogubiła ozdoby?

- Jestem innego zdania, jeśli zdanie tutejszego lekarza może być w ogóle brane pod uwagę.

- Nawet musi - zapewnił bez przekonania śledczy.

- Panowie macie swoich ekspertów.

- W tej chwili chcielibyśmy posłuchać pańskiej opinii. Jakie więc jest pana zdanie?

- Conti została prawdopodobnie zaskoczona, nie wydaje mi się, by miała czas się bronić. Cios był szybki i precyzyjny.

- A może spodziewała się tego kogoś?

- Trudno mi wypowiadać się w tym przypadku autorytatywnie. Stwierdziłem, że Conti była już w stanie rigor mortis, nie żyła od około ośmiu godzin. Było to o siódmej, może parę minut po siódmej rano.

- Czy poza piątkami przebywał pan często w „Idylli”?

- To moja sprawa.

- Tylko do tego momentu, kiedy się nie wiąże z morderstwem - odpowiedział ostro Pińczykowski. - Chciałem dowiedzieć się, na ile jest pan zorientowany w tutejszych

stosunkach.

- Niewiele mnie one obchodzą. Jestem lekarzem, a nie spowiednikiem.

- Każdy lekarz jest po części spowiednikiem, bez względu na jego chęci. Komu zatem mogło zależeć na śmierci tej aktorki?

- Nie mam pojęcia. Ona wyglądała na całkowicie wyizolowaną z otoczenia ze względu na nasilającą się sklerozę.

- Miewała jednak przebłyski świadomości – podpowiedział Antkowiak patrząc na krzątające się po parapecie wróble.

- W starczym wieku trudno odróżnić stopień imaginacji od stopnia zaawansowania choroby.

- Czy Żelazkiewicz był obecny przy tych pierwszych chwilach dzisiejszego ranka?

- Nie było go aż do śniadania.

- Nikt go nie zawiadomił o tym, co się stało? - zdziwił się sędzia.

- Chyba pobiegła do niego pani Jasia. Zresztą śniadania właściwie nie było, nikt nie miał ochoty na jedzenie, nawet generałowa.

- Powróćmy do Żelazkiewicza. Miał pan możliwość zaobserwować jego zachowanie?

- Tak. Byłem jeszcze przy zwłokach, gdy wszedł do salonu. Wydaje mi się, że zamarł na widok sztyletu tkwiącego w piersi aktorki. Był to moment. Szybko się opanował, popatrzył na Elizę w jej ostatniej roli i bez komentarza wyszedł.

- To ten sztylet? - Śledczy położył przed Wróblewskim narzędzie mordu.

- Tak.

- Pan wiedział, do kogo należy ten nóż?

- Nie. Nigdy go przedtem nie widziałem.

- A teraz pan wie, czyj on jest?

- Wiem, powiedziała mi pani Wieczorkowa.

- A co pan o niej sądzi?

- To moja pracodawczyni. Nie chciałbym wdawać się w ocenę.

- Czy z tego samego powodu, dla którego nie chce pan mówić o pielęgniarce?

- Mało wybredne insynuacje. Panowie to sami wymyślili? - wybuchną lekarz.

- Proszę ciszej! Mamy dobre uszy.

- Nie wątpię.

- Za to pan zdaje się ma przytępiony słuch-podtrzymał swego kolegę Antkowiak. - Pytaliśmy pana o stosunek do Wieczorkowej - zakończył, nie zmieniając tonu, porucznik.

- Nasze kontakty ograniczały się do spraw służbowych.

- Pani Wieczorkowa płaciła panu regularnie?

- Raczej tak.

- To znaczy?

- W wyjątkowych wypadkach spóźniała się o kilka dni.

- Miała jakieś kłopoty finansowe?

- Każdy o tym wiedział.

- Wieczorkowa nie prosiła pana o udzielenie jej pożyczki?

- Mnie nie.

- A kogo?

- Chodziły na ten temat różne plotki.

- Naciągała pensjonariuszy, czy tak?

- Być może.

- A syna Wieczorkowej pan zna?

- Znam tego pętaka.

- Widział go pan wczoraj wieczorem?

- Nie. Staralem się nie kręcić po domu.

- Czy kiedy miał miejsce poprzedni wypadek, był pan u siebie w domu, w miasteczku?

- Tak.

- Był pan sam, czy też może to ktoś potwierdzić? - indagował Pińczykowski.

- Chcecie panowie sprawdzić moje alibi? Rozumiem. Nie, nie byłem sam.

- Była wtedy u pana, doktorze, siostra Danuta?

- Była pewna kobieta.

- W takim razie siostra Danuta nie ma alibi na tamten wieczór.

- Ja nie powiedziałem, że jej u mnie nie było. Prosiłem, byśmy na ten temat nie rozmawiali.

- Nie zawsze możemy uwzględniać prośby podejrzanych.

- A więc i mnie podejrzewacie?

- Tak jak każdego, kto mógł zadać dość silny i celny cios, Janusz Wróblewski wzruszył ramionami. Chciał jeszcze coś odpowiedzieć, ale dał spokój.

- Może pan już iść... na razie - powiedział Pińczykowski. A gdy doktor wyszedł, westchnął ciężko i zwrócił się do Antkowiaka: - Dość podejrzany miglanc. Czy ty wszystko dokładnie protokołujesz?

- Jasne.

- Dobrze. To przerwij na chwilę i idź zobacz, co robią ludzie.

Antkowiak wstał i wyszedł. Nie było go dłuższą chwilę. Sędzia oparłszy głowę na splecionych dłoniach zapatrzył się w okno, za którym zapadał już wczesny jesienny zmierzch. Zadumę Pińczykowskiego przerwało pojawienie się Zuzi ze świeżą kawą i ciastem oraz z wiadomością, że przyjechały dzieci zamordowanej.

- Jeszcze i oni! - mruknął ponuro i upił duży łyk gorącego, aromatycznego napoju. - Gdzie są? - spytał.

- Poszli do pani Wieczorkowej, do kancelarii - odpowiedziała podniecona Zuzia.

- Proszę powiedzieć pani właścicielce, że zaraz będę chciał ich zobaczyć.

Służąca minęła się w progu z Waldemarem Antkowiakiem.

- O, kawa! - zawołał entuzjastycznie porucznik. - A o tych dzieciach już wiesz, szefie?

- Ano, wiem. Kazałem im przyjść. - Umilkł na chwilę mieszając łyżeczką w filiżance. - A co ludzie? Znaleźli coś?

- Zrobili chyba wszystko, co trzeba. Mają gipsowy odlew stopy z rabatki, zdjęli wszystkie odciski palców w salonie. Odcisnęli również paluszki wszystkich domowników. Poza tym przeszukali pokój denatki, ale nie było tam dosłownie nic. Same stare teatralne szmaty, cudaczne wisiorki, bransolety.

- Jakieś papiery, dokumenty albo i takie wycinki jak u Bellówny?

- Nic z tych rzeczy. Mało pochlebnych recenzji aktorzy nie przechowują.

- Tak. Wobec tego można już ludzi odesłać do Lublina. Zostaniemy sami, a roboty od groma. Idź, Waldek, po te dzieci.

Przesłuchanie córki i syna Elizy Conti zabrało dobrą godzinę, godzinę chyba zmarnowaną, bo dało ono niewiele. Dowiedzieli się, że aktorka owdowiała, gdy dzieci były dorastające, że po ukończeniu szkół poszły własną drogą. Pani Conti grywała jeszcze przez pewien czas ogony w trzeciorzędnych teatrach, aż i to stało się dla niej za trudne. Wówczas córka wzięła ją na jakiś czas do siebie, ale obecność starej, sfiksowanej matki nie poszła w smak jej mężowi, panu hrabiemu. Musiano więc znaleźć inne wyjście z sytuacji. Eks-aktorka błąkała się przez dłuższy czas po różnych przytułkach, w końcu wylądowała w „Idylli”, za co córka i syn płacili regularnie, natomiast nie odwiedzali matki nigdy.

- Opowieść mało wesoła i mało wesoły obraz troskliwości dzieci - orzekł Pińczykowski, gdy zostali znów sami. - Dawaj tego Żelazkiewicza! - zażądał zdecydowanie.

Porucznik nie znalazł ogrodnika ani w jadalni, ani w żadnym innym pomieszczeniu „Idylli”. Musiał pofatygować się aż do jego domku. Pan Eustachy wyszedł na próg, aby zobaczyć, kto idzie. Ręce miał umazane ziemią, widocznie przerwano mu jego ogrodnicze zajęcia. Spojrzał na Antkowiaka nieufnie.

- Proszę na przesłuchanie - powiedział porucznik.

- Chwileczkę, muszę się umyć - i z powrotem zniknął w głębi pawilonu. Wrócił po paru minutach z czystymi rękoma, przyczesany i w nieodłącznej czarnej marynarce. Ruszył za Antkowiakiem bez słowa, wpatrując się po drodze w żwir alejki. Ledwo mruknął „dobry wieczór” wchodząc do buduaru. Niezgrabnie usiadł w zbyt głębokim dla niego fotelu, zgięte kolana wystawały mu prawie do brody.

- Zeznał pan w poniedziałek - zaczął sędzia - że nie interesuje pana, co dzieje się w „Idylli”, że nie zna pan bliżej

nikogo z pensjonariuszy oraz że wieczorem dwudziestego dziewiątego września od godziny 20.00 przebywał pan u siebie.

Żelazkiewicz milczał ze wzrokiem wbitym w dywan. Spoczywające na spiczastych kolanach palce lekko drżały.

- Czy nie tak pan zeznawał? - nalegał Pińczykowski.

- Owszem, tak zeznawałem - odpowiedział w końcu ogrodnik. Spojrzał przelotnie w twarz rozmówcy, lecz jego oczy natychmiast uciekły w bok.

- Czy nie chciałby pan zmienić tych zeznań? - zapytał sędzia niemal przyjaźnie.

- Nie - padła burkliwa odpowiedź.

- Szkoda, wielka szkoda! - prowadzący śledztwo nagle zmienił ton. - Wobec tego będzie pan odpowiadał za składanie fałszywych zeznań!

- Co najmniej za to! - dorzucił porucznik.

Twarc Żelazkiewicza zrobiła się ziemistoszara. Otworzył usta, ale głos uwiązł mu w gardle.

- Czyżby uważał nas pan za kompletnych durni, nie umiejących odkryć pańskich prymitywnych kłamstw? - krzyknął Pińczykowski.

Eustachy skulił się, jakby zapadł się w siebie. - Nie rozumiem - wyjąkał.

- Proszę przestać udawać, to na nic się nie zda. Wiemy wszystko!

Ogrodnik opanował się trochę. - Na przykład, co? - zapytał prawie arogancko.

Pińczykowskiego znowu poniosło. - Albo będzie pan odpowiadał na nasze pytania, albo przekażemy pana natychmiast w ręce prokuratora.

- Słucham - powiedział głucho Żelazkiewicz. Wyjął wielką kraciatą chustkę i obtarł z czoła grube krople potu.

- Czy ten przedmiot jest pana własnością? - na stole znów pojawił się sztylecik ze srebrną rękojęścią.

- Tak.

- Kiedy widział go pan po raz ostatni?

- Zaraz... nie pamiętam... - jąkał. Leżał zawsze na

sekreterze, w ciągu ostatnich dni go nie widziałem.

- Od ilu dni? - spytał Antkowiak.

- Nie umiem na to odpowiedzieć.

- Używał pan tego sztyletu?

- Rzadko, czasem do rozcinania książek... W ogóle, to pamiątka po dziadku, tak samo jak...

Sędzia przerwał mu: - A więc twierdzi pan, że od paru dni nie widział pan swojego sztyletu? Proszę to zaprotokołować, poruczniku. Niepotrzebnie pan kłamie, ciągle kłamie. Przecież musiałeś pan widzieć, do cholery, ten sztylet w ciele Conti! - poprawił się w fotelu, przyglądził wąsik i ciągnął dalej ostro: - Gdzie przebywał pan dwudziestego dziewiątego września wieczorem, po godzinie dwudziestej?

- U siebie - próbował jeszcze kłamać Żelazkiewicz.

- Ja przecież pana już ostrzegąłem. Zapomina pan chyba, że tu się prowadzi śledztwo w sprawie morderstwa. A więc, gdzie pan był?

Milczenie.

- Gdzie pan był wtedy i wczoraj wieczorem, do stu diabłów?! - wybuchnął Pińczykowski.

Pan Eustachy robił wrażenie kompletnie załamanego, odpowiedział jednak:

- Tego nie mogę zdradzić.

- Jak pan chce. Pańskie zeznania są protokołowane i mogą być obrócone przeciwko panu. Przejdźmy do pensjonariuszy „Idylli”. Czy pani Bellówna była panu równie mało znana co inni?

Żelazkiewicz poczuł się zaskoczony. - Czyżby wiedzieli? - pomyślał. Przełknął głośno ślinę i odpowiedział.

- Panią Natalię znałem kiedyś dawno, w młodości.

- Jak bliska to była znajomość?

Wiedzą - stwierdził w myśli Eustachy - ta baba musiała im powiedzieć. - Wieczorkowa to podstępna, chciwa kobieta - odezwał się pozornie bez związku.

- Nie o to pana pytałem - rzekł Pińczykowski unosząc brwi.

Rozdygotany Żelazkiewicz wydawał się nie słyszeć uwagi sędziego. - Zła i chytra - ciągnął. - Mści się na mnie, że z Natalii

nie udało się wyłudzić pieniędzy...

- Panie, oprzytomnij pan! - wrzasnął śledczy. - Był pan czy nie był mężem Natalii Bellówny?

Ogrodnik jakby otrząsnął się, przytomniejszym wzrokiem spojrzał na swoje vis-à-vis i wyznał: - Tak, kiedyś byłem mężem Natalii Bellówny.

Antkowiak odetchnął z ulgą.

- Czy to ona pana porzuciła? - ciągnął prowadzący śledztwo.

Po twarzy Eustachego przeleciał skurcz. - Tak - warknął. - Wyjechała z takim gówniarzem - głos mu się załamał.

- W którym to było roku?

- W 1885 - bez wahania odpowiedział przesłuchiwany

- pięćdziesiąt lat temu.

- I od tamtego czasu nie widywał pan byłej żony?

- Owszem, na scenie. Śledziłem jej karierę, widziałem ją w każdej roli.

- A prywatnie?

- Nie.

- W jaki więc sposób mógł pan polecić ją Jolancie Wieczorkowej?

- Natalia zeszła ze sceny, owdowiała. Wiedziałem, że skończyły się jej dochody, i byłem pewien, że przy jej charakterze nie pomyślała o zabezpieczeniu na starość.

Teraz i porucznik wykonał gest zniecierpliwienia.

- Dziwnym zbiegiem okoliczności zupełnie co innego zeznała pani Wieczorkowa. Ona twierdzi, że pan ją zapewniał o zamożności Bellówny, dając jej nawet do zrozumienia, że istnieje możliwość drenażu konta.

Żelazkiewicz w nastroju skrajnego przygnębienia wpadł znowu w gniew. - Mówiłem, to indywiduum kłamie! Panowie mi nie wierzą, ale to ona była przekonana o bogactwie Natalii. Ja przecież wiedziałem, że jest biedna jak mysz. Wieczorkowa szukała kogoś na miejsce pana Bazylego. Pomyślałem o Natalii. Wiedziałem, że mieszka byle jak.

- Jak pan się z nią skontaktował?

- Napisałem.

- I zgodziła się przyjechać?
- Prosiła o szczegóły, trochę się zdziwiła, że odezwałem się do niej, ale w końcu przystała.
- Jak odnosiła się do pana?
- Żelazkiewicz znowu spochmurniał. - Jak do kogoś, kogo mało znała.
- Więc twierdzi pan, że nie uważał pan jej za zamożni) osobę? - powtórzył Pińczykowski.
- Nie.
- A pan sam. Jaki jest pański stan majątkowy?
- Mizerny. Trochę oszczędności, niewielka sumka, no, i tych parę ładnych rzeczy po dziadku.
- Nie ożenił się pan nigdy więcej po odejściu żony?
- Nie. Miałem dosyć kobiet.
- Karierę naukową też pan porzucił?
- Wie pan, to było dawno, inne obyczaje. Rozwód - to był skandal - bąknął Eustachy.
- Wobec tego z czego pan żył?
- Z ogrodnictwa. W różnych miejscach.
- Jeszcze to sprawdzimy - odezwał się Antkowiak. - A w „Idylli” dawno pan mieszka?
- Od dziesięciu lat... Jeszcze za poprzedniej właścicielki. Szukała ogrodnika, dała mi ten domek.
- Eliza Conti przybyła tu w pięć lat po panu. Czy pan ją poznał?
- Po nazwisku. Ona sama bardzo się zmieniła. Gdy widywałem ją we Lwowie, była młodą, ładną kobietą.
- Czy ona pana poznała?
- Nie wiem. W każdym razie niczym nie dała tego po sobie poznać.
- O ogród rzeczywiście pan dba - zauważył po chwili Pińczykowski. - Szkoda, że ostatnio ciągle panu tę rabatę astrów niszczą.
- A właśnie - ożywił się Żelazkiewicz. - Ale wczoraj wieczorem o mało tego szkodnika nie przyłapałem. Niestety, biega szybciej ode mnie, dużo młodszy...
- Śledczy zdziwił się: - Jak to? Wczoraj wieczorem spłoszył pan

kogoś spod domu?

- Zgadza się.

- O której?

- Było chyba około jedenastej, w salonie jeszcze się lampka paliła.

- Więc pan już był na terenie „Idylli”?

- A kto panu powiedział, że mnie nie było? - zdziwił się ogrodnik.

- Mniejsza z tym. Dokąd uciekł ten szkodnik?

- Wzdłuż domu i w ogród. Nie mogłem go dogonić, ale ja dobrze wiem, kto to może być.

- To znaczy, że zidentyfikował pan tego osobnika?

- Niezupełnie. Wiem tylko, że szybko biega. A jak szybko biega, to młody. Ani chybi, ten Don Juan w białym fartuchu, Wróblewski.

- Proszę pana, to są jedynie domysły. Mógłby to być zupełnie kto inny, choćby Rajmund Wieczorek. Ponadto mógł pan także całą tę historię wymyślić, żeby się bronić. W końcu ciąży na panu podejrzenie.

Żelazkiewicz, który na chwilę zapomniał o swojej niewyraźnej sytuacji, teraz znów się spłoszył. W jego oczach zamigotał strach.

- Czy dlatego, że byłem kiedyś mężem Natalii? - wykrztusił.

- Między innymi - odparł sędzia. - Oraz dlatego, że starannie ukrywał pan ten fakt. Ponadto odmawia pan zeznań na temat swoich nocnych wycieczek. No, i ten sztylet! Zresztą - dodał po chwili - czort wie, co pan tam ma jeszcze u siebie w domku. Zaraz to sprawdzimy. Pan pójdzie z nami.

Antkowiak jeszcze coś dodał o odcisku buta, który został odlany w gipsie, jednak nie bardzo wiedząc, czy Pińczykowski chciałby się tym chwalić, umilkł zbierając się do wyjścia.

Pierwszy ruszył ogrodnik, za nim postępował śledczy. Porucznik zatrzymał się na chwilę przy zbieraniu zapisanych papierów. Kiedy już zmierzał do wyjścia, zobaczył w salonie panią Jasię błagalnie wpatrującą się w jego twarz.

- Panie poruczniku, złotko, niech pan się za mną wstawi. Kupiłam już sobie dwie bluzki, jedną niebieską, drugą

holenderską na te chrzciny. Pan powie sędziemu, żeby mnie puścił?!

- Powiedzieć mogę, ale na nic się to nie zda, moja pani. Sprawa kryminalna, chrzciny muszą poczekać. Wróżka sama będzie o tym wiedziała, inaczej nie byłaby dobrą wróżką.

- Może ma pan rację. Ona na pewno odbierze moje fluidy, będzie wiedziała, w jakiej jestem sytuacji.

- No, właśnie - skwapliwie przytaknął porucznik i pobiegł przez zupełnie już ciemny ogród. W połowie drogi zatrzymał się, gdyż przypomniał sobie służbowe polecenie. Miał zabrać ze sobą panią Wojtasik.

Zdumienie malowało się na twarzy Eustachego, kiedy razem wkroczyli do domku. Zauważywszy to Pińczykowski zwrócił się do Hortensji:

- Pofatygowałem panią tutaj, aby nam pani powiedziała, w którym miejscu leżał sztylet

Hortensja bez ociągania wskazała jesionową sekreterę.

- Tu, na blacie leżał wraz z całym plikiem pism, listów i szpargałów.

- Tych samych co teraz?

- Tego nie mogę stwierdzić. Nie przeglądam cudzych rzeczy. Z daleka wyglądają podobnie.

Tymczasem policjanci przeszukiwali domek, dwa pokoiki i kuchnię. W pewnej chwili pani Wojtasik zniknęła. Żaden z funkcjonariuszy prawa początkowo tego nie zauważył, dopiero kiedy zbierali się do wyjścia, Hortensja z niewinną miną chciała się bezszelestnie dołączyć. Sędzia zgromił ją za myszowanie na własną rękę.

- Zabłądziłam w składziku przylegającym do kuchni - wyjaśniła Hortensja. - Bałam się nawet, że mnie tam zostawicie.

- Miała też pani czego szukać między tymi półkami z kupą doniczek, w stertach torfu czy wśród pęków suchych badyli porozwieszanych u sufitu - powiedział z przekąsem Antkowiak. - My byliśmy tam przed panią, niepotrzebnie się pani trudziła.

- Wytarłam trochę pajęczyn, nie lubię bałaganu - odgryzła

się Hortensja.

Zupełnie nie rozumiem, po co im byłam potrzebna - myślała wracając do domu z przesłuchującymi i ogrodnikiem. Kiedy wchodzili do salonu, słyhać było jakąś krzątanie na korytarzu, po schodach z trudem wchodziła generałowa. W powietrzu czuło się napiętą atmosferę wyczekiwania na werdykt uwalniający starych ludzi od grozy niewiadomego.

Po powrocie do buduaru sędzia wezwał właścicielkę, która zjawiała się natychmiast. Sińce pod jej oczami świadczyły o przeżyciach ostatniej doby.

- Czy panowie pozostaną na kolacji? - spytała zdawkowo.

- Niestety, musimy pani odmówić. W Lublinie czeka nas jeszcze dużo roboty. Zabieramy pana Żelazkiewicza, musimy go zatrzymać do dalszych wyjaśnień.

Wieczorkowa pobladła. - Panowie aresztujecie mego ogrodnika, to chyba jakaś pomyłka? Zaręczam, że jest niewinny!

- Droga pani, zaręczenia na nic się tu nie zdadzą. Możemy się mylić, dokładamy jednak starań, by prawdopodobieństwo pomyłki było znikome - wyjaśnił sędzia.

Ta krótka i nieprzyjemna rozmowa odbywała się na stojąco. Zza mężczyzn wysunęła się Hortensja. Podeszła do Joli i chcąc załagodzić niedawny spór wzięła ją pod rękę i rzekła cicho:

- Proszę, niech się pani nie niepokoje. Pan Pińczykowski na pewno odeśle jutro pani ogrodnika. Służba jest służbą. Naprawdę, proszę się trzymać.

Antkowiak i Pińczykowski skłonili się, przepuścili przed sobą Żelazkiewicza i wyszli głównymi drzwiami pozostawiając obie kobiety w salonie. Nim ucichł warkot samochodu, na korytarzu pojawili się wszyscy mieszkańcy domu. Nie było nikogo, kto by na wieść o zatrzymaniu Eustachego nie był poruszony. O ile jeszcze wczoraj był on dla wielu niezbyt sympatycznym pracownikiem, o tyle teraz wszyscy okazali się być bardzo przywiązani do tej smutnej postaci. Dalsza rozmowa przeniosła się do jadalni, którą coraz częściej zamieniano na świetlicę. Amelia Krukowa ubolewała nad losem ogrodnika i przekonywała zebranych o swojej sympatii dla tego starego

człowieka zamkniętego w wilgotnej celi. Pozostali z pewną rezerwą traktowali wybuch dobrych uczuć krawcowej. Olo ssał dawno wygasłą fajkę, Daniel tarł czoło udając, że zbiera myśli, i nikomu nie chciało się nawet jeść, chociaż dawno minęła pora kolacji.

Gdyby nie generałowa, zapomniano by i o herbacie. Wieczorkowa odgadła intuicyjnie, że staruszkowie boją się zostać sami w swoich pokojach. Jedyne pani Hortensja nie czekając na herbatę poszła do siebie. Burzliwy dzień wyczerpał nawet jej na ogół wytrzymałe nerwy.

Herbata uspokoiła nastroje pensjonariuszy, długo jeszcze snuto rozmaite domysły, tworzono coraz to nowe i mniej prawdopodobne wersje ostatnich wydarzeń, ale po chwili i one ustąpiły miejsca innemu tematowi - własnych chorób. Zapomniano o Żelazkiewiczu.

*

W poniedziałek po niezbyt dobrze przespanej nocy pani Hortensja poprosiła Zuzię o podanie jej śniadania do pokoju. Nie miała ochoty na spotkanie ze zgnębionymi staruszkami, nękały ją dziwne myśli, mgliste podejrzenia i chciała pozostać jakiś czas sama. Zjadłszy niewiele - choć herbaty sobie nie żałowała - zasiadła w swoim ciepłym szlafroku przy stolicku pod oknem i postanowiła pociągnąć pasjansa. - Może łatwiej mi będzie się skupić - pomyślała. Wydobyla z szufladki dwie talie małych, podniszczonych kart, potasowała je bardzo starannie zastanawiając się jednocześnie, od którego pasjansa zacząć. Znała ich wiele, niektóre były bardzo stare, przekazywane w rodzinie z pokolenia na pokolenie. Istniał na przykład pasjans babci Newlińskiej, lecz pani Wojtasik nie bardzo wiedziała, ani kim była babcia Newlińska, ani kiedy opuściła ziemski padół. Pasjans tej antenatki był zresztą dość nudny, ciągnęło się go bardzo długo. Hortensja zdecydowała się więc rozpocząć posiedzenie od pasjansa pięknie zwanego „Caprisses des Dames”. Damy w istocie okazały się kapryśne, zwłaszcza kierowa, która popsowała ostatecznie szyki w momencie, gdy już wydawało się, że pasjans wyjdzie. Hortensja

zniechęciła się nieco niepowodzeniem, zwłaszcza że w rozmyślaniach o dziwnych wypadkach w „Idylli” również nie odnosiła sukcesu. Przyszła jej natomiast pewna myśl do głowy i postanowiła ją zanotować, jakkolwiek pomysł był pozornie absurdalny.

Sięgnęła do szuflady po oprawny w skórę notes, prezent od wnuka. Z notesu wypadł stary, pożółkły wycinek prasowy.

- A cóż to takiego? - zdziwiła się w pierwszej chwili Hortensja. - A, odejście ze sceny Natalii Bellówny... po co ja to brałam od tych policjantów? - Przeczytała wzruszające słowa o pożegnaniu znakomitej baleriny i zerknęła na drugą stronę wycinka. Bankructwo i śmierć Schauberga. Ach, było koło tego wiele hałasu, taki bogaty człowiek, tyle się zawsze o nim mówiło i pisało w kronikach finansowych i towarzyskich. - Chwileczkę, ale chyba przedtem też była jakaś afera z nim związana... Boże, pamięć mnie już zawodzi, niedługo upodobnię się do pensjonariuszy „Idylli” - westchnęła i wsunąwszy notes wraz z wycinkiem na powrót do szuflady, powróciła do kart. Tym razem postanowiła położyć wspaniały choć trudny pasjans królewski.

Aby tylko nie ulec tak silnej przy tym pasjansie pokusie szachrowania - powiedziała półgłosem - zdjąć można jedynie pięć kart, niektórzy twierdzą, że nawet tylko cztery. - Rozłożyła karty. Idące w dół szeregi, zaczynające się od królów, rozdzieliły się nawet dość równo. Stanowczo były szanse na powodzenie. Toteż pani Wojtasik w wielkim skupieniu wpatrywała się w karty i układała w głowie plan działania. W końcu przystąpiła do akcji. Zdjęła najpierw dwie karty, poprzekładała jak należy czarne na czerwone, jedną ze zdjętych kart można było położyć z powrotem. Potem nowa kombinacja i jeszcze jedna, aż odsłonił się czarny król. I tu nastąpił nie dostrzeżony przez nią kryzys. Nie było czerwonych dam. Obie karowe leżały już na swoich miejscach, na czarnych królach, natomiast kierowe jedna przy drugiej - przywalone były tak ogromnym ogonem, że gdyby nawet 15 kart można było zdjąć, pasjans i tak by nie wyszedł. - Znów ta przekłeta dama kierowa - rozzłościła się Hortensja, i nagle, z najgłębszych warstw jej

pamięci wydobyło się coś, co ją od dawna podświadomie gnębiło. - Oczywiście - powtarzała zdziwiona - dama kierowa, piękna blondynka, piękna i nieszczęśliwa. Trzeba to sprawdzić, sprawdzić jak najszybciej. Ale jak? Chyba tylko w Warszawie. Kto mi to jednak załatwi? Nie mogę w to angażować obcych osób. A więc tylko Wanda. Wprawdzie moja córka jest gapowata, ale tym razem będzie musiała się wysilić, to zbyt poważna sprawa.

Niedbałym ruchem pomieszała rozłożone na stoliku karty i zaczęła się ubierać. - Na pocztę, Hortensjo - przynaglała siebie - na pocztę, i to jak najprędzej.

W ostatniej chwili przypomniała sobie, że obiecała panie Bożence lekturę, mającą zastąpić powieści Marczyńskiego. Złapała stojącą na półeczce „Lalkę” i niemal pędem wybiegła. W rekordowym tempie doszła do urzędu pocztowego. Dała urzędnicze powieść Prusa i poprosiła o błyskawiczne połączenie z Warszawą. Podniecona nowymi sensacjami Bożenka natychmiast chciała wyciągnąć z pani Wojtasik jak najwięcej wiadomości, ale Hortensja okazała się bardzo powściągliwa w udzielaniu informacji. Zresztą połączenie z Warszawą nastąpiło rzeczywiście błyskawicznie. Hortensja wpadła do kabiny energicznie zatrzaskując za sobą drzwi. Jedyne słowa, jakie dotarły do uszu panny Bożeny, brzmiały: „Wanda, choć raz w życiu nie bądź idiotką”.

*

Generałowa zapukała do drzwi pielęgniarki i nie czekając na odpowiedź weszła do pokoju. - Ja dziś rano... - zaczęła, ale zamilkła na widok szlochającej w poduszkę siostry Danusi.

- No i czego płacze? - zapytała, jak na siebie, dość łagodnie.
- Młoda taka, nie wie jeszcze, co to nieszczęście.

Pielęgniarka usiadła na łóżku i zaczęła gorączkowo ocierać twarz. - Przepraszam, pani generałowo, przepraszam, ale taki wstyd... - pochlipywała dalej.

- Niech się uspokoi i stawy w nadgarstkach mi natrze. Bołą jak diabli! Przez parę wieczorów nie przychodziłam, bo to albo morderstwo, albo inna awantura... policmajstrów pełno

w domu. A ręce bołą. No, niech weźmie ten olejek. E, płakać z byle powodu nie trzeba, lecz by nie wystarczyło.

Danusia posłusznie wstała z wymiętego łóżka, sięgnęła po małą buteleczkę i pociągając nosem zabrała się do nacierania sękatych rąk starej kobiety.

- To nie jest byle powód, pani generałowo - szepnęła. - Pani Wieczorkowa wymówiła mi pracę. Mogę tu zostać tylko do czasu, gdy znajdzie kogoś innego. Wszyscy patrzą na mnie jak na ladacznicę.

- To i co z tego? Młodości zazdroszczą, Wieczorkowa też. Praca dla pielęgniarki zawsze się znajdzie, i to w lepszym miejscu, tam gdzie ludzi nie mordują.

- Tak, proszę pani. To morderstwo i w ogóle wszystko tu takie straszne. - W oczach Danusi znów ukazały się łzy.

- A może za mąż wyjdzie?

Pielęgniarka ze zdwojoną siłą zajęła się masażem. Milczała.

- Nie wyjdzie? - nie dawała za wygraną generałowa.

- Nie wiem. Zaczynam we wszystko wątpić.

- Tak się teraz wydaje, moje dziecko. Jeszcze będziesz w życiu szczęśliwa. Nie to co my. Nie wiadomo, czy na własną śmierć czekać, czy na to, aż ktoś nożem dźgnie, jak tę nieszczęśnicę sfiksowaną. A na Wieczorkową nie zważać! To nędzna kreatura, chciwa i podstępna, a o twojego doktora zazdrosna, ho, ho, ho!

- Rzeczywiście, nieładnie ze mną postąpiła - pożałowała się Danusia.

- Aj, dziecko, nie tak obcesowo, jeszcze stare kości zgnieciesz!

- Przepraszam najmocniej, pani generałowo. Wszystko przez te nerwy. Czego oni chcą od Janusza? To mi sen z powiek spędza.

- Ach, co oni tam wiedzą, niedorajdy i prostaki! Nie umieją zbrodniarza wykryć, czekają, aż nas tu wszystkich wybije.

- Tak, do Janusza się czepiają, a na to, że ten typ spod ciemnej gwiazdy, ten Rajmund tu się kręci, nie reagują.

- Nie denerwuj się, powtarzam. W końcu nie twojego lubego zamknęli, tylko Eustachego, czort z nim, może; i

zabił?

- Ja wątpię, pani generałowo, co by mu na tym zależało?

- Kto to wie, co w starym człowieku siedzi - zamyśliła się generałowa. - Wszyscy tu pod jednym dachem, a na dobrą sprawę niewiele o sobie wiemy. Oprócz tego, że kostucha koło nas krąży, nikomu nie daruje. Ale to i tak nikogo nie wzruszy. Widziała wczoraj te dzieci Elizy?

- Przez chwilę.

- A ja ich widziałam po raz pierwszy, odkąd tu na umartwienie swoje siedzę. Synalka Daniela ze dwa razy, a z córek Krukowej ani jednej.

- To pani Amelia ma córki? - zdziwiła się Danusia.

- Trzy. I ten jej „salon mód” - te słowa podkreśliła pani Helena z ironią - dalej prowadzą, i pieniądze niezłe zbijają do własnych kieszeni. Bo mamusia raz tylko zapasik zabrała, w materac wsadziła i skąpi. Nie dziwię się właściwie, że skąpi, więcej już ani grosza nie dostanie i nie wiem, czy którąś córeczkę zobaczy. Po śmierci się pewnie zjawia, jak tamci.

Danusia zapomniała na chwilę o własnych zmartwieniach. Przerwała masaż i słuchała gorzkich wynurzeń generałowej.

- Nie cierpię jej, Bóg mi świadkiem. Co mi krwi w tymi wspólnym pokoju napsuła, to napsuła. Żółć się z niej czysta wylewa, wszystko to prawda, ale jak ktoś taką starość ma przekłętą, to i zabić może. Wszyscy jesteśmy przez Boga i ludzi zapomniani, każdy z nas to potencjalny morderca.

- Ależ, co pani mówi? - przeraziła się Danusia.

- Młoda jesteś, nic nie rozumiesz. Jak cię ktoś z kochankiem nakryje, wydaje ci się, że się świat zawalił. Obyś większych nieszczęść nie zaznała i dzieci miała inne.

- Dzieci? - zastanowiła się pielęgniarka.

- Tak, dzieci. Dobrze dzieci żebyś miała - jak córka tej Wojtasik. Ja także kiedyś miałam dziecko - dodała po chwili.

Danusia wydała się zaskoczona. -I co... przepraszam - zaczęła bąkać.

- Na czarną ospę umarło. I tak sobie czasami myślę, że może to i lepiej. Na takim marnym świecie miałoby żyć. A ja się przynajmniej niewdzięczności nie doczekałam.

Generalowa zamilkła i zapatrzyła się kosymi oczami w przestrzeń za oknem, gdzieś aż po szosę. Danusia przyjrzała się jej ukradkiem. Zbyt jaskrawy makijaż nie pokrywał zwiędłości policzków. Była stara, bardzo brzydka i bezbronna. Po raz pierwszy tego dnia pielęgniarka pomyślała, że może być na świecie ktoś bardziej od niej samej godny politowania.

*

Kalinowski jak gdyby zawahał się chwilę na progu gabinetu sędziego śledczego.

- Prosimy, panie inżynierze - zaprosił go Pińczykowski. - Niech pan siada.

Jerzy Kalinowski przysiadł na twardym krześle. Niechętnym wzrokiem obrzucił śledczego i porucznika.

- Czy mogę wiedzieć, w jakim celu zostałem wezwany?

Pińczykowski machinalnie przyglądał wypielęgowany wąsik. - Musieliśmy pana pofatygować, ponieważ zaszły pewne okoliczności...

- Czyżby zmieniało to w czymkolwiek moją nie najlepszą sytuację?

- Niewykluczone - odpowiedział po krótkim wahaniu Pińczykowski.

Kalinowski rozsiadł się wygodniej. - A więc, słucham.

- Za wcześnie jest jeszcze, abyśmy mogli wyjawić cokolwiek - odezwał się porucznik Antkowiak.

- Uwaga kolegi jest całkowicie słuszna - potwierdził „szef”.

- Chcieliśmy prosić pana jedynie o pewną przysługę. Waldek, dawaj go tu!

Porucznik wychylił się przez drzwi i zawołał: - Fabisiak, przyprowadzić aresztowanego!

Po chwili do gabinetu wszedł wzywany sierżant, obok zakołysała się wysoka sylwetka Eustachego Żelazkiewicza. Ogrodnik wyglądał fatalnie, cerę miał ziemistą, z rozbieganych oczu wyzierało przerażenie.

- Czy pan już widział kiedy tego człowieka, panie Kalinowski? - spytał sędzia wpatrując się bacznie w twarz inżyniera.

- Może... nie wiem zresztą.

- Musiał mnie pan widzieć na pogrzebie Natalii Bellówny - warknął Żelazkiewicz.

- Tyle było osób - zachnął się Kalinowski.

- To pan był na pogrzebie? - zdziwił się Antkowiak.

- Poczuwałem się do tego.

Zaskoczeni zamilkli na moment. Ciszę przerwał sędzia:

- A ta sylwetka, niech się pan dobrze przyjrzy, z niczym się panu nie kojarzy?

Kalinowski milczał.

- Nie przypomina panu owej sylwetki, którą rzekomo widział pan z Bellówną na szosie?

- Mówilem przecież, że była noc i mgła. Poza tym tamten ktoś miał płaszcz. Długi, ciemny płaszcz. Przyglądał się jeszcze chwilę Żelazkiewiczowi i dodał: - Wzrost by się tylko zgadzał.

- Jednym słowem, nie może pan stwierdzić, że to był ten właśnie człowiek? - rzucił skwapliwie Antkowiak.

- Nie.

- A czy może pan stwierdzić, że to nie był na pewno on? - dodał Pińczykowski.

- Również nie.

Sędzia westchnął: - No, cóż. Dziękujemy panu. Jest pan wolny. Fabisiak, wyprowadzić aresztanta!

Kalinowski wstał z krzesła, skłonił się sztywno i bez słowa wyszedł. Słudzy Temidy zostali sami. Antkowiak podszedł do biurka sędziego, oparł się rękami o blat i przechylił w stronę Sylwestra.

- No i co? - zapytał. - Kompletny klops. Żadnego materiału dowodowego. Żadnego punktu zahaczenia. Wszystko ćwierćposzlaki.

- Och, przesadzasz! Jak zwykle przesadzasz! - bronił się Pińczykowski. - Poszlak jest wiele. Ze wszystkich mieszkańców „Idylli” on jest z pewnością najbardziej podejrzany.

- Tylko dlatego, że „sto lat” temu był mężem tej balet- nicy?

- To mało? Złamała mu życie osobiste i karierę naukową,

nigdy jej tego pewnie nie darował.

- I po kilkudziesięciu latach sprowadził ją do „Idylli” po to tylko, żeby zamordować? - ironizował porucznik.

- Zamordować i ograbić!

- Ciekaw jestem z czego? Z tych sztucznych błyskotek?

- Skąd wiesz, czy gdzieś nie ukrył biżuterii, nie zakopał?

- Wieczorkowa by mu nie dała - roześmiał się Antkowiak. - Słynna biżuteria Bellówny wydaje mi się legendą. Może kiedyś ją miała, musiała jednak dawno ją roztrwonić.

Pińczykowski był wyraźnie zirytowany. - Zupełnie nie rozumiem, dlaczego bronisz tego człowieka?

- Ależ ja go nie bronię. Twierdzę jedynie, że nie mamy przeciwko niemu dowodów.

- A jego sztylet? A brak alibi na oba wieczory?

- Sztylet mógł wziąć każdy, a wzięła go najprawdopodobniej sama ofiara. Natomiast alibi na oba wieczory nie ma, z małymi wyjątkami, nikt. Praktycznie każdy z tych włóczących się po nocach starców mógł obie kobiety zabić. Z tym, że jeśli nawet przyjmiemy, że Żelazkiewicz wywabił na szosę swoją eks-małżonkę i wepchnął ją pod koła rozpędzonego samochodu, to po co miałyby mordować tę drugą sklerotyczkę?

- Porucznik Antkowiak przechodzi kryzys - orzekł zimno Pińczykowski. - Nie dostrzega związku przyczynowego pomiędzy faktami. Oczywistym jest, że Eliza Conti' musiała coś widzieć lub wiedzieć.

- Powtarzasz po tej Wojtasik.

Pińczykowski zrobił się purpurowy. - Też coś! - wykrzyknął. - Jakbym już własnego rozumu nie miał! Nie można się dziś z tobą dogadać.

- Nie chciałbym po prostu, abyśmy się kompromitowali takim materiałem dowodowym. Na co można jeszcze liczyć? Wałkowaliśmy go wczoraj w „Idylli”, wałkowaliśmy dzisiaj cztery godziny tutaj, i pary z gęby nie puścił.

- Nie bój się, jak go weźmiemy w cztery ognie, wszystko wyśpiewa - zapewnił Pińczykowski.

- Jeśli cokolwiek ma do wyśpiewania prócz tego, co robi

wieczorami. Do tego rzeczywiście za Boga nie chce się przyznać. Może ma jakąś babę?

- I tak broni jej honoru? - tym razem Pińczykowski był ironiczny. - Taki stary dziad, chyba naprawdę w piętę gonisz, Waldek.

- Nigdy nic nie wiadomo w tych sprawach. Dość, że Kalinowski go nie rozpoznał, choć przyznał, że wzrost ten sam. Odcisk buta niewyraźny i też nie bardzo pasuje, chociaż wymiar niby także się zgadza.

- Że te alejki żwirem wysypywane-westchnął sędzia. - Tylko na grządkach można szukać odcisków.

- I wśród połamanych astrów - dodał porucznik - rosnących pod oknami salonu oraz - co podkreślał - pod oknem panny Gabrieli Krzeczkowskiej.

Pińczykowski wyprostował się z godnością. - Cokolwiek mówilbyś jeszcze, nie przekonasz mnie. Wszystko świadczy przeciw Żelazkiewiczowi. Moim świętym obowiązkiem jest zebranie całego materiału i niezwłoczne przedstawienie go prokuraturze. Decyzja do nich będzie należała. - To mówiąc skrupulatnie zaczął układać protokoły i dokumenty w teczkę. Starannie zawiązał tasiemkę i wsunął teczkę pod pachę, po czym skierował się w stronę drzwi. Od progu rzucił jeszcze:

- A ty weź na warsztat Wieczorka!

- Nietrudno będzie go znaleźć. Od dwóch dni przegrywa flotę tej krawcowej w kasynie.

Po południu pogoda rozchlapała się. Wszystko było jakby nasiąknięte wilgocią, humory pensjonariuszy, meble, odzież, nawet jedzenie w ten poniedziałkowy zmierzch było jakies rozgotowane. Wszyscy snuli się sennie, czasem pojękując z cicha na skutek reumatyzmu lub dolegliwości sercowych. W jadalni popatrywano po sobie z pytaniem w oczach - co dalej z nami? Nikt nie umiał dać na to odpowiedzi, która mogłaby zadowolić zgromadzonych, przynieść im chwilę odprężenia. Tylko o szyby skrobała uparcie gałązka bzu, pozbawiona liści jak ci tutaj nadziei.

- Ja... - chrząknął Olo - ja przeprosiwszy państwa, zaproponowałbym jakąś grę. Powinno nam dobrze zrobić takie

niewinne kartograjstwo, nie żeby zaraz na pieniądze, Boże broń, tylko na punkty albo na zapalki.

- A gdzie ma pan kompanię do kart? Chyba potrzeba czwórki? Ani ja, ani pozostałe panie z wyjątkiem naszej gospodyni, nie widziały kart więcej jak trzy razy w życiu. - Tu panna Gabrysia wskazała ręką na siedzących przy stołach domowników.

- Mnie żaden mężczyzna nigdy do kart nie namawiał, sama się rwałam. Ale to było dawno. Teraz można tu grać tylko w inteligencję, i to nie z każdym - odparowała pani Kaczorowska.

Znowu zapadło milczenie. Krukowa tymczasem bezgłośnie poruszała wargami. Nic nie wskazywało na wznowienie konwersacji, gdy nagle zadźwięczał dzwonek furtki. Początkowo słaby, później nieco bardziej natarczywy. Krukowa wzdrygnęła się, lecz nie przestała szeptać. Jasia chwyciła się za serce i wykrztusiła zapewnienie, że za nic na świecie nie pójdzie otworzyć. Miny pozostałych zwarzyły się jeszcze bardziej. Jedynie panna Gabrysia z Wieczorkową poderwały się do okien wierząc, że w tę ciemną noc wypatrzą przybysza.

- Kogo może nieść, taka psia pogoda! - denerwowała się Wieczorkowa. - Byleby to nie był Rajmund - szepnęła do siebie.

- Rzeczywiście nic nie widać - komunikowała Gabrysia robiąc z rąk daszek i przylepiając się mocniej do szyby.

- Wypada na mnie - rzekła Hortensja, która od początku kolacji nie wypowiedziała ani jednego słowa. Odsunęła krzesło i swoim drobnym kroczkiem poszła do drzwi frontowych. Już z korytarza zawróciła z pytaniem skierowanym do pani Joli: - Gdzie są klucze od furtki, nigdy ich nie widziałam?

- Ja pójdę z panią - zreflektowała się dopiero teraz Wieczorkowa. - Wezmę latarkę, będzie nam raźniej.

Obie panie zniknęły w korytarzu. Chwilę trwało, zanim usłyszano w jadalni otwieranie drzwi wejściowych i ich odległe głosy skierowane do kogoś za bramą, zagłuszane podmuchami wiatru. W tym momencie silnie trzasnęły drzwi z korytarza i

zaraz, w tej samej sekundzie, dobiegł głuchy huk rozpadający się jakby na mniejsze echa. W jadalni wszyscy zeszywnieli, ktoś strącił ze stołu łyżeczkę. Nie ulegało wątpliwości, że na zewnątrz „Idylli” rozegrał się kolejny dramat.

Minęła chwila absolutnej ciszy, z niej wyłoniły się odgłosy rozmowy narastające w miarę zbliżania się do domu tych z zewnątrz. Ktoś podszedł do okien, zaświecił latarką, wątłe światło przesunęło się w górę, na dach, po czym zgasło. Znow słyhać było rozmowy, lecz w jadalni nikt nie mógł rozróżnić słów. Nikt też nie ruszył się z miejsca. Kompletny paraliż ustąpił dopiero wtedy, gdy powróciła Hortensja Wojtasik. Od razu zdała sobie sprawę z uczuć staruszków oczekujących jakiegokolwiek wiadomości o tym, co się wydarzyło na dziedzińcu.

- Proszę państwa, nic nie zaszło. Wrócił pan Żelazkiewicz. A ten huk, to spadł kawał tynku, kiedy wiatr zatrzaskał drzwi do „Idylli”. Biedna chałupa, także przestraszona i zmurszała - dodała w myśli.

- Zwariować można, z kretesem zwariować można - sapnął Daniel przychodząc z wolna do siebie.

- Wypuścili pana Eustachego - informowała dalej łagodnym głosem mała postać z palcem wzniesionym ku sufitowi. Przyłączyła się do tego Wieczorkowa, która teraz dopiero zjawiała się w jadalni.

- Pan Eustachy jest bardzo zmęczony i chciałby przeprosić państwa, że nie przyjdzie się przywitać. Poszedł do siebie.

- Śledczy musi jednak czasem myśleć, nie miał dostatecznych dowodów i mamy pana Żelazkiewicza z powrotem - zakończyła z prawdziwą ulgą Hortensja.

- Więc kto zabił? - zapytali jednocześnie obaj panowie.

Pani Jasia nie miała ochoty spać. Kiedy tylko zrobiło się w miarę widno, wstała z łóżka i przeniosła się pod okno. Usiadła na krześle, oparła głowę na splecionych rękach, beznamietnie patrząc na zeschnięte liście wirujące po gazonach i po dawno nie grabionych alejkach. Myślała o Eustachym. W jego domku nie widać było żadnych oznak życia, a przecież ogrodnik zawsze pierwszy rozpoczynał dzień w „Idylli”. Ogród był pusty,

sprawał w rannym świetle wrażenie opuszczonego, zapomnianego skrawka ziemi mało różniącego się od szarości nieba zaciągniętego kłębamii chmur. Jedynie czereda wróbbli uwijała się po krzakach i po alejkach poszukując zapomnianych okruchów. - Ciekawe, dlaczego on wczoraj nie przyszedł do jadalni, nie wszedł nawet do domu? - pomyślała. - To despekt dla nas, którzyśmy mu współczuli. Ted nigdy by tak nie postąpił. - Tu popatrzyła jakby dla potwierdzenia swych myśli na ogromną podobiznę męża. - Ted lubił jasne sytuacje - chociaż nie gardził metafizyką. Czego ten Żelazkiewicz się boi? Może jednak ma nieczyste sumienie?

Nie wiadomo, ile czasu zajęłyby pani Jasi dalsze medytacje przy oknie, gdyby w pewnej chwili nie uświadomiła sobie późnej pory i nie udała się do łazienki. Pensjonat już dawno się przebudził, na górze słychać było krzątanie, j

Olo chodził wzdłuż swego pokoju od drzwi do parapetu i z powrotem. Trzymał w ustach nie zapaloną fajkę, co parę kroków zatrzymywał się, wyjmował fajkę z ust, chwilę stał bez ruchu, potem znów ruszał w dalszą drogę po pokoju. Słyszał, jak Daniel przechodził korytarzem, później jak schodził na dół, pewnie do jadalni. Olo nie miał ochoty na śniadanie, czuł jakiś niepokój, jakąś niechęć do rozmów, ukłonów, do pytań typu: „jak się spało?”. W końcu jednak pomny na utyskiwania Rózi i Zuzi, kiedy ktoś się spóźniał na posiłki, opuścił pokój. W korytarzu spotkał generałową. Chcąc nie chcąc ujął damę pod rękę i oboje zeszedli wolno po schodach. Kaczorowska oczywiście musiała wspomnieć coś o poprzednim wieczorze, nie szczędząc uwag o zachowaniu pana Eustachego. Olo jednak milczał.

Przed południem chmury zaczęły rzednąć, od czasu do czasu słońce oświetlało mury „Idylli”, zrobiło się wyraźnie cieplej. W buduaraku po śniadaniu zasiadły dwie panie: Gabryisia i Hortensja. Olo postanowił przyłączyć się do nich. Perspektywa siedzenia samemu w pokoju na górze przeważyla jego dzisiejszą niechęć do rozmów.

- Człowiek błaka się bez celu, paskudna pora - powiedział sadowiąc się na kanapie w przyzwoitej odległości od panny Gabrysi. - Ja bym panie zaprosił na krótki spa cerek, ale

może później będzie sposobniejszy czas powąchać świeżego powietrza. Wiatr trochę podsuszy, to i powiodę panie gdzie, może nawet do lasu, grzyby wypatrywać.

- Kto by tam wypatrywał grzyby w taki ziab. Wolę trochę poczytać gazetkę. Swoją drogą ta Wieczorkowa mogłaby jakieś poważniejsze pisma abonować, a nie tam takie „ABC” - stwierdziła panna Krzeczowska.

- Była już poczta? - zainteresowała się pani Wojtasik.

- Nie, chyba jeszcze nie, ja mam starą sprzed dwóch dni, z soboty - odpowiedziała Gabrysia chowając nos do gazety.

- Pani świata ciekawa, po prawdzie to oznaka młodości, mnie już coraz mniej interesuje...

- Bo pan, panie Olu, bywalec. Jak każdy malarz - powiedziała nie wiedząc czemu panna Gabrysia.

- Nie każdy malarz musi zaraz być latawcem i hulać po świecie - zripostowała druga dama.

- O, pani Hortensja, przeprosiwszy pannę Gabrielę, ma rację. Świat. Cóż ja go widział? Byłem w Paryżu, prawda, ale krótko. Głód mnie stamtąd wypędził, nim ja się spostrzegł. Innym jakoś lepiej poszło Lepiej przeszło życie.

Panna Krzeczowska odłożyła gazetę stwierdzając widocznie, że nic nie będzie z porannej lektury. Poprawiła włosy i z nostalgią spojrziała na taras, potem na ogród i dalej na las. Tymczasem dialog ciągnęła desperacko Hortensja zdając sobie sprawę z jego bezsensowności, po prostu trzeba było czymś zapełnić czas.

- Panie Olu, po co narzekać od samego rana? Obrazy pan malował, miał pan wyborowe modelki, same midinetki. Przecież sam pan opowiadał nam swoje paryskie przeżycia. Jeszcze parę dni temu.

- Tak mówiłem? - błądy uśmiech pojawił się na twarzy pana Kucejki. - Może i tak być mogło. Ja paniom powiem. Ja kłamałem, ile wlezie. Za przeproszeniem człowiek to diabelskie nasienie. Nic ja nie malował w Paryżu, pędzla w rękę nie trzymał, raczej nożyczki, jak Krukowa.

- Niemożliwe! - zareagowała zbyt gwałtownie panna Gabrysia. - Co pan opowiada?!

- Ileż to można dowiedzieć się od samego rana - Hortensja próbowała uśmiechem zgasić nieskrywane wzburzenie starej panny.

- Nożyczki, bo ja wycinał przechodniom sylwetki z czarnego papieru. Tak było. Bóg poskąpił szczęścia. Może tam i jaka midinetka pozowała mi, poddawszy profil dumnym gestem z przedmieścia. - Oddech Ola stawał się w miarę mówienia coraz szybszy. - Żaden ze mnie malarz, nic na tym padole nie stworzyłem. Może jeszcze uda mi się namalować prawdziwe dzieło? Człek zawsze samotny, wątpiący w siły, tym bardziej teraz.

- Człek lubi kręcić, ot co! Polegać na nim trudno - parsknęła panna Gabrysia.

Olo jakby nie słyszał tych przykrych słów, stukał tylko fajką w kryształową popielniczkę. Wydawało się, że popadł w zadumę.

- Któż z nas nie chciałby wydać się lepszym w oczach innych? Zwłaszcza tu, gdzie aż do znudzenia jest się w tym samym towarzystwie, bez przerwy na cenzurowanym? - łagodziła już po raz drugi sytuację Hortensja.

- Mnie trudno mówić. Ja nigdy nie chciał kogo do siebie zmuszać. No i tak wyszło... Pustka. Do grobu też samego spuszcza, samemu się zejdzie, nim kto ciepłą rękę zdąży podać. Ot, durny człowiek... durny-westchnął Aleksander Kucejko.

Te słowa podziały nawet i na pannę Gabrysię. Zapłonowało kłopotliwe milczenie, tylko fajka dalej dźwięczała o kryształ.

*

Popołudnie nie przyniosło odprężenia. Wyczekiwano na próżno jakiegokolwiek wiadomości, która mogłaby rzucić światło na dokonaną w salonie zbrodnię. Eustachy Żelazkiewicz w dalszym ciągu nie pojawił się w jadalni. Pensjonariusze „Idylli” czepiali się kurczowo pani Hortensji czując instynktownie, że ona jedna może w tej sprawie coś wiedzieć. A że salon od dnia gwałtownej śmierci Elizy był raczej omijany, w pokoju pani Wojtasik co i raz zjawiali się nieproszeni goście, aby zasięgnąć

jej światłej rady lub przedstawić własne najdziwaczniejsze hipotezy. Męczyło to Hortensję, lecz żal jej było roztrzęsionych, bezradnych staruszków. Około godziny piątej zdała sobie sprawę, że w jej niewielkim w końcu pokoju znajdują się wszyscy, mówiąc jeden przez drugiego, a w dodatku pomieszczenie jest szare od dymu dobywającego się permanentnie z fajki mistrza Ola, który widać po południu chciał sobie odbić poranną wstrzemięźliwość od palenia.

Oni mnie dziś wykończą - pomyślała - muszę się ich jakoś pozbyć! - W tym momencie w niespodziewany sukurs przyszła pani Jasia. Oznajmiła, że od wczoraj po domu krążą duchy, prawdopodobnie Bellówny i Elizy, i że najlepszym sposobem dowiedzenia się prawdy byłoby zorganizowanie seansu spirytystycznego. Choć zebrani odnosili się na ogół dość sceptycznie do tajemnych praktyk pani Kozicowej, tym razem jej propozycja spotkała się z powszechną aprobatą, podsztytą dreszczykiem emocji. Postanowiono zatem, że całe towarzystwo zbierze się po kolacji w pokoju wdowy po filozofie i postara się wywołać dusze tragicznie zmarłych kobiet. Pani Hortensja skorzystała z okazji, zgłosiła swój akces w proponowanej imprezie, po czym oświadczyła, że przed tak męczącym przedsięwzięciem należy dobrze wypocząć. Zaproponowała więc, aby wszyscy udali się do siebie na sjęstę. Gdy ostatni z pensjonariuszy opuścił jej pokój, westchnęła: - Jeszcze seansu spirytystycznego nam tu brakowało - i szeroko otworzyła okno.

Kolacja została spożyta prędko i w kompletnej ciszy. Wszyscy byli pochłonięci perspektywą czekającego ich wkrótce seansu. Tylko nieświadoma tego Jola Wieczorkowa usiłowała swoim zwykłym szczebiotem przełamać milczenie, ale nikt nie zwracał na nią najmniejszej uwagi.

Pani Jasia zerwała się wcześniej i pobiegła do siebie dla przygotowania pola bitwy. Toteż gdy o ósmej zaczęli się w jej pokoju zjawiać goście, wszystko już było gotowe. Pod portretem Teda Kozicy stał okrągły stolik, wokoło krzesła. Na stoliku pani Jasia położyła karton z wymalowanymi na czerwono literami alfabetu, na nim odwrócony do góry dnem

talerzyk ozdobiony strzałką, również czerwoną. Na komodzie nie opodal stolika paliły się dwie świece. Było to jedyne oświetlenie, reszta pokoju tonęła w mroku. Gospodyni i medium w jednej osobie miała na sobie czarną powłóczystą szatę i krwistoczerwony turban na głowie. Sądząc po nadmiernym nawet jak na nią trzęsieniu głową była wyjątkowo podekscytowana. Doliczywszy się wszystkich wtajemniczonych, usadziła ich na krzesłach i kazała położyć delikatnie dłonie na krawędzi dna talerzyka, tak aby palce sąsiadujących ze sobą osób lekko się dotykały.

Zapadła długa cisza. Nic się nie działo. Wszyscy siedzieli w skupieniu, pełni obawy, przeważnie z przymkniętymi powiekami. Pani Jasia zaczęła szeptem wypowiadać dziwne słowa - niewątpliwie zaklęcia. Jedyne Hortensja, udając również stan na wpół hipnotyczny, bacznie obserwowała obecnych szparkami nie domkniętych oczu. Naprzeciwko siedziała Gabriela, obok Daniel Pierożyński. Uwagę jej zwrócił błogi wyraz, jaki zjawiał się nagle na obliczu panny Krzeczkwskiej. Wzrok pani Wojtasik przesunął się na nieruchomy jak dotąd talerzyk. Prawa ręka Daniela i lewa Gabrysi bynajmniej nie stykały się lekko palcami. Prawa ręka Daniela spoczywała zarazem czule i władczo na drobnej dłoni panny Gabrieli. Hortensja zerknęła kątem oka na siedzącego obok Kucejkę. Niestety, również i Olo nie znajdował się w stanie półsnu. Jego oczy były otwarte, wypełnione błyskami wściekłości. Wydawało się, że za chwilę zerwie się łamiąc zaczarowane koło. Olo opanował jednak przebiegające po twarzy skurcze i pozostał nieruchomy. Przez ten czas Gabrysia stanowczo wysunęła dłoń z uścisku Daniela i wszystko wróciło do porządku. Cała ta scena trwała zaledwie kilka sekund.

W tym momencie talerzyk drgnął. Przesunął się leniwie najpierw w jedną stronę, potem w drugą, przystanął, po czym zaczął kręcić się w kółko. Wszystkie oczy rozwarły się szeroko, pilnie obserwując czerwoną strzałkę i litery.

- Wzywam cię, Elizo, wzywam cię, Natalio! - zawołała piskliwie pani Jasia.

Talerzyk ruszył i strzałka zatrzymała się na literze „n”.

- Wszelki duch Pana Boga chwali, to Natalia - wyszeptała Amelia Krukowa:.

Strzałka jednak wskazała „i” jako drugą literę. Potem było „e”, krótka przerwa i dość szybko nastąpił ciąg dalszy: „nie jestem Natalią” - stwierdził za pomocą talerzyka duch i zamilkł.

- A więc jesteś Elizą? - zapytała z nadzieją w głosie pani Jasia.

Znowu „nie”.

- Kim zatem jesteś?

„Jestem Ted Kozica” - wypisała strzałka.

Pani Jasia krzyknęła radośnie. Skonsternowana Hortensja spojrzała na wiszący naprzeciwko portret. Po raz drugi wydało się jej, że znakomity filozof mrugnął na nią porozumiewawczo.

Tymczasem uszczęśliwiona wdowa zapominając o celu seansu wszczęła dłuższą rozmowę z małżonkiem.

- Ted, jak ci tam jest, czy to prawda, że tam są takie cudne kwiaty?

„Byt-niebyt szczęściem dojmującym naszą jaźń obrasta” - brzmiała odpowiedź.

- Co opowiada? - zaskrzeczała generałowa.

- Ale kwiaty, czy są kwiaty? - upierała się pani Jasia.

Talerzyk chodził żwawo. Strzałka znowu wypisała: -

„Transcendencja kwiecista wdrażyła się w moje «id»”.

Daniel zdenerwował się. - To jest kompletny bełkot - oświadczył. - Niech on nam wreszcie powie, kto zabił Elizę.

Pani Jasia ochłonęła, przy czym poczuła się dotknięta uwagą Pierożyńskiego.

- On jest bardzo mądry, tylko pan go nie rozumie. Ted, kochany, czy ty wiesz, kto zabił Elizę Conti?

Chwila spokoju, po czym talerzyk poruszył się leniwie. W miarę wskazywania liter rozpędzał się. Hortensja Wojtasik odczytywała półgłosem: „wiedza jest cechą psyche, psyche jest cechą somy, a dusza jest naga, naga, naga, naga”...

- Jakby gramofon się zaciął - zamruczała Gabrysia.

„Naga, naga, naga”... - Talerzyk coraz szybciej wypisywał to słowo, kręcił się obłędnie wskazując litery tak, że z trudem nadążały za nim spoczywające na denku palce. W końcu

wypisawszy po raz nie wiadomo który „naga”, uniósł się lekko w powietrze i frunął w kierunku pani Jasi. W tej samej chwili przewrócił się stolik tłukąc boleśnie stopy kilku osób. - Ach! Oj! Moja noga! Światło, proszę zapalić światło! - odezwały się zewsząd głosy. Olo zerwał się i przekreślił wyłącznik. Obecny ukazał się widok szczątków talerzyka rozsypanych na podłodze oraz pani Jasi w przekrzywionym czerwonym turbanie zwisającej bezwładnie na poręczy krzesła. Zemdląca. Generałowa rzuciła się na poszukiwanie soli trzeźwiących. Znalazła wprawdzie jedynie antyreumatyczny wywar z chrzanu, ale i to zdołało przywrócić do życia wdowę po filozofie. Otworzyła swoje piękne oczy i zapytała o Teda.

- Poszedł już sobie porozbijawszy nam uprzednio nogi

- stwierdziła Krukowa.

- Banialuków tylko, panie dziejku, naopowiadał - dodał Olo.

- Wy go nie rozumiecie, on jest taki mądry, taki wielki, a tam są takie cudne kwiaty - podsumowała pani Jasia.

I tak zakończył się niefortunny seans spirytystyczny w „Idylli”. Wszyscy liczyli na ducha-detektywa, ducha -geniusza, który palcem z zaświatów wskaże mordercę. Tymczasem czy to przez nieudolność Jasi, czy też przez dziwaczne wywody filozofa Teda, seans nie przyniósł żadnego odprężenia.

Zagadka z dwoma trupami pozostawała nie rozwiązana, u tu jeszcze na dodatek skandaliczne zachowanie Daniela wzburzyło do reszty Ola, pomieszało szyki pannie Gabrysi. Dzień kończył się zatem dla pensjonariuszy w nastroju minorowym i w napiętej atmosferze. Jedynie generałowa wstała od stolika jakaś daleka od całej tej sprawy, potem jeszcze przez pewien czas kręciła się po korytarzu z koszyczkiem na owoce. Inni z ociąganiem porozchodzili się w końcu do pokoi. Przed drzwiami swego pokoju Krukowa pod błahym pozorem zatrzymała panią Helenę sięgając jednocześnie do koszyczka po wabiące kolorem i zapachem jabłko.

- Można się poczęstować, prawda? - zagadnęła z uśmiechem bazyliuszka.

- Niech się częstuje, nie zaszkodzi, chociaż na noc nie

powinna się najadać.

- Pani Heleno, a widziała pani te uściski, cóż za wstrętny stary satyr. Ohyda, prawdziwa ohyda! Bóg kiedyś wytruje to całe plugastwo!

- I co takiego, takie tam pobzykiwanie trzmiela bez żądła, nie powinno jej to przeszkadzać. Same nie byłyśmy lepsze. Teraz żaden łasuch się nie trafia, więc zaraz zazdrość wszystkie zżera - generałowa spojrzeniem o ostrym kącie przeszyła Krukową.

Krawcowa uznała za stosowne wycofać się ze zdobyczą w dłoni.

*

Tymczasem w salonie wygaszonym ze zbędnego oświetlenia pół siedział, pół leżał wyelegantowany młokos o zblazowanej gębie i przylizanych brylantyną włosach. Patrzył bezmyślnie w mroczny jesienny ogród, gapił się na wąski rogal księżycy, od czasu do czasu rzucając wzrokiem na fosforyzujące wskazówki zegarka. Widać było, że czeka na coś z dużym zniecierpliwieniem pomieszonym z odrazą do tego miejsca.

Gdzieś na parterze skrzypnęły drzwi i kroki zaczęły się zbliżać do centralnego punktu willi między salonem a frontowym wyjściem. Janusz Wróblewski nie zamierzał zachowywać specjalnej ostrożności opuszczając „Idyllę”, a raczej siostrę Danutę. W pewnej chwili złowił kątem oka sylwetkę drugiego mężczyzny. Obaj rozpoznali się natychmiast. Doktor zmienił zamiar i wszedł do salonu.

- Kogo ja widzę, Rajmundek we własnej osobie!

- Odczep się - burknął syn Wieczorkowej.

- Doimy mamuszkę - ciągnął nie zrażony niezbyt serdecznym powitaniem lekarz. - Żal mi jej, zaczęło ubywać klientów do skubania, i to w szybkim tempie...

- Nie wsadzaj nosa do moich spraw. Spływaj!

- Nie miałem pojęcia, że wzrost zgonów jest twoją sprawą.

Rajmund Wieczorek, dotychczas spokojny, zaczął zdradzać oznaki zniecierpliwienia. - Powiedziałem: spływaj! Ile razy mam powtarzać?

Janusz Wróblewski nie ruszał się jednak z miejsca. Stał nad rozwalonym na kanapie młodzieńcem i drwił dalej:

- No co, roztrwonilo się szybko pieniążki krawcowej? Mama musi nowe dać?!

- A tobie niby nie pachniała forsa staruchów?

- Głupiś, mogłem sprzątnąć wszystko pod nosem twojej matki, zanim by ona cokolwiek wywąchała. W każdy piątek podczas wizyt za obiecane im jeszcze roku życia, jeszcze kilku miesięcy, każde z nich oddałoby wszystko, co tylko miało.

- A właśnie - podchwycił skwapliwie Rajmund - dobra doczesne tej z baletu zostały poważnie nadszarpnięte, nawet broszka się nie ostała w całości. I ty niby nic nie wiesz o tym?

- Bzdury pleciesz, szczeniaku. Nie zajmuję się takimi procederami. Wyciąganie ostatnich groszy z bezbronnych starców to rodzinna specjalność Wieczorków.

Wymiana słów nabierała rozpędu, podniesione głosy mężczyzn, wydobywające się początkowo z salonu głuchym dudnieniem, teraz przeszły w pomruk nadchodzącej burzy.

- Moja? Matki? - wrzasnął Rajmund. - Oszalałeś! Trzeba wezwać karetkę z kaftanem bezpieczeństwa. Janusz - tu synalek Wieczorkowej wziął głęboki oddech - radzę po dobroci, ty się od nas odwal! Za takie insynuacje można posiedzieć w ciupie.

- Uważaj, żebyś ty nie posiedział! Bizuteria Bellówny, gotówka Krukowej... macie jeszcze antyki Żelazkiewicza. Już się twoja uroczą mamuska postarała o jego aresztowanie.

- Ty chamie! Zostaw matkę w spokoju! - Rajmund zerwał się z kanapy. - Ona ten pierścionek z czarną perłą dostała, rozumiesz, dostała od tej Natalii, czy jak jej tam było. A ciebie szlag trafia, prowincjonalny konowale, że przegapiłeś pierścioneczek tej starej lafiryndy, dwóch brylantów z broszki ci za mało!

W tej chwili drzwi od pokoju Hortensji uchyliły się na moment, po czym natychmiast się zamknęły. Nikt inny nie miał ochoty wychylać nosa, żeby sprawdzić, co się dzieje. Tymczasem awantura przeszła w szamotaninę. Panowie

wodzili się po dywanie salonu jak bokserzy przed zadaniem pierwszego ciosu. W głosie doktora kpina ustąpiła wściekłości.

- Taki gówniarz, taki lowelas lubelski od siedmiu boleści będzie mnie obrażał! Nikt mnie nie udowodni, że miałem do czynienia z brylantami, pierścieniami... Chciałbyś własne grzechy na mnie zwalić, ty kanalio, żaloszny błaźnie ... Ja jestem uczciwym człowiekiem, a ty co? Cały Lublin nabija się z rozwydrzonego szczeniaka zgrywającego się na światowca.

- W nosie mam cały Lublin! - ryknął Wieczorek.

- Tak, w nosie, rzeczywiście. A kto stawia, kto daje się w karty ogrywać, żeby być dopuszczanym na pokoje różnych burżujów albo żeby wleźć do łóżka jakiejś dziwki znudzonej starym mężem? Może ja?

- Chciałbyś, parafialny doktorku, zazdrość cię zżera. Ty tylko wiejskie dziewczuchy możesz macać, nie licząc tej głupiej Danki.

- No, zapominasz o swojej mamusi - wycedził siny ze złości Wróblewski. - Zamieniłaby się chętnie z Danusią. Guzik zobaczyłbyś wtedy, a nie pierścionek z czarną perłą.

Odgłos lepkiego pacnięcia odbił się od ścian saloniku. Rajmund w obronie matki dał po twarzy Wróblewskiemu. Awantura jednak nie skończyła się na tym. Dopiero teraz Wieczorkowa wypadła ze swego pokoju. Biegając powtarzała: - O Boże, o Boże, szlag mnie trafi w tym domu! Wykończą mnie, wykończą... - Z drugiej strony długiego korytarza pędziła przerażona siostra Danuta. Wszystko wskazywało na koniec świata w momencie zderzenia się dwóch kobiet.

- Won! - ryknęła Wieczorkowa. - Won! Ani chwili dłużej! Zabieraj pan tę piegowatą małpę do siebie. Nie potrzeba mi tutaj ordynarnych rozróbek. Nie płacę za łajdaczenie się pod moim dachem!

- Daj spokój, Janusz, nie trzeba, nie trzeba-schrypniętym głosem wydobywającym się ze ściśniętego gardła powtarzała siostra Danusia, powstrzymując jednocześnie rękę doktora przed uderzeniem Rajmunda. - Jeszcze dziś zabierzemy się stąd, może być pani spokojna. - Zwracając się do lekarza dodała z wyrzutem: - Po co wplątałeś się w tę karczemną

burdę? Chodź! - pociągnęła go do drzwi.

Właściwie tylko takt Danusi był w stanie uśmierzyć całą awanturę. Nawet pani Jola oniemiała, nastawiona widocznie na opór i zaciekłość wyrzucanej pielęgniarki. Zawodowe opanowanie wzięło widać górę nad kipiącą wewnątrz pasją biednej siostry. Dość, że zdołała wyprowadzić doktora.

Wieczorkowa otarła pot z czoła i z niezupełnie jeszcze wygasłą złością powiedziała do syna: - Marsz do auta, już po dziesiątej!

- Przecież tu stoi, nie muszę lecieć na rynek, dość mam tego udawania przed twoimi sklerotykami. Cholera! nawet ty mnie się czepiasz. Wczoraj gliny, dziś ten konował i na domiar złego własna matka mnie wyrzuca - wzruszył nonszalancko ramionami - i w dodatku skąpi - dodał.

- Bezcelny, nic więcej nie dostaniesz! Idź precz!

*

Pani Hortensja, choć ubawiona niewydarzonym seansem, czuła się zmęczona i bardzo pragnęła zostać sama. Toteż odetchnęła z ulgą zamknąwszy za sobą drzwi swego pokoju. Długo jednak spokoju nie zaznała. Awantura, która wybuchła w salonie docierając wyraźnie do jej uszu, kompletnie wytrąciła ją z równowagi. Kilka razy miała nawet ochotę wstać i skarcić obu mało eleganckich panów. Raz nawet uchyliła drzwi. Wycofała się jednak z obawy przed narażeniem się na grubiaństwo młodego Wieczorka, o którym była najgorszego mniemania. Doktora dotychczas tolerowała, teraz jednak zaczęła zmieniać zdanie. Przez udział w nocnej burdzie wystawił sobie w jej oczach nader kiepskie świadectwo.

Wejście na scenę Wieczorkowej oraz nieszczęsnej Danusi, połączone już nie tylko z wrzaskami, ale także z bieganiną po korytarzu i trzaskaniem drzwiami, równało się przejściu tornada przez parter pensjonatu. Pani Wojtasik siedziała w fotelu jak gdyby odrętwiała. Wszystkie niezbyt wyszukane słowa kłótni słyszała wyraźnie, nie potrafiła jednak zrozumieć ich znaczenia. Ocknęła się dopiero w momencie, gdy

uświadomiła sobie, że burza dobiega końca. Ucichły głosy pielęgniarki i lekarza, a matka skarciwszy syna wyrzuciła go chyba z domu, gdyż w pewnym momencie szczęknęły drzwi frontowe. Hortensja spojrzała na zegarek, było piętnaście po dziesiątej. Samochód pod bramą - pomyślała - a kto otworzy mu furtkę? A czort z nim, za bardzo się tu kręci ten hochsztapler. Krzyż pański ma z nim Wieczorkowa. Sama jednak niewiele lepsza, zachowuje się, łagodnie mówiąc, dziwnie. Na przykład ten pierścionek - przypomniała sobie - Rajmund coś pyskował o pierścionku z czarną perłą. Przecież o takim pierścionku, w dodatku wetkniętym na czerwoną różę, mamrotała kiedyś nieboszczka Eliza, występująca w roli I Marii Stuart. A więc, czyj był w końcu ten pierścionek:

I Natalii czy Elizy? Czy w ogóle istniał? A jeśli tak, to czy rzeczywiście znajdował się obecnie w posiadaniu Wieczorkowej? Ile niejasności w tej całej aferze, ile niejasności mimo zrębów opracowanej już teorii. Tej swojej teorii jeszcze dziś rano była Hortensja całkowicie pewna. Teraz zaczęły nachodzić ją pewne wątpliwości.

Sięgnęła do szuflady, w której chowała notatnik. Zapisywała w nim skrupulatnie zarówno fakty, jak i hipotezy. Pochyliła się niziutko nad kartkami pokrytymi zamaszystym pismem i zaczęła notować wydarzenia dzisiejszego i dnia. W momencie kiedy starała się przypomnieć sobie dokładnie słowa ducha filozofa, usłyszała znów hałas: kroki, skrzypnięcie drzwi naprzeciw. - Co za licho? Czy oni Kię już w ogóle dziś nie pokładą? - Przerwała opis seansu spirytystycznego. Zapisała: godz. 9.40, awantura w salonie, godz. 10.15 - ktoś wychodzi frontowymi drzwiami, godz. 10.35 - ktoś wchodzi chyba do salonu. Przerwała na chwilę, zamyśliła się wsłuchana w ciszę nocy. Znów jakby jakiś chrobot. Nastawiła ucha. Schody lekko skrzypiały, po czym pod jej drzwiami coś zaszurało. - Niech to diabli wezmą! Albo masz, Hortensjo, omamy słuchowe, albo duch Koziicy nie opuścił jeszcze „Idylli”. - Zanotowała więc ze złością: „godz. 10.40 - duchy” i dodała natychmiast: „za wcześnie, do dwunastej jeszcze daleko”.

Zatrzasnęła notes i podniosła się z fotela zastanawiając się, czy iść o tak późnej porze do łazienki, czy też umyć się w umywalce. Stojąc tak chwilę niezdecydowana, znów posłyszała człapanie, tym razem wyraźniejsze, wydawało się jej, że na schodach.

Może to jednak nie duchy? Teraz idę się myć, podczas tej awantury nikt nie śmiał nosa wychylić. Oni wszyscy są kompletnie zastraszeni. - Już miała odkręcić kran, kiedy doszedł ją nowy hałas. Znów drzwi naprzeciwko i kroki, znacznie głośniejsze, kierujące się w prawą stronę korytarza. Pani Hortensja zirytowała się na dobre. - Naprawdę, trzeba ich uspokoić, to niemożliwe, co się dziś w tym domu dzieje. Energicznym ruchem zawięła poły szlafroka, mocno związała pleciony, zakończony frędzlami pasek, po czym nie omieszkała przygładzić niesforne jak zwykle włosy. Wysunęła nos na korytarz. Cisza. Rozejrzała się wokoło, choć w ciemności niewiele można było dojrzeć, i powoli zaczęła skradać się w stronę, w której, jak się jej wydawało, niedawno umilkły kroki. Doszła do drzwi łazienki. Sączył się spod nich strumyczek światła. Pani Hortensja bezszelestnie nacisnęła klamkę, lekko uchyliła drzwi i zerknęła przez szparę do środka. Zamigotało jej przed oczami coś błękitnego. - To szlafrok stojącej nieruchomo osoby - dotarło do niej po chwili. Spojrzała niżej i struchlała. Na kamiennej podłodze leżała jakaś postać, dostrzegła jedynie kraciastą bonżurkę. - Olo - przemknęło jej przez myśl. - Boże, znowu... nie ... chyba zemdlął ... prędko, może Wróblewski się na coś przyda. - Jak mogła najszybciej pobiegła do drzwi pokoju pielęgniarstwa. Z całej siły zaczęła stukać. Zupełnie zresztą niepotrzebnie, gdyż drzwi były otwarte. Pani Hortensja trzęsącą się ręką naciosała kontakt. Tandetny, pseudokryształowy kandelabr oświetlił pokój. Był pusty. Nie domknięte szuflady i szafa, rzeczy porozrzucane po wszystkich meblach świadczyły o tym, że jego mieszkanka związała się szybko. - Prawda, przecież Wieczorkowa ich wyrzuciła - przypomniała sobie pani Wojtasik. - Miała kiedy! Pomknęła jak strzała na drugi koniec domu i tym razem już nie stukając wtargnęła do kancelarii wołając: - Pani Jolu,

szybko, Kucejko, coś mu się stało!

Wieczorkowa wychyliła przez drzwi sypialni ozdobioną papilotami głowę. Nic do niej nie docierało. - Szybko, słyszy pani - powtórzyła wzburzona Hortensja, a że właścicielka pensjonatu nadal nie reagowała, złapała ją za przegub ręki i powlokła w stronę łazienki.

- Niechże pani oprzytomnieje - przemawiała do niej po drodze. - Przecież mówię pani, że jest niedobrze z Olem.

Jola, jak gdyby coś pojęła, przyspieszyła kroku. Wpadły razem do łazienki, potrącając w progu jakąś postać. Teraz dopiero pani Hortensja mogła zobaczyć całą scenę. Patrzyła jak skamieniała, nie chcąc dopuścić do świadomości oczywistej prawdy. Olo leżał bokiem na podłodze. Sączący się z głowy strumyczek krwi zdążył już utworzyć małą kałużę. Oczy miał otwarte, puste. Nie żył.

Pani Wojtasik obejrzała się na postać w progu. Zamiast błękitnego miała na sobie szlafrok w smoki.

- Pani Jasiu, co pani tu robi? - krzyknęła.

- Ktoś do drzwi walił... wyskoczyłam. - Główka trzęsła się okropnie, czarne oczy spoglądały błędnie. - On tak śpi, tak spokojnie śpi - mówiła od rzeczy.

Jola Wieczorkowa dopiero teraz wydała z siebie skowyt i rzuciła się do drzwi. Hortensja resztką sił zdobyła się na spokój. - Pani Jolanto - powiedziała dobitnie - natychmiast proszę się opanować! Trzeba zadzwonić do Lublina, na policję. Musi pani to zrobić, musi, rozumie pani! Pani Jasiu, pani też - proszę iść z nami!

Obie kobiety były na tyle bezwolne, że Hortensja bez trudu zaprowadziła je do kancelarii. Po drodze wzięła z gabinetu lekarza środki uspokajające i zaaplikowała solidną porcję wszystkim, nie wyłączając siebie. Po chwili Wieczorkowa podeszła do telefonu i zaczęła wykręcać numer lubelskiej komendy. Odpowiedział jej zaspany męski głos: „jak? co? porucznik Antkowiak? O tej porze? W domu, śpi”. Wieczorkowa zawołała histerycznie: „to niech się zbudzi. W «Idylli», w Malińcach, znów kogoś zamordowano!” Rzuciła słuchawkę i przyjrzała się, nadal niezbyt przytomnie, swoim

towarzyszkom. Hortensja była blada, lecz opanowana. Pani Kozicowa natomiast patrzyła w przestrzeń, wydając się przebywać w zupełnie innym świecie. - Śpi, tak ładnie śpi - mamrotała ciągle.

Hortensja spytała łagodnie: - Pani Jasiu, kiedy pani weszła do łazienki, nikogo tam nie było?

Wdowa po filozofie, dalej patrząc przed siebie, odpowiedziała: - On tam był, spał, tak jak Ted.

- Ale ten szlafrok, ten niebieski szlafrok, który zobaczyłam poprzednio - z trudem mówiła pani Wojtasik - to była przecież panna Gabriela. Nie widziała jej pani?

- Ted tak spał, a dzisiaj do mnie przyszedł...

Zrezygnowana Hortensja zwróciła się do Wieczorkowej:

- Musimy natychmiast pójść do Gabrysi.

Jolanta bez słowa wstała. Podeszły do drzwi obok salonu i zaczęły zrazu delikatnie, potem coraz silniej, dobijać się. Bez najmniejszego rezultatu. Drzwi były zamknięte nu klucz, a z pokoju panny Krzeczkwowskiej nie dobiegał najmniejszy nawet szmer. Chcąc nie chcąc Hortensja z Jolantą musiały powrócić do kancelarii, gdzie Kozicowa opowiadała głośno najdziwniejsze historie.

- To nieprawda - zawołała do wchodzących - że miłość Mickiewicza i Maryli była taka idealna. To był romans! - wykrzyknęła z triumfem. - Oni mieli syna! Spotykali się ukradkiem, w puszczy, na granicy Litwy!

Hortensja zdumiała się: - O czym pani mówi, pani Jasiu? W takiej chwili? I skąd w ogóle pani o tym wie?

- Mówiła mi jedna stuletnia staruszka. Ona już nie żyje. Nikt nie żyje... same duchy ... o, właśnie ... Maryla ...

Gdyby nie człapanie dobywające się jakby z podziemi, żadna z pań nie wzięłaby tego oświadczenia serio. Ale na schodach wiodących do sutereny niewątpliwie ktoś był. Tam też wskazała dłoń pensjonatowego medium. Wieczorkowa jęknęła boleśnie: - Jezus, Maria, morderca!

Hortensja uciszywszy ją ruchem ręki ostrożnie przysunęła się do drzwi i wyjrzała na korytarz. Kilka stopni poniżej poziomu parteru stała w białej koszuli i w takimż peniuarze z mocno

zużytej i wyplamionej koronki generałowa Kaczorowska. Pani Wojtasik wzięła ją za rękę i wprowadziła, a raczej wepchnęła do kancelarii, sama zaś zniknęła w głębi ciemnego korytarza. Zdyszana pani Helena rozejrzała się pytająco po pokoju. Napotkała wrogi wzrok Wieczorkowej. - Co się tu dzieje? - spytała niespokojnie.

- To pani niby nie wie - wybuchnęła Jola - po nocach się pani po domu snuje i pani nie wie?

Generałowa jakby w przecuciu nadchodzącego ciosu osunęła się na krzesło. Przerażona patrzyła na zbulwersowaną Wieczorkową i nieobecną duchem Jasię. - Co, znowu jakiś trup? - zaryzykowała wreszcie pytanie.

- Właśnie, trup, jakby pani zgadła, że trup. Dobrze zresztą pani o tym wie... w łazience... w łazience leży z dziurą w głowie - głos Joli wibrował histerycznie.

- Boże, kto znowu? - wykrztusiła generałowa.

- Olo, Olo Kucejko!

Właścicielka „Idylli” chciała jeszcze coś dodać, ale z jej gardła wydobył się jedynie spazmatyczny szloch.

Generałowa wysuszoną ręką pokrytą płataniną ciemnych żył zakryła oczy, skuliła się w sobie, dziwnie zmalala na raptem olbrzymim krześle i wyrzekła nie patrząc na pozostałe panie. - Olo? Czemu tak szybko?

W tym momencie na progu zjawiała się Hortensja. Wieczorkowa szlochając nadal zaczęła jej dawać ręką znaki.

- Drzwi niech zamknie - wyręczyła ją generałowa. - Ona chce, żeby drzwi zamknęła, w tym domu mordują.

Pani Wojtasik na wszelki wypadek przekreśliła klucz w zamku, po czym podeszła do okna. Przekonawszy się, że jest zamknięte, usiadła na ostatnim wolnym krześle. Milczała chwilę chcąc pozbierać rozbiegane myśli. Generałowa powróciła do swej dramatycznej pozy, nawet Jasia ucichła. W kancelarii rozlegały się jedynie spazmy Wieczorkowej. Hortensja próbowała ją uspokoić. - Pani tylko budzi panikę, pani Jolu. Ta histeria nikomu się na nic nie zda.

- Histeria to choroba ciała astralnego - odezwała się nagle pani Kozicowa.

Na takie dictum Hortensja nie znalazła odpowiedzi. Zrezygnowawszy z wszelkich działań siedziała z opuszczoną głową i wzrokiem wbitym w podłogę. Wieczorkowa po chwili uspokoiła się.

I tak cztery kobiety w nocnej białźnie przetrwały razem długie dwie godziny, milcząc przeważnie, tylko od czasu do czasu obrzucając się nawzajem podejrzliwym spojrzeniem.

*

Po raz trzeci Pińczykowski wraz z Antkowiakiem oraz olbrzymim, za każdym razem większym sztabem ludzi, zaczęli pełnić powinności. Ani bardzo późna pora, ani zmęczenie ciągnącą się sprawą nie ostudziło zapału, z jakim zabrali się do oględzin zwłok malarza, łazienki, do poszukiwań we wszystkich pozostałych pomieszczeniach pensjonatu. Tym razem stróże prawa nie robili z nikim zbyt wielu ceregieli. Oszołomionego i pełnego najgorszych przeczuć Żelazkiewicza przyprowadzono do „Idylli” pozostawiając go na czas dłuższy w buduarce pod nadzorem umundurowanego policjanta. Również Krukowa, Daniel i Pelagia zostali wyciągnięci z pieleszy i umieszczeni w jadalni w towarzystwie innego policjanta. Przez ten czas sędzia wraz z porucznikiem zajęli się paniami siedzącymi w kancelarii. Hortensja Wojtasik z początku milczała przysłuchując się wypowiedziom swoich towarzyszek. Niestety, zarówno Wieczorkowa, jak i pani Jasia mówiły chaotycznie i nieskładnie, jedna przez drugą, raczej o domysłach niż o faktach. Natomiast generałowa nabrała wody w usta. Nie chciała się nawet przyznać, gdzie przebywała w czasie przypuszczalnej śmierci Ola, choć dla wszystkich było oczywiste, że buszowała w kuchni. W końcu zniecierpliwiona Hortensja uznała, że musi włączyć się do rozmowy. Złożyła więc jak zwykle rzeczowe sprawozdanie z wydarzeń tej złowrogiej nocy. Olbrzymie luki w zeznaniach wypełnił nadto jej notes. Minutowy zapis czyniony z wrodzonej pedanterii i po trosze z rozterki stałby się z pewnością nieocenionym materiałem dowodowym, gdyby wiadomo było, kogo dotyczy.

Przybyli jednak nie bardzo mogli się w tym zorientować.

- Szmary, kroki, odgłosy, przemarsze, i co? - zapytał w pewnym momencie porucznik.

- Nie wiem - odpowiedziała niemal przymilnie Hortensja, ale sądzę, że panowie dojdą do tego. Niemniej - ciągnęła po chwili pauzy - zaryzykowałabym przypuszczenie, że o 10.40 pani generałowa przemknęła się do kuchni, a w parę minut później ś.p. Aleksander Kucejko...

- A te ostatnie kroki? - przerwał lekko zirytowany Pińczykowski.

Pani Wojtasik zawahała się. - Chyba panna Gabrysia.

Sędzia aż poderwał się z krzesła. - A gdzie ona w ogóle jest? - ryknął. - Oczywiście, nikt się dotychczas tym nie zainteresował. Na każdym kroku trzeba was pilnować, psiakrew! Natychmiast mi ją przyprowadzić!

Spieszony nagłym wybuchem szefa Antkowiak stuknął obcasami i pędem wybiegł z kancelarii. Ani on jednak, ani przybyły mu z pomocą policjant nie zdołali wywabić starej panny z jej pokoju. W sukurs musiała znowu przyjść Hortensja. Wróciła po chwili do kancelarii prowadząc woskowoźółtą, ledwo trzymającą się na nogach kobietę.

- Zaraz damy pani krople, panno Gabrielo. Proszę powoli wypić to świństwo i usiąść razem z nami. My wszyscy jesteśmy tak samo wstrząśnięci. No, już dobrze, spokój, tylko spokój... - powtarzała pani Wojtasik trzymając drżące ręce byłej guwernantki.

- Wyście go nie znali... ja, to ja jestem winna, nie wierzyłam mu. Przecież jeszcze dziś rano rozmawialiśmy z nim - tu panna Gabriela zwróciła się do Hortensji. - On był biedny, taki samotny jak... jak ja.

- Proszę pani, to było wczoraj, jest już dawno po północy - powiedział sędzia. - O której weszła pani do łazienki?

Gabrysia bezradnie potrząsnęła głową.

- Co pani zobaczyła?

Panna Krzeczowska usiłowała się skupić. - Kiedy tam weszłam - zaczęła jąkać - wydawało mi się, że Olo, że pan Kucejko jeszcze żyje ... ale, ta krew na umywalce ... Zaraz, po co

ja tam poszłam? - Gabrysia chwyciła się za głowę gestem całkowicie desperackim.

- Chciała się pani umyć - odpowiedziała Hortensja, choć Pińczykowski zgromił ją za to wzrokiem. - Wcześniej, przez te awantury, nie miałyśmy okazji.

- Już teraz nie wiem. Co mówiłam? Umyć, tak chciałam się umyć.

Panna Krzeczowska umilkła i nawet zabiegi lekarza sądowego nie przywróciły jej równowagi. Śledczy widząc, że na razie nic więcej nie wyciągnie z osób zgromadzonych w kancelarii, kiwnął na porucznika i razem udali się do łazienki. Ciało biednego malarza było okryte prześcieradłem. Stojący na progu policjant zameldował o dokonaniu zdjęć, a potem bez zainteresowania przyglądał się, jak Pińczykowski uniósł róg materii i medytował nad twarzą zmarłego, nad zdawałoby się głęboką raną na jego skroni. Antkowiak przez ten czas lustrował całe pomieszczenie, na próżno szukając narzędzia zbrodni. Gdzieś tam brakowało białych kafelków, nikiel pozłaził z nasady pryszniców, z kranów przy wannie i klamek do kabin. Całość była jednak bezosobowa i nic nie mówiąca, jak każde miejsce służące higienicznym zabiegom. W polu widzenia nie znajdował się żaden przedmiot, którym mógłby być zadany śmiertelny cios.

Sędzia ze swoim pomocnikiem przeszli do salonu. Antkowiak wezwał policjanta siedzącego w buduaraku z Żelazkiewiczem. Dość roztropny chłopak zdał relację z budzenia ogrodnika zaznaczając zarazem, co wydało mu się dziwne, że mieszkaniec pawilonu długo zwlekał z otwarciem drzwi, chociaż cały czas paliło się u niego światło. - Po wejściu do środka znalazłem zmięty koc na kanapie - zakończył swój meldunek.

Porucznik poprosił pana Eustachego, ten zaś rzucił na wstępie: - Czy mam się, ponownie, pakować?

- Dowie się pan o tym w odpowiednim czasie - odparł sucho sędzia. - Na razie proszę odpowiadać na pytania. Co robił pan ostatniego wieczora?

- Nic.

- Hm. To dużo! Był pan cały czas sam?

- Zupełnie. Przez cały dzień nie wychodziłem z mieszkania.
- Musiał pan jeść - rozzłościł się śledczy.
- Toteż jadłem.
- Co? - tym samym tonem ciągnął Pińczykowski.
- To, co mam u siebie. Chleb, herbatę, suchą kielbasę.
- Nie ciągnęło pana do współtowarzyszki niedoli? - łagodnie indagował porucznik.
- Mam ich wszystkich dosyć.
- Niech pan będzie cierpliwy. Ubywają w zastraszającym tempie.

Oczy Eustachego podniosły się na twarz sędziego, a potem na policjanta. Nie było w tym wzroku strachu, było pytanie o własną przyszłość.

- Kto? - zapytał chrypliwym głosem.
- Aleksander Kucejko - padła zwięzła odpowiedź inspektora.
- Przespałem jego śmierć.
- Skąd jest pan pewny, że pan spał w momencie śmierci malarza?
- Kiedy mnie obudzono, było po północy, a położyłem się o zmroku. Musielibyście bardzo długo jechać z Lublina, gdyby to się stało wcześniej.

- Dobrze pan rozumuje, szkoda, że nie ma świadków - podsumował krótki wywód porucznik.

Na te słowa wsunęła się do salonu Hortensja. Stwierdziwszy, kogo przesłuchują, chciała odejść, lecz starszy rangą zatrzymał ją.

- Pani coś chciała od nas?
- Nie, nie, to nic ważnego.
- W śledztwie nie ma rzeczy nieważnych - skomentował wyświechtanym truizmem porucznik.
- Chciałam tylko powiedzieć, bo sobie właśnie przypomniałam, te drzwi od salonu na taras dziś także nie były zamknięte na klucz. Przynajmniej po śmierci pana Ola, bo wtedy przysłałam tu sprawdzić.

- Bardzo cenna informacja. Gdzieś przecież podzieli się młodzi ludzie. Cała trójka. Siostra Danuta, lekarz i synalek,

ten, jak mu tam, Rajmund. No, ale tego tu nie sprawdzimy - sędzia jakby zapomniał o obecności ogrodnika.

Pani Wojtasik zrobiło się przykro, że jej enuncjacja w pierwszej chwili mogła być wzięta przeciwko Żelazkiewiczowi. Chciała się wycofać, lecz uwaga Pińczykowskiego i skierowała i ją w zupełnie inne rejony. Podchwyciła więc ochoczo temat. - No właśnie, powychodzili nie wiadomo kiedy, wiele przecież odgłosów słyszałam, i nie wiadomo jak...

- A furtki na klucz się nie zamyka? - raczej stwierdził, niż spytał Antkowiak.

- Zamyka się od śmierci Elizy Conti.

- Kto ma te klucze?

- Chyba pani Wieczorkowa, no, i jakieś zapasowe wiszą w szafce koło drzwi wejściowych.

Pińczykowski zwrócił się do swego podwładnego: - Idź, sprawdź, weź ze sobą Wieczorkową.

Antkowiak usłuchał rozkazu. W salonie zapadło milczenie. Pani Hortensja przyjrzała się bacznie Żelazkiewiczowi, lecz ten wyraźnie unikał jej wzroku. - Czy on znowu narozrabiał? - pomyślała. - Doprawdy, nie wiem, właściwie w tej chwili znowu nic nie wiem.

Ciszę przerwał powrót porucznika. - Klucza od furtki koło domku ogrodnika nie ma - stwierdził.

Sędzia spojrzał oskarżycielsko na pana Eustachego: - Oj, panie Żelazkiewicz, zdaje się, że w Lublinie za krótko ze sobą porozmawialiśmy.

Ogrodnik wzruszył ramionami. - Możecie jeszcze raz, mnie tam już wszystko jedno.

- Na razie policjant odprowadzi pana do domu - orzekł Pińczykowski. - Proszę się nie ruszać do naszego ponownego przyjazdu.

Pani Hortensja wycofała się cicho z salonu i weszła do swego pokoju. Czuła się przygnębiona, zdezorientowana i po raz pierwszy stara. Kiedy Pińczykowski z Antkowiakiem zmęczeni do ostatnich granic przeszli do jadalni, aby przesłuchać pozostałą trójkę, Amelia Krukowa, Pelagia i Daniel Pierożyński siedzieli niemi i struchlali jak osaczone

zwierzęta. Ktoś szepnął im po drodze o Olu, ale wiadomość ta była zbyt straszna, aby w nią mogli uwierzyć. Niestety, sędzia ją potwierdził. W odpowiedzi Pelagia podniosła prawdziwy lament. Pozostali milczeli nadal. Krukowa zamknęła oczy, złapała się gwałtownym ruchem za gardło. Daniel rzucał wokoło przerażonymi, rozbieganymi oczami kury. Nie wyciągnęli od nich żadnych zeznań prócz tego, że wszyscy spali i że o niczym nie wiedzieli. - A w ogóle to jest niemożliwe, po prostu nieprawda - upierał się wstrząśnięty Pierożyński.

Sędzia śledczy ze swym cieniem wyszli z jadalni zamykając za sobą drzwi nieco za mocno.

- Zapalisz, synku? Nie, to i dobrze. Będziesz zdrowszy. Słuchaj, albo ja zwariowałem, albo jesteście wpakowani w ślepy zaułek, a ktoś nam gra na nosie. Cholera może wziąć człowieka. Trzy baby defilują w sekundowych odstępach nad świeżym trupem...

- Czekaj - przerwał Pińczykowski - wejdźmy jeszcze do tego salonu. Nie powinni nas słyszeć.

- ...trójka podobno śpi w tym czasie smacznie na piętrze. Ogrodnik drzemie na kanapie w swoim domku - kontynuował Antkowiak - i trójka nam umyka nie wiedzieć kiedy i którędy. Co za fatalne układy!

- Chłopcze, rzeczywiście kręcimy się jak pies za własnym ogonem. Trzeba będzie wysłać kogoś do tej parki. Oni chyba będą za lasem u doktora.

- W Lublinie pchniemy mundurowego na kark panicza Rajmunda, tam też jest wiele do ustalenia. Ja ci powiem, są nikłe szanse, że da nam coś daktyloskopia, może zdjęcia. Powinniśmy się zbierać, tutaj już nic po nas. Kucejkę zabrali przed paroma minutami.

- Powoli. Wiem, że padasz, ja też z nóg lecę, ale musimy zebrać ich jeszcze na moment.

- Dobra, ściągnę wszystkich do jadalni.

- Z wyjątkiem Żelazkiewicza. On już wie, co mam do powiedzenia.

Postacie sunące korytarzem w kierunku jadalni przypominały

bardziej rycerzy krzyżowych powracających z Jerozolimy niż pensjonariuszy „Idylli”. Jeszcze moment i należało się liczyć z atakami spazmów lub poważnymi omdleniami.

- Proszę państwa - zwrócił się do staruszków sędzieja - jesteśmy zmuszeni prosić wszystkich o nieopuszczanie pod żadnym pozorem pensjonatu. Posterunek w Malińcach będzie o tym uprzedzony na wypadek, gdyby komuś przyszło do głowy nagle wyjechać. Dziś jeszcze po południu zjawimy się w „Idylli”, kiedy tylko otrzymamy wyniki sekcji i analiz. To wszystko. Żegnamy państwa.

Pińczykowski polecił stojącemu przy wyjściu policjantowi, aby udał się do pokojówek Rózi i Zuzi, nim wyjdą z domów, i sprawdził ich alibi, na wszelki wypadek także klucze od „Idylli” znajdujące się w ich posiadaniu.

Gdy wyszli przed pensjonat, niebo nad Malińcami szarzało.

Świtało, gdy Hortensja Wojtasik położyła się do łóżka. Myślała, że nie zaśnie. Zapadła jednak w sen ciężki i niespokojny. Dochodziła ósma, kiedy z trudem otworzyła zapuchnięte oczy. Przez szpary między kotarami do pokoju wpadały silne promienie słońca. - Nareszcie pogoda - pomyślała z radością. Uczucie to jednak minęło natychmiast, gdy uzmysłowiła sobie cały koszmar minionej nocy. Leżała dość długo wpatrzona w sufit. Olo Kucejko stał jak żywy przed jej oczami. - Biedny, komu on zawinił? - zapytywała. -I w dodatku, wczoraj jakby coś przeczuwał, był smutny i szczerzy, po raz pierwszy, odkąd go znam, przestał być kabotyńcem. Czy bał się czegoś?

Hortensja z trudem dźwignęła się z łóżka i nałożyła szlafrok. Podeszła do okna i rozsunęła kotary. Spojrzała na marcinki, ostatnie kwiaty jesieni rosnące wzdłuż głównej alei, na bezchmurne niebo. Dzień zapowiadał się przepiękny. Pani Wojtasik nie potrafiła się jednak tym cieszyć. Ogarnął ją stan bliski depresji. Wyrzucała sobie ślepotę, wręcz idiotyzm. Odczuwała coś w rodzaju odpowiedzialności za śmierć malarza. Nie przewidziała jej przecież. Po prostu nie potrafiła przewidzieć. Popuściła wodzy fantazji, wyimaginowała sobie niestworzone historie zamiast baczenie patrzeć na to, co się

wokół niej działało. Cała z ogromnym polotem zbudowana konstrukcja runęła wraz z martwym ciałem nieszczęsnego Ola. Znów zapadła ciemność. Hortensja wróciła do punktu zerowego, w dodatku zwątpiła w celowość dalszych poczynań. - Na detektywa ja się po prostu nie nadaję - stwierdziła. - Nie wiem, co mnie podkusiło, żeby się niezdarnie w cudzych sprawach grzebać. Niezbyt wesołe rozmyślenia pani Wojtasik przerwało pukanie do drzwi. Zuzia, blada i wystraszona, weszła do pokoju ze słowami: - Pani, cóż to za skaranie Boże! Policja mnie o świecie z łóżka wyciągnęła. Odchodzę stąd, ja chcę jeszcze żyć, nie żeby tak jak tamtych... - w tym momencie przypomniawszy sobie o celu swojej wizyty. - Telefon do pani w kancelarii - dokończyła już bardziej profesjonalnym tonem.

Hortensja przyczesła włosy i wyszła. W kancelarii zbolęła Jola przykładając sobie kompres do skroni. Na widok eks-nauczycielki jak gdyby ożywiła się, ale nie odezwała się słowem. Podczas rozmowy telefonicznej patrzyła uporczywie w oblicze Hortensji, nic jednak nie mogła odczytać z jej obojętnej miny. Pani Wojtasik monosylabami odpowiadała na wywody znajdujące się po drugiej stronie drutu rozmówczyni. Raz tylko, nie zmieniając wyrazu twarzy, wypowiedziała kilka słów pochwały: - Trzeba ci przyznać, Wanda, że tym razem spisałaś się naprawdę znakomicie, wcale się tego po tobie nie spodziewałam.

Jola niespokojnie poruszyła się na krześle, jeszcze bardziej nastawiając ucha. Hortensja zamilkła jednak nadal słuchając płynących z daleka słów. W końcu odezwała się nieco mniej sympatycznie: „przyjadę... prawdopodobnie za kilka dni... nie bądź taka wiecznie zatroskana, nic mi nie będzie... nie, teraz nie mogę ci wytłumaczyć... nie nudź, Wanda, jak wrócę... ściskam ciebie i małego... do widzenia”.

Odłożyła słuchawkę i bez pośpiechu skierowała się w stronę drzwi. Wieczorkowa nie wytrzymała nerwowo. - Czy to córka dzwoniła? - spytała.

- Tak, córka. Chce, żebyśmy wróciła już do Warszawy. - To mówiąc wyszła zamykając za sobą drzwi. W korytarzu wyraźnie przyspieszyła kroku, a w swoim pokoju zaczęła

uwijać się wręcz błyskawicznie. Umyła się i ubrała starannie. Po czym zastanowiła się, w jaki sposób wymknąć się niepostrzeżenie. Doszła w końcu do wniosku, że wszyscy dotychczas albo śpią, albo leżą z naciągniętymi ze strachu na głowy kołdrami. Należało uniknąć jedynie krzątających się niechętnie po jadalni pokojówek. Wyszła więc na palcach frontowymi drzwiami i przemknęła się pod osłoną rozłożystych krzaków do wjazdowej bramy. Na szczęście była otwarta. Nikt nie odważył się zamknąć jej po odjeździe policjantów. Świeże i czyste powietrze poranka, a może i wskrzeszona w sercu nadzieja rozwiały jej przygnębienie i osowiałość. Ruszyła krokiem rażnym i ani się spostrzegła, kiedy dotarła do malinieckiego rynku. Spojrzała na rozkład jazdy. Autobus do Lublina odchodził za 35 minut. Dość czasu, aby nareszcie sprawdzić podejrzenia graniczące nieomal z pewnością. Zwróciła się w stronę karczmy rozsiadłej wzdłuż całej prawie pierzei rynku. Albo plac był za mały, albo szynk był zbyt długi, dość że proporcje nie zgadzały się z poczuciem ładu nauczycielki fizyki. Hortensja minęła kolumnienki ganku zapadłe nieco w ziemię, obeszła fronton karczmy i przez bramę sąsiedniej kamieniczki, wyjątkowo zapuszczoną, dotarła na podwórze, pomiędzy chlewy i kurniki. Z sieni chluśnięto w nią kubłem pomyj, ledwo biedaczka zdołała odskoczyć. Zaraz też ruda-głowa z przeraźliwie chudą twarzą i czarnymi oczami wychynęła z sionki.

- Co tu się szuka? - zapytała melodyjnie.

- Karczmarza się szuka - odpowiedziała Hortensja bacznie przeglądając kąty podwórka. Gdzieś pod chlewikiem zauważyła sterty butelek. Rudowłosa tymczasem zniknęła w głębi zgrzybiałej karczmy, a jej miejsce rychło zajęł przygarbiony mężczyzna w chałacie.

- Nu, czemu wielmożna pani od tyłu zachodzi w ten przybytek? W izbach ciepło i można pokrzepić się trochę. Pani chyba nie ma urzędowej, nie daj Bóg, sprawy?

- Urzędowej - powtórzyła machinalnie Hortensja. - Nie, nie mam urzędowej sprawy. Dużo tu macie trunkowych, panie...?

- ...Lejzorek, jak na szyldzie jeszcze za mego papuncia,

Szmula - przedstawił się karczmarz zamiatając w ukłonie połą czarnego chałata. - Wielmożna pani to ma wielkie miasto na twarzy! Ze stolicy? Oj, daleka droga! - uśmiechnął się Lejzorek od pejsa do pejsa.

- Mnie tu sprowadza interes - Hortensja spojrzała chytrze w stronę sieni i ściszyła odruchowo głos.

- Interes! - karczmarz zatarł wysuszone ręce, aż zachręściły stawy. - Proszę do sali za szynkwasem, wielmożna pani tam opowie mi swój interes. - Lejzorek zakręcił się i poczłapał przodem wiodąc za sobą lekko zdeprymowaną Hortensję. W tym małym pochodzie przeszli przez główną salę, gdzie za ladą przy beczce z piwem urzędowała rudowłosa. Klientów nie było jeszcze wielu, wczesna pora tylko śmielszym leniuchom odpowiadała, miejscowi panowie udawali zapracowanych. Karczmarz zatrzymał się przed koślawym stołem, za którym tkwiła opasła kanapa, na niej to usadził maleńką Hortensję. Przez zapyziałe okienko i łączące po nim muchy ledwo prześwitywało słońce. Wyciągnął z kieszeni ni to chustkę, ni to ścierkę strzepując ze stołu okruchy.

Boże - pomyślała pani Wojtasik - pchły zjedzą mnie tutaj doszczętnie. - Lecz dzielnie patrząc na sterczącego przy stole Lejzorka, rozpoczęła dyskretną i powolną indagację. - A pan karczmarz to zna tu pewnie wszystkich?

- U mnie tych, co bywają, to muszę znać, wielmożna pani rozumie, oni chcą kredyt, oni piją, oni jedzą, płacić tylko trudno. Nu, ja muszę ich znać. Wielmożna pani może kieliszek tokaju, mam prawdziwy węgierski, z Pardubic, albo może odrobinę porto, dobrze robi na konkocje przed obiadem.

- Niech będzie ten tokaj z Pardubic - odrzekła poważnie Hortensja i tylko oczy zdradzały niepohamowaną wesołość.

Żyd zniknął w sąsiedniej sali i zaraz też pojawił się z całym roztruchanem lepkiej cieczy. - Będzie smakować!

- Chciałabym się dowiedzieć o takiego wysokiego, żyłastego i wiecznie ponurego - wyrecytowała jednym tchem Hortensja.

- Zdaje się, że często tu zagłąda?

- Żyłasty, ponury... aj, z tą pamięcią kiepsko - Lejzorek tarł

brodę w udanym zakłopotaniu.

- Nosi się na czarno - ponagliła nauczycielka.

- Na czarno! - wykrzyknął radośnie... - a to nie wiem. Może ten mularz?

- Jaki on tam mularz, grabi z rąk nie wypuszcza - zachnęła się Hortensja.

- A, ogrodnik? - karczmarz łypnął okiem w stronę sąsiedniej izby, miarkując, że dalej niepodobna się certować z odpowiedzią. - Mnie się widzi, że on w pensjonacie tymi grabiami obraca. Coś przeskrobał? - oczki Lejzorka zaczęły niespokojnie biegać po kanapie z przylepioną do niej panią Wojtasik.

- Przeskrobał - powtórzyła Hortensja z powątpiewającą intonacją - pociąganie gorzałki to nie grzech, panie Lejzorek. Prawda?

- Święta prawda, toż ja bym nie miał z czego żyć, co by to nie była prawda. Ja mam żonę i córkę. Trzeba ją wydać, a zarobić dziś trudno. Papuncio miał lepiej.

- A ja nie o papuncia się pytam, tylko o tego dryblasza.

- A ja się pytam: gdzie jest moich sześcioro butelek? Bez zastawu dałem, w bramie. Taki interes i to jeszcze przy piątku. Tfu, przed samym szabasem.

- Jak to w bramie? - zapytała zaciekawiona Hortensja.

- Bo on tu nosa w tym ansamblu rzadko pokazywał. Po ciemku przychodził, od podwórka, świeży luft wołał. Żancia mu wynosiła ten butelek, ale zawsze oddawał pusty, a ostatnio dwa razy figę oddał, a nie szkło. W co ja mam innym handlować? Tyle butelek, taki pieniądz!

- I pan jest pewien, że to był piątek?

- Jak swojej kasy. Tamten piątek.

- A w tamtą niedzielę, dwudziestego dziewiątego września też przychodził z koszem?

- Po co kosz? W tamtą niedzielę... oj, to było pańskie wesele. Nie wiem, co go skusiło, siedział przez cały czas w tym miejscu, co i szanowna dziedziczka. On nie pił, on żłopał już od obiadu, jak gąbka. Tak do samego zamknięcia. Były tylko policja zostawiła ten dom w spokoju, i moją Żancję.

Hortensja uznała rozmowę za skończoną, skosztowała na czubek języka tokaju i szybko odstawiła kielich. Wyrzuciła z torebki kilka grosików i przesunęła je w kierunku karczmarza. - A inni z pensjonatu zaglądną do karczmy? - zagadnęła wstając z wyleniającej pluszowej kanapy.

- Ni, takie klijeny, niech Bóg broni! Skąpe, marudne, no, oni do mnie nie zachodzą.

*

Trzeba przyznać, że Ludwik Nycz wybierał zawsze lokale wytworne. Tym razem była to kawiarnia, poziom jej jednak nie odbiegał od restauracji „Europejskiej”, w której przed tygodniem podejmował obiadem panią Hortensję. Na tle ciemnozielonej aksamitnej kotary bujna biała czupryna starszego pana połyskiwała srebrem. Kokieteryjnie spoglądał spod przymrużonych powiek słuchając swej towarzyszki, szczególnie dziś rozmownej.

- Ależ to istne rewelacje, pani Hortensjo - zauważył. - Bellówna ze swoim pierwszym mężem i Eliza Conti na starość pod jednym dachem. Niesłychane! I w dodatku obie kobiety nie żyją. Żelazkiewicz - dodał - oczywiście, Żelazkiewicz. Jak mogłem zapomnieć to nazwisko?

- Mógł pan, mógł pan, panie Ludwiku. W końcu znał go pan pół wieku temu - uspokoiła go pani Wojtasik. - A co do ostatniego męża Natalii, to jest pan całkowicie pewny, że od dawna nie żyje?

- Całkowicie, pani Hortensjo. Ten dyrygent był o wiele starszy od niej, zmarł już wiele lat temu.

- To dobrze. Jeszcze tego brakowało, aby tym mężem okazał się na przykład Daniel Pierożyński - pani Wojtasik roześmiała się serdecznie, a jej rozmówca odsłonił w uwodzicielskim uśmiechu nieskazitelny garnitur równie białych jak czupryna zębów.

Hortensja spojrzała na opróżnione czarki po znakomitym „crème brûlée” oraz na serwis do herbaty malowany na wzór saskiej porcelany w drobne różyczki. Wstała biorąc leżące na sąsiednim krześle rękawiczki i torebkę.

- Niezwykle było mi miło, panie Ludwiku, raz jeszcze spotkać się z panem. Obawiam się jednak, że będę musiała już iść. Dziękuję za wszystkie znakomitości, którymi mnie pan uraczył, oraz za wielce interesujące opowieści z wyższych sfer Lublina.

Nycz zerwał się i w pełnym rewerencji ukłonie pochylił siwą głowę. - Pani pozwoli, że ją odprowadzę, w jakim kierunku szanowna pani zmierza?

- Och, nie, zbyteczny kłopot - zaprotestowała może zbyt gwałtownie Hortensja. - Dam sobie radę sama, przecież Lublin znam, a tu w kawiarni siedzi, jak pan sam twierdzi, pana przyjaciel, który z pewnością liczy na rozmowę. Niech pan mu nie sprawia zawodu, proszę zostać, panie Ludwiku.

- A obieca mi pani, że przed jej wyjazdem spotkamy się raz jeszcze? - zapytał starszy pan przybierając minę Don Juana.

Głupi stary - pomyślała pani Hortensja. Głośno zaś powiedziała: - Ależ oczywiście, drogi panie, pozwolę sobie zatelefonować za parę dni.

- Trzymam za słowo - znów uwodzicielskie zmrużenie oczu - ja z kolei dziękuję za wszystkie krew w żyłach mrozące opowieści z „Idylli”.

Nycz schwycił swoją laseczkę ze srebrną gałką i podążył za panią Wojtasik do szatni. Pomógł jej narzucić szykowny granatowy płaszczyk i raz jeszcze ucałował dłoń starszej pani, po czym Hortensja ruszyła ku wyjściu. Zatrzymała się jednak po kilku krokach, jak gdyby coś sobie przypomniwała.

- Panie Ludwiku...

Nycz w okamgnieniu znalazł się u jej boku.

- ... chciałam pana jeszcze o coś zapytać.

- Słucham szanowną panią.

- Co to jest floret?

Starszy pan podniósł do góry gęste siwe brwi. - Floret? - powtórzył ze zdziwieniem.

- Tak, floret - potwierdziła z całym przekonaniem Hortensja.

- Nie bardzo się na tym znam... biała broń... szermierka... szlachetny sport, olimpijski, uprawiany zarówno przez

mężczyzn, jak i kobiety, w przeciwieństwie do szabli...

- Ale jak to wygląda? - przerwała pani Wojtasik.

Nycz zawahał się przez chwilę: - ... długa, prosta klinga...

- Dziękuję, panie Ludwiku.

- A odkąd to czcigodna pani interesuje się sportem?

- Okazuje się, że wszystkim po trochu należy się interesować a ja, wyznając ze skruczą, w dziedzinie sportu miałam jak dotąd ogromne braki. Moje uszanowanie panu! - i już była na ulicy.

*

Szła szybko uliczkami otoczonymi skromnymi willami i jednopiętrowymi starymi domkami kryjącymi się w cieniu rozłożystych drzew, które mieniły się teraz wszystkimi odcieniami czerwieni i złota. Słońce w triumfalnym wybuchu babiego lata prażyło niemilosiernie, tak jakby na zapas chciało nagrzać ziemię przed czekającymi ją długimi miesiącami śloty, śniegów i mrozów.

- Uff, upał prawie letni - sapnęła pani Hortensja i przystanąła na chwilę. Odetchnęła parę razy głęboko, rozpięła swój zbyt ciepły jak na ten dzień płaszcz. W końcu poprawiła nieco przekrzywiony popielaty kapelusik i ruszyła dalej. Nie zmieniła ostrego tempa marszu, toteż kilka ulic dalej znów nagle przystanąła przed siatką ogradzającą jeden z tych starych, pełnych uroku domków. Oparła głowę o framugę furtki, palcami uchwyciła siatkę ogrodzenia. Stała tak czas jakiś ciężko oddychając, wreszcie spostrzegłszy rączkę dzwonek, pociągnęła ją. W ciszy panującej dookoła donośnie zabrzmiały uderzenia metalowego serduszka. Dzwonek wzywał mieszkańców pustego na pozór domku. Po chwili drzwi frontowe otworzyły się i na mały podparty dwoma kolumnkami ganeczek wybiegła dziewczynka o ciemnoblond, ciasno splecionych warkoczykach i zadartym, upstrzonym piegami nosku. Jednym susem pokonała trzy stopnie oraz krótką ścieżkę prowadzącą do wejścia i stanawszy przed furtką, ciekawie przyjrzała się starszej pani.

- Co się stało? - spytała.

- Słabo mi się zrobiło, drogie dziecko-wyszeptala Hortensja

- to słońce dzisiaj tak pali. Czy mogłabym dostać łyk wody?

Dziewczynka odsunęła skobelek i otworzyła furtkę. W jej monotonnym życiu na spokojnej uliczce zasłabnięcie nieznannej starszej osoby stanowiło z pewnością atrakcję. Toteż prowadząc Hortensję pod rękę w stronę ganku, w dalszym ciągu przyglądała się jej z całą uwagą.

- Wprowadzę panią do środka i zawołam mamusię. Brat jest jeszcze w szkole... On chodzi do gimnazjum - dodała nie bez dumy.

- Dziękuję ci, jesteś dobrym dzieckiem - odpowiedziała omdlewającym głosem dama. - Jak ci na imię?

- Basia. - Wprowadziła Hortensję do saloniku i posadziła na wygodnym fotelu. - Zaraz zawołam mamusię, jest na górze.

Wyfrunęła do przedpokoju, zadarła do góry głowę i krzyknęła: - Mamo, mammo! chodź szybko. Jedna pani zemdlą!

- Jaka pani, jaka pani? - odezwał się z pierwszego piętra ostry kobiecy głos. - Kto zemdlął? Przecież tu nie pogotowie ratunkowe!

- Zejdź, mammo - upierała się Basia - trzeba tej pani dać wodę i kropelki, te, które ty bierzesz.

- Wodę sama podaj, a ja za chwilę zejdem - w głosie dobiegającym z góry zabrzmiała nuta rezygnacji.

Dziewczynka pobiegła do kuchni, nalała ogromną szklanicę wody i wróciwszy do saloniku przytknęła ją gościowi do warg. Pani Hortensja wypila jednym duszkiem, po czym otworzyła torebkę i wyjąwszy batystową chusteczkę obtarła starannie usta.

- No, już mi lepiej, dzięki tobie, Basiu - stwierdziła o wiele mocniejszym głosem. - Widzisz, dziecko, starość nie radość, w moim wieku nie należy widocznie chodzić samotnie w mało znane okolice. Całe szczęście, że zasłabłam przed tak gościnnym domem - zakończyła z pewną, ledwo wyczuwalną ironią.

Nim dziewczynka zdążyła odpowiedzieć, w saloniku zjawiała się jej matka. Była to kobieta około czterdziestki, choć niewątpliwie robiła wszystko, aby uchodzić za wiele młodszą.

Figurę miała zresztą bezsprzecznie dobrą, zwłaszcza nogi, szczególnie wyeksponowane dzięki rażąco krótkiej jak na obowiązującą modę sukni. Marny był zresztą ten przydziewek ze sztucznego jedwabiu pośledniego gatunku w brązowe i ostrozielone koła i zygzaki. Krótko ostrzyżone, nieokreślonej barwy włosy zachodziły falami na dość bystrą choć zdecydowanie pospolitą twarzyczkę. Wlepiwszy w nieproszonego gościa głęboko osadzone, chytne oczka, zapytała: - Co tu się właściwie dzieje? Nic z tego nie rozumiem po prostu.

- Najmocniej przepraszam, że panią niepokoję - odezwała się pani Hortensja, usiłując dźwignąć się z fotela. - Ten spóźniony upał, źle przespana noc, nadwerzęły moje siły, ale czuję się teraz zupełnie dobrze i jeśli to pani przeszkadza, mogę już wyjść. - Nie śpieszyła się jednak zbyt z realizacją tego zamiaru.

- Nie, nie. Niech pani siedzi. Przyniosę krople takie, tego, tak... - zreflektowała się gospodyni. - A ty, wracaj do wypracowania - zwróciła się do córki.

Wyszła zabierając ze sobą ociągającą się Basię, która chętniej pogwarzyłaby z nieznaną panią, niż odrabiała lekcje.

Hortensja dopiero teraz rozejrzała się po niewielkim saloniku. W trzech wąskich oknach wisiały nie pierwszej czystości koronkowe firanki. Pod ścianą, naprzeciwko drzwi stała niebrzydka kanapa, ze środka której wychodziła sprężyna. Wprost fotela zajmowanego przez panią Wojtasik lśnił marmurowy kominek, niewątpliwie prawdziwy, teraz jednak zaopatrzony w elektryczne palenisko.

Stojący pośrodku ładny, choć zniszczony biedermeierowski stół otaczały byle jakie, tandetne krzesła. Pokój tak samo niechlujny, jak i ona - pomyślała Hortensja. W tym momencie zjawiła się gospodyni niosąca nasercowy lek i kieliszek.

- Ja panią rozumiem, świetnie rozumiem - mówiła starannie odmierzając krople. - Ja też nie mam zdrowia. Po prostu ciągle choruję, żołądek... taki tego, nerki... i głowa stale mnie boli... dziś też... muszę zaraz łyknąć kogutka. Proszę - podała kieliszek pani Hortensji, która wypiwszy jego

zawartość skrzywiła się z lekka, znów wytarła usta chusteczką i odezwała się przyjemnym tonem:

- Wdzięczna jestem pani niezmiernie za życzliwość. I współczuję, że w tak młodym wieku cierpi pani na liczne dolegliwości.

- Rzeczywiście, nie jestem jeszcze stara, ale tyle zmartwień, kłopotów... dwoje dzieci na głowie, brak pieniędzy. Bieda, po prostu, po prostu.

Gospodyni rozsiadła się na drugim, nieco mniejszym fotelu i założyła nogę na nogę. Miała na sobie stare, zniszczone pantofle domowe z wypłowiałego czerwonego pluszu. Zapadła chwila ciszy. Przerwała ją Hortensja. Zwróciła się, ciągle najuprzejmiejszym tonem do „młodej” kobiety:

- Nim opuszczę ten gościnny dom, pozwoli pani, że się przedstawię. Nazywam się Hortensja Wojtasik - wyciągnęła dłoń, którą gospodyni chwyciła drobną rączką.

- Sabina Kalinowska - powiedziała wyraźnie.

- Kalinowska? Poznałam tu bardzo miłego pana o tym nazwisku, inżynier, czyżby pani krewny?

Pani Sabina wzruszyła ramionami i przełożyła lewą nogę na prawą. - Miły, to on może dla pani, a dla mnie to zwykły łobuz.

Hortensja wydawała się skonsternowana.

- ...Już pani powiem-ciągnęła nerwowo Kalinowska.- Pani robi wrażenie tam, tego... solidnej osoby. Jerzy Kalinowski był moim mężem.

- Był?

- No, legalnie dalej jest, ale od roku żyjemy w separacji. I tak długo wytrzymałam z tym łajdakiem. - Nerwowo podrapała się w okolice żołądka. Pani Wojtasik zauważyła przy tym, że ma ręce o krótkich palcach, podobne do krecich łapek.

- Co pani mówi? Na mnie zrobił jak najlepsze wrażenie. Kulturalny, wrażliwy i taka go przykreść ostatnio spotkała.

- Niby z tą baletnicą? Dobrze mu tak. Ja mu też jeszcze pokażę, gdzie raki zimują! Wyciągnę wszystko z tego skąpca, do ostatniego grosza!

- Czyżby pan Kalinowski niełożył na panią i dzieci?-

zdziwiła się Hortensja.

- Grosze, grosze, po prostu, po prostu, śmiechu warte, a sam mieszka jak król i wszystko na dziwki wydaje. Obiecywał mi ostatnio większą sumę, ale kto by mu wierzył? Jak sama nie wyrwę mu z gardła, guzik dostanę. Znam jednak sposób na tego drania! Będzie buli! - W małych, chytrych oczkach zapaliły się iskierki, a z kiwającej się nogi spadł na ziemię stary, czerwony kapeć. Pani Sabina pochyliła się, żeby go podnieść, po czym natychmiast usprawiedliwiła ten fakt: - Za duże pantofle, trudno mi obuwić dobrać, mam takie małe stopki.

Ładnie mi małe, co najmniej trzydzieści siedem i pół - skomentowała w myśli Hortensja. - Współczuję pani, jeśli rzeczywiście tak wygląda sytuacja - powiedziała życzliwym tonem, na który zdobywała się teraz z największą trudnością. - Jak to pozory czasem myślą. Wydawałoby się, że przyzwoity człowiek, a zmarnował pani życie. Czy małżeństwo od początku nie układało się dobrze?

Krecie łapki znów podrapały brzuch. - Jest pani człowiekiem starszym, takim, tego, doświadczonego - mówiła szybko i nieskładnie Kalinowska - wie pani, jak to bywa. Przyjechałam do Lublina w 1921 roku, byłam bardzo młodziutką i po prostu, po prostu naiwną dziewczyną, całkiem niewinną, choć powodzenie to ja zawsze miałam. - Kolejne przełożenie nogi na nogę spowodowało tym razem tylko lekkie zachwianie się pantofla - ...Musiałam pójść do pracy, rozumie pani, czasy ciężkie takie, takie powojenne. Ale niech pani nie myśli, ja jestem z bardzo dobrej rodziny, bardzo dobrej.

- Ani przez chwilę nie wątpiłam - zełgała Hortensja Wojtasik.

Pani Kalinowska, do której nie dotarł zjadliwy ton tego zdania, ciągnęła dalej:

- Po prostu, po prostu byłam strasznie samotna, strasznie samotna i dziecinna. Nawinął się, przystojny, trzeba to draniowi przyznać, inżynier z wypchanym portfelem, choć sam w Lublinie dopiero od roku mieszkał, willę już sobie budował. Koniecznie chciał się żenić. Zgodziłam się, nie-

szczęsna !

- Czy miał rodzinę? - zapytała Hortensja.

- Sierota, to jedyna jego zaleta. Raz tylko widziałam ciotkę, co to tego, tam... wychowała. Stara wiedźma.

- I nie była pani szczęśliwa?

Sabina wzruszyła ramionami.

- Eee tam! Skąpy był od początku, chociaż nie tak, jak później. Jeszcze wtedy dziwki tyle od niego nie ciągnęły, takie... tak. Dziecko chciał mieć koniecznie. Namęczyłam się przy porodach. Przy drugim o mało nie umarłam. Od tego czasu niedomagam, po prostu, po prostu ciągle jestem chora. - Jedną łapką znów podrapała żołądek, drugą złapała się za głowę.

- O, właśnie, zapomniałam wziąć kogutka. Tak się męczę! Wszyscy chcą mnie wykończyć, te bachory także!

Boże, co za potwór! - pomyślała ze zgrozą pani Wojtasik. Nie przerywała jednak tyrady Kalinowskiej, która - znalazłszy wreszcie wdzięczną słuchaczkę - wyraźnie chciała się pozwierać, a właściwie jak najwięcej opowiedzieć o sobie.

- Potem to już tylko baby były, zwykle ladacznice, kokoty. Nie miałam co na kark włożyć, a one w popielicach chodziły. Po prostu, po prostu plugastwo! Nie mogłam tak dłużej żyć! Wyprowadziłam się do tej nory!

- Niechże pani nie przesadza. To bardzo miły domek, a pan Kalinowski na pewno płaci komorne, szkołę dzieci, utrzymanie...

- Jeszcze by tego nie płacił! - oburzyła się Sabina. - I pani uważa, że to wystarczy? A to, że ja w byle paletku chodzę i na przyzwoitego lekarza mnie nie stać - tu znowu łapka powędrowała ku skroni - pani uważa, że to w porządku? On sam luksusowym samochodem się rozbija, szampany po najdroższych lokalach pija! Ale to się skończy, już niedługo się skończy! Jego samochód będzie mój i forsa też! - małe oczka zabłyśły groźnie. - Bo ja mam coś tam tego, taki... czego on się przestraszy. Jurek, taki grzeczny, gładki, niby taki wytworny i z dobrej rodziny, a skandalu się boi jak diabeł święconej wody. A ja mani list! List od kochanicy, za który będzie musiał zdrowo zapłacić! - Pani Sabina zorientowała się

widocznie, że zbyt się zagalopowała wobec obcej, bądź co bądź osoby, więc dodała pośpiesznie: - niczego Zresztą nie żądam ponad to, co mi się prawnie należy, mnie i moim dzieciom.

Pani Wojtasik z całej siły walczyła z narastającym gwałtownie wstrętem.

- Co to za list? - wykrztusiła w końcu pytanie.

- Jeśli mnie pani nie zdradzi, po prostu, po prostu przez L taką solidarność kobiecą, pokażę pani. Poszłam do niego niedawno, oczywiście upomnieć się o pieniądze, jakbym dziadówką była, a nie matką jego dzieci, i znalazłam to w jego biurku.

- Nie mam zwyczaju czytania cudzych listów - powiedziała niechętnie Hortensja.

Kalinowska jednak wyraźnie pragnęła pochwalić się zdobyczą mającą stać się narzędziem szantażu. Podeszła do jedynej w pokoju półki i wyjęła zniszczoną książkę. Przerzucała nerwowo jej stronicę. W końcu wyciągnęła złożony w czworo arkusik i podała swojemu gościowi. Pani Hortensja jak gdyby z ociąganiem wzięła w dwa palce wytworny liliowy papier. Rozłożyła go, zmrużyła krótkowzroczne oczy i zaczęła czytać. Tekstu nie było wiele.

„Drogi przyjacielu. Skąd te wszystkie wątpliwości, niedowierzania? Czyżbyś Pan aż tak złe doświadczenia miał z kobietami? Ranisz tym serce tak ci oddane. Musisz Pan okazać więcej zaufania, a oddam Ci wszystko, co posiadam. Jeśli koniecznie żądasz dowodów, zatelefonuję 25- -tego rano, aby ustalić dokładnie czas i miejsce rendezvous. Dobrze byłoby, gdyby spotkanie nasze odbyło się świadków. Ustępuję Panu w tym względzie, choć boli mnie nieufność Pana. Pragnęłabym jednak z całego serca jak najszybciej zamieszkać pod pańskim dachem.

Zawsze oddana przyjaciółka.”

Hortensja w milczeniu oddała arkusik Kalinowskiej. Ta, świdrując starszą panią sprytnymi oczkami, zapytała.

- No, i co pani na to? Nie skandal? Niech skonam, jeśli ta lafirynda u niego zamieszka!

Pani Wojtasik ledwo powstrzymała odruch zniecierpliwienia. Nie była przyzwyczajona do tego rodzaju słownictwa. Podniosła jedynie palec w górę i powiedziała.

- Jeśli pani opiera perspektywę przyszłego dobrobytu na tym oto świstku papieru, obawiam się, że może się pani dotkliwie rozczarować. Zbyt nikły do dowód zdrady małżeńskiej.

- Jak to? - krzyknęła Sabina - przecież w oczy się rzuca, że to jego kochanica, i z jakimi jeszcze fumami! Pcha się do jego willi, a w dodatku obiecuje takie... tego... tam..., że odda mu wszystko, co posiada. A taka, niby co może posiadać oprócz jednej rzeczy? - zarechotała złośliwie i sprośnie, przyprowadzając Hortensję o uczucie mdłości. - Myli się pani. Jurek się wystraszy, bo to zwykły tchórz, żeby tam, tego... zdechł!

Ruchem ręki pani Wojtasik wstrzymała dalszy potok wymowy. - Najwyższa pora, abym wyszła. Już i tak zbyt dużo czasu pani zabrałam.

Kalinowska spojrzawszy na zegarek, cisnęła list na stół i wołając - późno już, rzeczywiście późno - wybiegła pędem z saloniku. W przedpokoju dodała: - Niech pani jeszcze chwilę poczeka. Przebiorę się i wyjdziemy razem.

Głęboko zdegustowana Hortensja podniosła się z fotela i obeszła dookoła niezbyt duży pokój, przyglądając się różnym dziwnym, jak gdyby przypadkowo zebranych przedmiotom: dwie ładne ceramiki ludowe, zapewne ze zbiorów Kalinowskiego, pseudochiński smok z obtłuczonym ogonem, lampa porcelanowa, której podstawę stanowił czarno-biały Arlekin obejmujący odzianą w różowi| sukienkę Colombine. Istny śmietnik - zawyrokowała Przechodząc koło stołu raz jeszcze wzięła do ręki liliowy arkusik papieru. Przyniosła go do oczu i badała przez chwilę staranne niewątpliwie kobiece pismo. - Nie ma daty - mruknęła pod nosem. W chwilę później zjawiała si<; Sabina Kalinowska. Tandetną sukienkę zamieniła na nic mniej tandetny gabardynowy kostium koloru tabaczkowego. Za to wokół szyi przerzuciła autentycznego rudego lisa, który gryząc własny ogon jakoś dziwnie patrzył na panią

Wojtasik pustymi, szklanymi oczami. Dodatki do tego niezbyt wyrafinowanego stroju były białe: nowe białe pantofle, biała torebka, białe rękawiczki, a nawet biały kapelusik ze sporym rondem, z którego zwieszała się tabaczkowa woalka upstrzona białymi kropkami. Kalinowska, widać zadowolona ze swego stroju, odsłaniała w szerokim uśmiechu trochę wystające zęby tudzież całe dziąsła.

- Basiu! - zawołała - posprzątaj, nim wrócę! - Po czym dodała wyjaśnienie: - Ta mała taka pruderyjna. Całymi dniami sprząta!

- Chodźmy! - rzuciła komendę pani Wojtasik ruszając ku wyjściu.

- Tak, tak, koniecznie, już późno. Umówiłam się z koleżanką.

- Myślałam, że z jakimś sympatycznym panem.

- O, co to, to nie! Pewno, że miałabym niejednego kandydata - mówiła inżynierowa, przepuszczając swego gościa przez furtkę - zawsze za mną latali, ale ja nie jestem Jerzy Kalinowski, nie szlajam się po mieście, nie kompromituję własnych dzieci.

Ile czasu jeszcze będę musiała wysłuchiwać ordynarnego gadania najnikczemniejszej baby, jaką udało mi się w życiu spotkać? - pomyślała z trwogą Hortensja Wojtasik. Okazało się, że długo. Kalinowska, mimo zdecydowanych protestów starszej pani uparła się, że ją odprowadzi do samego dworca autobusowego. Tam dopiero nastąpiło pożegnanie jak też końcowa wymiana uprzejmości, nieco zresztą drętwych ze strony bardzo wyczerpanej tym spotkaniem Hortensji.

Sabina usadziła panią Wojtasik na ławeczce, sprawdziła, że autobus do Maliniec odchodzi za 15 minut, raz jeszcze odsłoniła dziąsła w uśmiechu - i odeszła kołysząc biodrami.

Hortensja upewniwszy się, że inżynierowa zniknęła za rogiem, z pewnym trudem dźwignęła się z ławeczki, za to krok, którym podążyła w kierunku śródmieścia był już zdecydowanie dziarski.

Choć zapadał wczesny zmierzch, było w dalszym ciągu gorąco, powietrze przypominało bardziej łaźnię rzymską niż październikowy wieczór. Drobną postać stanęła bezradnie przed zaryglowaną furtką pensjonatu. Zadzwoiła raz i drugi. Cisza. Przycisnęła palcem elektryczny dzwonek i nie odrywała go, dopóki nie usłyszała stuku obcasów po chodniku i zanim nie zobaczyła zbliżającej się z miną bazyliuszka właścicielki „Idylli”. Joli Wieczorkowej nawet nie chciało się zapalić światła przy drzwiach wejściowych, rozwarła natomiast szeroko buzię na i tak już wystraszoną Hortensję.

- Cóż właściwie pani sobie myśli? Jest pani ponad to, co się tutaj dzieje, czy co u licha? - nerwowe ruchy wprawiły w pobrzękiwanie klucze jak też całe złoto na rękach.

- Tak mnie się wita? - nauczycielka fizyki próbowała obrócić w żart swoje późne przybycie. - Czy ja jestem córką marnotrawną?

- Był zakaz wychodzenia? Tak, czy nie? Mam dość kłopotów z policją, proszę mi ich więcej nie przysparzać!

- Chyba nic złego nie zaszło podczas mojej nieobecności? Pani wymówki są nie na miejscu - pani Wojtasik widać odechciało się żartów z grubiańską właścicielką. Gdy weszły do domu, Hortensja chciała jak najszybciej schronić się u siebie. Nowy atak Wieczorkowej nastąpił jednak pod samymi drzwiami do jej pokoju.

- Ten Pińczykowski też nie ma za grosz odpowiedzialności. Widzi, że ja męcę się tutaj z tymi staruchami, wśród których w dodatku znajduje się morderca, a on nie daje znaku. Żadnego, przez cały dzień głuchy telefon. Miał zjawić się z tym fircykiem, tym Antkowiakiem, i nic. Nie, ja wniosę skargę na takie działanie, na tę opieszałość. Nie mogę czekać, aż pomordują wszystkich i mnie na ostatku.

- Dlaczego mieliby zamordować panią na ostatku? - spróbowała przerwać ten upust złego humoru Hortensja. - Śmierć nie wybiera.

- Wszystko jedno, już nie ma o czym mówić. Nie wiadomo, co o tym sądzić.

- Proponuję, aby się pani położyła. Nie trzeba popadać w

panikę. Skoro nie pojawili się dzisiaj, pojawią się jutro albo zatelefonują - powiedziała pojednawczo Hortensja naciskając klamkę.

Czwartek, dziesiątego października, był kolejnym dniem babiego lata, a w „Idylli” kolejnym dniem szamotania się starców ze sobą i ze śmiercią, która wyraźnie rozgościła się w tym domu na dłuższy popas. Mimo ciepła wznoszącego się nad tarasem pensjonatu dwie postacie siedzące przed domem opatulone były w swetry.

- Bo mnie się zdaje, że ona musi coś przed nami ukrywać.

- Pewno załatwiała sprawy wyjazdowe, przecież musi kupić bilety. Córka dzwoniła z Warszawy, do Wandeczki pora wracać.

- I tak przez cały dzień kupowała te bilety. Eee, kto uwierzy? Teraz każdy stara się głowę z tego wynieść. Ona ma dokąd! A powiem pani jeszcze coś. Daniel się wygadał, że widział, jak Hortensja wymykała się rano z domu. Ta Bellówna też się tak wymykała. No, i leży w Malińcach - pokiwała głową Krukowa.

- Właśnie tu idzie.

- Kto? Ona?

- Nie. Daniel. Możemy go zapytać, dlaczego jej nie zatrzymał - zaproponowała generałowa chowając szyję w ramiona w tym momencie, kiedy Pierożyński wchodził na schodki tarasu.

- Hm, a jak tam się spało? - zagadnęła z waszecia krawcowa.

- Sen? Zapomniałem, co to sen. Dostałem kiedyś pigułki od Wróblewskiego na uspokojenie, zjadłem trzy na noc. .. i nic. Koszmary się po łbie przelewają, panie drogi, gdzież o spaniu mówić.

- Niech siada z nami, póki słońca nam jeszcze nie zabrano.

- Przy śniadaniu pana nie widziałam. To pan też biega gdzieś po okolicy, jak nasza nauczycielka? - ciągnęła do swego Krukowa.

- Po co nam biegać, mnie tu musi być dobrze.

- Syn nie chce zabrać do siebie?

- Mogłaby się nie wścibiać w te sprawy - sarknęła Kaczorowska.

- Taki syn, jakie i córki - odrzekł smutnie Daniel.

- Ta Wojtasik kręci się koło wyjazdu. Pewnie zemknie pod nosem temu policmajstrowi - nie dawała za wygraną pani Amelia. - A pan jej w tym pomoże.

- Co ja mam z nią wspólnego?

- Widział ją pan, jak wychodziła wczoraj, i nie zatrzymał jej? Dziwne, bardzo dziwne.

- Przecież nie jest śledczym ani tym... no, tym Antkowiakiem.

- Nawet w głowie mi nie powstało, żebym miał zatrzymać.

- Przepis, to jest przepis, a zakaz to zakaz. Inaczej by świat wyglądał, gdybyśmy wszyscy przestrzegali praw boskich. Złodzieje bandycie lba nie urwą, tylko się pleni to łajdactwo. W niedziele po karczmach przesiadują zamiast na elegantkę pójść, Boga prosić o zmiłowanie.

- Ta policja jakaś strasznie nieporadna - przerwała generałowa pseudofilozoficzne wywody rodem z lubelskiego salonu mód.

- Oni pewnie też mają lepszego świeka. Dzwonili teraz dopiero co do Wieczorkowej. Ona pobladła, mamrotała coś o Rajmundzie...

- A to ładna historia. Tu powinni siedzieć, tu, tu, gdzie całe zło - Krukowa waliła palcem o blat ogrodowego stolika.

- Niech nie przerywa, może wreszcie czegoś się dowiemy!

- Szybko z nią skończyli pogawędkę. Nie mogłem dobrze słyszeć, tyle co przez otwarte okno dochodziło z kancelarii. Zaraz potem poprosili, nie mam pojęcia, kto był przy telefonie, Pińczykowski czy Antkowiak, panią Wojtasik. Ona nic prawie nie mówiła, potakiwała, słuchała i znów potakiwała. Oni chyba ją też mają na oku, bo ta rozmowa wyglądała na jakieś przesłuchanie.

- Gorzej, że służące nie chcą dłużej usługiwać w „Idylli” - wtrąciła bez sensu zgłodniała już generałowa.

- Popatrzcie panie w stronę pawilonu. Żelazkiewicz chciał wychynąć ze swej nory i zaraz się cofnął, jak nas zobaczył.

- Tak samo jak ta Gabrysia. Też siedzi u siebie bez przerwy od śmierci Kucejki. A gdzie ma zresztą siedzieć, jak sobie

ubzduriała, że go zabiła - dodała po namyśle generałowa.

Godziny wlokły się niemiłosiernie. Pogoda trwała w swej niezmienności. Słońce dawało się ciągle we znaki, choć dawno minęło południe. Wyludnił się taras, a po alejkach krążył z grabiami Eustachy.

Po telefonie z Lublina Hortensja była wyraźnie zdenerwowana, co oczywiście nie uszło uwagi pozostałych przy życiu mieszkańców „Idylli”. Nie mogła znaleźć miejsca, próbowała czytać, potem pomaszzerowała do szosy, wróciła i ponownie zniknęła u siebie. Naszły ją uporcezywe myśli o biżuterii, którą tak hojnie szafowali dwaj panowie podczas, kłótni. Długo zastanawiała się, kto mógłby rzucić światło na sprawę pierścionka. Wreszcie doszła do wniosku, że biżuterią ze względu na wyrób oraz ewentualną moc magiczną najbardziej interesowała się pani Jasia. Udała się więc po obiedzie do „warsztatu czarnoksiężniczki” i spytała spłoszonej, już całej trzęsącej się istoty, czy nie widziała tu u kogoś pierścionka z czarną perłą oprawną w romb z czarnej emalii. O dziwo, wdowa po znakomitym filozofie odpowiedziała bez wahania.

- Widziałam u Bellówny. Z początku, jak tu przyjechała. Potem już go nie nosiła. Powinna go była wyrzucić, ale widocznie tego nie zrobiła. Dlatego zginęła gwałtowną śmiercią. Czarna perła to straszne nieszczęście!

Odpowiedź ta tylko częściowo zadowoliła Hortensję. A więc pierścionek istniał. Był własnością Bellówny, a teraz ma go prawdopodobnie Wieczorkowa. Ale co w tym wszystkim robiła Eliza Conti?

Nazajutrz wczesnym rankiem pensjonariusze widzieli Hortensję ponownie opuszczającą bramę posesji. Tym razem także nikt nie śmiał jej zatrzymać. Zresztą pani Wojtasik udała się jedynie na pocztę, aby zadzwonić do Lublina. Widocznie nie chciała lub nie mogła uczynić tego w pensjonacie. Rozterki przeżywane przez nią wzmagaly się w miarę upływu dnia. Kolację zjadła w milczeniu, choć generałowa, która przeniosła się po śmierci Elizy do jej stolika, zagadywała ją wielokrotnie. Natychmiast po posiłku Hortensja wróciła do swojego pokoju, gdzie - dla uspokojenia rozstrojonych nerwów - zabrała się

znowu do pasjansów. Zaczęła tym razem od tak zwanej „zakonnicy”. Starła się koncentrować na kartach, cóż, kiedy myśl błądziła gdzie indziej. Ogarnęły ją nowe obawy. Czy aby pomysł, który miał przynieść ostateczne dowody, zrealizuje się? A jeśli się nie zjawi? - szepnęła z niepokojem.

W tym momencie Hortensja zauważyła, że zamiast kłaść na siebie, z góry na dół, karty tego samego koloru, od dawna układa czarne na czerwone, jak to się robi w jej ulubionym pasjansie królewskim. Zirytowała się. -Zwykły strach cię oblatuje, puchu marny - pomyślała ze złością - jak się natychmiast nie weźmiesz w garść, to z pewnością nic z tego nie będzie!

Spojrzała na zegarek. Była godzina dziewiąta piętnaście. Energicznym ruchem zgarnęła karty i zsunęła je do szuflady. Po czym wstała i udała się do kancelarii. Wieczorkowa siedziała w towarzystwie Amelii Krukowej, z którą ostatnio się zbliżyła.

- Pani Jolu - odezwała się Hortensja - nie zapłaciłam pani jeszcze za cały swój pobyt w „Idylli”. Chciałabym uregulować pozostałą należność wliczając dzień dzisiejszy.

Wieczorkowa podniosła ze zdziwieniem brwi, ale widocznie ze względu na obecność osoby trzeciej o nic nie zapytała. Przyjęła pieniądze, uśmiechnęła się kwaśno do „pani profesor” i kiwnęła jej głową na dobranoc.

Hortensja, wróciwszy do swojego apartamentu, bez pośpiechu wyciągnęła z szafy jeden z licznych sakwojaży, zapakowała do niego starannie złożoną jerseyową suknię, granatowy płaszcz, a na wierzchu umieściła popielaty, filcowy kapelusz. Narzuciła na siebie gruby sweter z góralskiej wełny i zawiązała pod brodę chustkę. Zerknęła w lustro i skrzywiła się z niesmakiem: - Wyglądasz jak gaździna

- pomyślała. Nie ma jednak rady, pora iść. - Wymknęła się cicho z pokoju, z szafki w hallu wyjęła klucz od drzwi wejściowych oraz klucz od furtki. Po czym wyszła zanurzając się w ciemność.

*

Gwiazdy sypnęły obficie w tę jedną z ostatnich pogodnych

jesiennych nocy. Sierp księżycy spacerował gdzieś za lasami malinieckimi. Ponad kilometr od pensjonatu tkwiła przy szosie samotna postać ledwo widoczna na tle zarośli dochodzących tu aż spod ściany drzew. W gęstwinie, za drobną sylwetką od czasu do czasu słychać było całą leśną gadaninę, jakieś trzaski gałązek, jakieś pohukiwania, kwilenia, ostrożne stąpania, czasem krótkie sapnięcia. Ucho nawykłe do ciszy po kwadransie oczekiwania mogło z łatwością wyłowić narastający szum motoru dobiegający od strony Pustowoli. Warkot potężniał z każdą minutą i wkrótce można już było dojrzeć na horyzoncie dwa reflektory zbliżającego się auta. Jeszcze parę chwil upłynęło, nim duży Chevrolet zaczął wyraźnie zwalniać. Postać przy szosie nie poruszyła się jednak. Czarna karoseria zrównała się na mgnienie oka z drobną figurką - i w tym samym momencie z otwartego okna wozu gruchnęły dwa szybko po sobie następujące strzały. Chevrolet szarpnął do przodu i wzrastający ryk silnika uniósł czarne pudło wzbijające za sobą kurz z pobocza szosy.

Zielone, słabe światło zegarów padało na zaciętą twarz szofera pochylonego nad kierownicą, jakby całym sobą pragnął dopomóc autu w szybszym odjeździe z miejsca zbrodni. Chevrolet potoczył się jeszcze paręset metrów w kierunku pensjonatu i zaczął nagle zwalniać. Prawe koła zachręściły po żwirze i samochód zatrzymał się. Mężczyzna oparł czoło o kierownicę, odetchnął nad słuchując jednocześnie, co dzieje się za oknami. Ciszę nocy przerywały jedynie ujadania wiejskich psów. Szofer spojrzął do tyłu przez okno chcąc dojrzeć przejechaną w ciemności trasę. Na szosie nie było żywej duszy, na co zresztą on sam liczył najbardziej. Przeczekał ponad dziesięć minut i z wolna ruszył na wstecznym biegu. Motor pracował cicho, a limuzyna toczyła się po poboczu do miejsca, gdzie padły strzały. W przydrożnym rowie, w krzakach i po obu stronach w lesie nic się nie działo. Mężczyzna wyskoczył z auta, przesadził jednym skokiem asfalt i znalazł się w rowie nad leżącą kobietą. Siwe jej włosy odcinały się od ciemnej darni rowu, kapelusz potoczył się opodal i leżąc denkiem do góry

niemo wzywał pomocy od gwiazd. Drżące ręce zaczęły przeszukiwać torebkę, potem kieszenie granatowego płaszcza. W sukni była tylko mała kieszonka na chusteczkę i to pusta.

Chciał zerwać się z przekleństwem, lecz w tym momencie kilkanaście osób wyskoczyło z zarośli. Błysnął jeszcze raz pistolet i jeszcze raz padł strzał, prosto w niebo. Kocim susem Antkowiak dopadł mężczyznę i podbił jego rękę w górę. Morderca nie zdążył odebrać sobie życia. Zakotłowało się. Spod nóg poleciały gałązki i kamyki żwiru. W końcu trzech policjantów wykręciło do tyłu ręce przestępcy. Zabrzączały kajdanki. Wówczas na pierwszy plan wysunęła się Hortensja Wojtasik. W grubym swetrze i chuście na głowie wyglądała trochę żałośnie i rozbrajająco. Dzielna jednak do końca, stawiała czoła mordercy. Wysuwając w jego kierunku drżący nieco palec rzekła: - Tym razem pan spudłował, panie Schauberg!

*

Dzień jedenastego października, jak gdyby na zamówienie opromieniony nieskazitelnym blaskiem słońca, stał się w „Idylli”, w Malińcach, a nawet w Lublinie, dniem triumfu pani Hortensji Wojtasik, skromnej emerytowanej nauczycielki fizyki. Dzięki jej bystrości został wreszcie ujęty groźny morderca. W godzinach porannych bohaterka dnia nie była jednak świadoma splendorów, jakie na nią spadły. Minęło napięcie ostatnich dwóch tygodni, groza i strach poprzedniego wieczora. Przyszło całkowite odprężenie nerwowe, a z nim zmęczenie. Hortensja po prostu spała kamiennym snem do południa. Uszczuplone grono mieszkańców pensjonatu kręciło się niespokojnie koło drzwi jej pokoju. Ale chociaż wszystkich rozpierała ciekawość, nikt nie ośmielił się zamącić odpoczynku pani Wojtasik. Dopiero gdy z radia w salonie zabrzmiał hejnał mariacki, Hortensja otworzyła najpierw jedno, potem drugie oko. Z trudem, powoli, poczęła sobie uświadamiać bieg wypadków. - A więc, już po wszystkim - pomyślała z pewną dozą żalu. - Czas wracać do domu, zająć się codziennymi sprawami. - Ze

zdziwieniem skonstatowała, że jest już dwunasta. Dość szybko więc zerwała się i dokonała toaletowych ablucji. Ubrana, uczesana, zasiadła w fotelu, bojąc się trochę wytknąć nosa na świat, aby nie wpaść od razu w ramiona podekscytowanych i ciekawych do ostatnich granic staruszków. Zastanawiała się właśnie, jak całą sprawę rozegrać i kiedy wyjechać, gdy posłyszała leciutkie pukanie do drzwi.

- Proszę - powiedziała niezbyt entuzjastycznie, przypominając sobie, że w dzień jej przyjazdu tak samo zapukał do jej drzwi świętej pamięci Aleksander Kucejko.

Do pokoju nie wszedł jednak duch mistrza palety, lecz całkiem żywy choć skruszony i pokorny Eustachy Żelazkiewicz.

- Jestem oczyszczony z podejrzeń, pani Hortensjo - powiedział. - Wszystko dzięki pani. Chciałem właśnie - tu skłonił się niezgrabnie - podziękować, ale... nie wiem jak.

- Niech pan usiądzie, panie Eustachy. Nie moja w tym, zasługa. Zwolniono pana i tak, nim cokolwiek zdziałalam. Po prostu nie było dowodów. A czemuż to pan się nie pokazywał od powrotu?

- Sprawa nie wyjaśniona, wstyd... z więzienia... jak przestępca.

Ogrodnik usiadł nieśmiało na taborecie. Nie bardzo wiedział, co zrobić ze zbyt długimi nogami. Położył dłonie na kolanach i utkwiał w nich wzrok. Milczał. Widać było, że chciał coś powiedzieć, lecz trudno mu było zacząć. Pani Wojtasik pomyślała, że ostatnie przejścia zmieniły Żelazkiewicza, jak gdyby złagodniał i posmutniał. Odczuła coś w rodzaju litości.

- Cieszę się, że jest pan zdrow i cały, panie Eustachy. Zdaję sobie sprawę, że nie były to dla pana przyjemne przeżycia - odezwała się serdecznie. - Trochę jest pan sobie jednak sam winien.

- Właśnie - odpowiedział nie podnosząc wzroku. - Człowiek marny, grzeszny.

- No cóż, nie miał pan lekkiego życia i to pana częściowo usprawiedliwia, ale i charakter słaby. Tak popijać!

Błada twarz Żelazkiewicza zaróżowiła się lekko. - To od tamtego czasu, jak mnie rzuciła - wyznał cicho. - Nie mogłem

dać sobie rady ze sobą. A potem człowiek się przyzwyczaja...

- ... To niech się człowiek odzwyczai - przerwała Hortensja.

- Tak, będę się starał... Ale skąd pani o tej mojej słabości wiedziała?

- Drogi panie Eustachy. Po pierwsze, to się panu ręce trzęsą, a po drugie, ja nie jestem z aparatu ścigania, ja umiem patrzeć. Kiedy byłam z nimi u pana, od razu zauważyłam stos pustych butelek w składziku. Potem sprawdziłam u karczmarza.

- I powiedziała pani o tym śledczemu?

- Oczywiście. Wtedy, kiedy po śmierci Ola wymknęłam się do Lublina. Przecież do tej pory był pan podejrzany, a alibi leżało w zasięgu ręki. Czemu, na miłość boską, wolał pan zostać oskarżony o dwa morderstwa, niż przyznać się do tego, że chodzi pan wieczorami do karczmy? Przecież to absurd!

- Pewnie pani ma rację, ale tak bardzo bałam się, że pani Wieczorkowa, jak się dowie, to mnie wyrzuci. Dokąd ja bym wtedy poszedł?

- Ja rozumiem, że bał się pan utraty niezłej w końcu synekury. Ale żeby wybrać stryczek?!

- Wie pani, nie bardzo wiedziałem, co robię. Taki byłem po tych ostatnich wypadkach przygnębiony. Jeszcze więcej piłem. Wtedy kiedy zasztyletowano nieszczęsną Elizę, też byłem zamroczony... Widziałem tamtego w ogrodzie i gonilem go, to prawda, ale nogi mi się poplątały i upadłem. On uciekł. Myślałem, że to doktor - po raz pierwszy spojrzał w twarz Hortensji, która dopiero teraz zauważyła, że Żelazkiewicz ma wyraziste jasne oczy. - Mógł być przystojnym chłopcem - pomyślała - kochała go kiedyś piękna Natalia. Oj, życie, życie!

- Panie Eustachy - odezwała się ciepło - tamto już wszystko przeszło, a życie trzeba dalej. Niech pan zerwie ze swoim nałogiem, poświęci się ulubionym roślinom, a wszystko będzie dobrze.

Żelazkiewicz westchnął i znów spojrzał na Hortensję.

- Wie pani co, chciałem jeszcze coś powiedzieć... żeby pani nie myślała... - zaczął się.

- Co pan chciał powiedzieć?

- Że ja tu Natalię nie z czystej złośliwości ani nie z chciwości sprowadziłem. Choć, może troszkę... tak, pod jeden dach z Eliza... Widzi pani, ja do niej ciężki żal przez całe życie w sercu nosiłem. Może i trochę chciałem dokuczyć... ale żadnych jej pieniędzy nie chciałem. Wiedziałem zresztą, że nic nie ma, z jej lekkomyślnością! Tyle, że Wieczorkowej mówiłem, że bogata, bo szukała kogoś zamożnego na miejsce Bazylego.

- Czemu więc sprowadził ją pan do „Idylli”?

Ogrodnik zafrasował się, nerwowo zaczął zacierać ręce.

- Jak by tu pani powiedzieć? Sama została, w ciężkich warunkach, stara... Taka piękna była kiedyś dziewczyna, taka promienna... Żal...

Pani Wojtasik pomyślała, że miłość jest jednak rzeczą zdumiewającą.

- Ale teraz nie ma już o czym mówić. Ona nie żyje - ciągnął zwierzenia Żelazkiewicz. - Nic się nie poradzi, głową muru nie przebijesz.

- Słusznie, panie Eustachy - wtrąciła Hortensja. - Głowa do góry! Morderca ujęty, nic już nikomu nie zagraża. Niech pan wraca do swoich kwiatków.

- Pani jest takim szlachetnym człowiekiem, jak mało kto. Wszystko pani zrozumie - ogrodnik bezradnym ruchem otarł czoło. - Ja właśnie nie wiem, jak dziękować... chciałem panią prosić o zaszczyt... no, chciałem dziś po południu... na pani cześć... no, takie małe przyjęcie.

- Dla wszystkich?

- Dla wszystkich, którzy pozostali - znów wlepił wzrok w swoje dłonie.

- Dobrze, panie Eustachy - zdecydowała Hortensja. - Zabawimy się dziś u pana, ale tylko pod warunkiem, że pan sam nie nadużyje napojów wysokokowych,

- Obiecuję to pani - wykrzyknął gorliwie ogrodnik i przypadł do ręki pani Wojtasik.

Dwaj mężczyźni z niezwykłą galanterią obsługiwali grono kobiet zebranych w saloniku. Domek ogrodnika był rozświetlony jak nigdy i jak nigdy dźwięczący szampańskim śmiechem kobiet, kryształem kieliszków, srebrnych sztućców. Było tam coś z atmosfery gali w operze, radości z zakończenia wojny lub powrotu syna marnotrawnego. Zestaw zimnych dań lechtał podniebienia tym bardziej, że niezczędzono też cudownej nalewki na ziołach wyszperanej przez gospodarza z jemu tylko wiadomej kryjówki. Po prawicy Żelazkiewicza siedziała Hortensja, zażenowana nieco podziwem, jaki jej okazywano. Opowiedziała już z detalami scenę zamachu na jej życie kończąc słowami:

- ... najbardziej bałam się, że morderca rozpozna za wcześniej kukłę; sama chciałam zagrać tę rolę, ale sędzia śledczy pod żadnym pozorem nie zgadzał się z moim planem. Odmawiał mi gwarancji bezpieczeństwa. W takiej sytuacji byłam zmuszona, państwo rozumieją, być świadkiem własnej śmierci.

- Lepiej złego nie budzić - westchnęła Krukowa. - Podziwiam pani odwagę i jasność umysłu, ja bym pewnie nie przewyciężyła strachu.

- Co pani opowiada? - generałowa po raz pierwszy odezwała się do Amelii nie w trzeciej osobie – wszyscy trzęśliśmy majtkami, wszyscy co do jednego, już po śmierci Elizy, a co dopiero, jak Ola martwego znaleziono. Uważaliśmy wtedy, że to nowe morderstwo, i to nie ostatnie.

- Nawet ja się wahałam wyznała Hortensja.

- Jak to właściwie było? Do tej pory nie wiem - rzekł gospodarz napełniając kieliszki.

- No, nie ma co. Musi pani Hortensja znów przystąpić do pracy - stwierdził Daniel kłaniając się z przeciwległego końca stołu w stronę nauczycielki.

- Prosimy, pani Hortensjo - mówiąc to, panna Gabriela musiała wychylić się, jako że od bohaterki spotkania dzieliła ją generałowa.

- Nikt nie umie opowiadać tak przyjemnie i barwnie. Powinna pani uczyć polskiego albo historii-zaszcebiotała bez

sensu Wieczorkowa, po której znać już było wyraźnie spożyty alkohol.

- Dajcie państwo dojść do głosu naszej Hortensji. Wybacz pani, że tak się zwracam?

- Ależ, bardzo mi miło, panie Eustachy. A więc śmierć Ola, doprawdy nie mogłam jej pojąć. Lubiłam go bardzo, tak jak wszyscy tutaj, komu on mógł zawadzać? W dodatku burzyło to moją koncepcję, bo ja już wtedy miałam wszystkie nici w rękę, choć brakowało wystarczających dowodów. Bałam się, że wszystko zacznie się od początku, jeśli to miało być dokonane przez kogoś, kto był tego wieczoru w „Idylli”. Wprawdzie klucza od furтки obok domu w szafce brakowało, ale nie przyszło mi wówczas do głowy, że lekarz i pielęgniarka mogli go zabrać wychodząc. Dopiero Pińczykowskiemu o tym powiedzieli. To był ten odgłos, który słyszałam o 10.35. Dobrze mi się wydawało, że ktoś otworzył drzwi od salonu. Oni właśnie tamtędy wyszli zostawiając drzwi uchylone.

- Ano właśnie - pokiwał głową Żelazkiewicz. - Odkryła to pani oczywiście i nie omieszkała powiedzieć, komu trzeba. Podejrzenie znowu padło na mnie.

Hortensja przybrała pokorną minę. - Przepraszam pana, panie Eustachy, chyba jednak zrehabilitowałam się potem?

- Ależ oczywiście, ja żartuję, moja wybawicielko, żartuję - Eustachy był dziś dobroduszny.

- Był jeszcze ten Rajmund - wyrwała się pani Jasia.

Wieczorkowa spojrzała na nią z wyrzutem, po czym dla dodania sobie animuszu wychyliła sama następny kieliszek. - Co chciała pani przez to powiedzieć? On nie ma nic z tym wspólnego. Sama go wyprowadziłam za drzwi po dziesiątej.

- Tak, nawet to odnotowałam - przyznała pani Wojtasik. - Problem, jak wyszedł za bramę posesji?

Jolanta niespokojnie potrząsnęła złotymi lokami, otworzyła usta, ale Hortensja nie dała jej dojść do słowa.

- Matka po prostu nie wie, jakiego zręcznego ma syna. Przelazł przez płot, tak przynajmniej zeznał Antkowiakowi, który dopadł go o świcie w Lublinie.

Wieczorkowa odetchnęła u ulgą. Pani Wojtasik ciągnęła

swoją opowieść.

- A więc, kto zabił biednego Ola i czym? - zastanawiałam się siedząc w kancelarii. Nerwowe zachowanie Antkowiaka i Pińczykowskiego wskazywało na to, że i oni ulegli sugestii morderstwa. Dopiero sekcja wykazała, że Olo zmarł na udar serca. Gdybym była wówczas przytomniejsza, mogłabym się tego domyślić. Doktor Wróblewski zawsze twierdził, że nie najlepiej jest z jego krążeniem. Ostatniego dnia w dodatku Olo czuł się wyraźnie źle. Taki był przygnębiony, przestał nawet pozować na paryskiego mistrza.

Panna Gabriela wyprostowała się z godnością. - Chwała Bogu, że sekcja wykazała chorobę sercową – powiedziała- bo przecież już mnie podejrzewano, a ja przecież przypadkowo poszłam do łazienki i tam go zobaczyłam. Straszne!...

- Czyżby przypadkowo? - spytała Hortensja.

- Co pani insynuuje? - oburzyła się Gabrysia.

- Niech mi pani wybaczy szczerłość, panno Gabrysiu, ale mamy dzisiaj taki mały „wieczór prawdy”. Wydawało mi się, że pani poznała kroki pana Aleksandra zmierzające do łazienki, i chciała mu pani coś powiedzieć? Może z czegoś się wytłumaczyć?

Panna Krzeczowska bąkała skonfundowana: - Może, może być, ja już nie pamiętam... Ale ja tak szanowałam pana Ola - spojrziała ukradkiem na Daniela, lecz ten udał, że nic go ta sprawa nie obchodzi.

- A ta rana na głowie? - przerwała niezręczną sytuację generałowa.

- Rana okazała się niezbyt głęboka, choć krwi dużo uszło. Po prostu pan Olo padając uderzył głową o kant umywalki.

- A właściwie, kiedy się pani dowiedziała o tym, pani Hortensjo? - zainteresowała się Jolanta. - Przecież policja o niczym nas nie poinformowała?

- Wtedy, jak poszłam na posterunek, po wyjściu od Kalinowskiej.

- Właśnie! A po co pani w ogóle była u Kalinowskiej? - wtrącił Pierożyński.

- Niech dadzą spokój z tymi chaotycznymi pytaniami -

wtrąciła generałowa. - Ona musi wszystko po kolei od początku opowiedzieć, a oni niech nie przerywają. Ma ścisły umysł, to da sobie radę.

- Od początku, to znaczy od czego? - zapytała pani Wojtasik.

- Od śmierci Bellówny. Co sobie wtedy myślała. Niech mówi, a oni niech słuchają. A tej naleweczki to niech mi jeszcze naleje - zwróciła się do Żelazkiewicza szczerząc białe zęby.

Pani Hortensja zastanowiła się chwilę. - No, dobrze - zaczęła. - Pod kołami samochodu zginęła Bellówna. Na wypadek to mi od początku nie wyglądało. Sądziłam, że zeznanie Kalinowskiego o obecności trzeciej osoby było prawdziwe. Zaczęłam szukać tej trzeciej osoby, oczywiście, proszę mi tego nie brać za złe, szukałam jej wśród mieszkańców „Idylli”. I wtedy odkryłam, częściowo przypadkiem, częściowo dzięki własnej zmyślności, nie traktujcie tego jako zarozumiałość, że wszyscy państwo kłamali mówiąc, że przebywali w swoich pokojach.

Ostatnim słowom pani Hortensji towarzyszyły zażenowane chrząknięcia.

- Mógłby to być każdy z was - ciągnęła Hortensja. - Na przykład pan Daniel, który był tego wieczora na dworze. Widziała go tam bowiem Eliza biorąc go nawet za ducha Banka. Ale z kolei mogła być i Eliza, skoro chodziła również po ogrodzie. I ta koncepcja wydała mi się bardziej prawdopodobna, jako że bransoletka znaleziona opodal miejsca wypadku z pewnością do niej należała. Wszyscy, poza nią, mieli swoje na rękach. A pan Daniel - tu uśmiechnęła się pod nosem - pan Daniel z pewnością zaglądał przez okno do panny Gabrysi i przy okazji połamał panu Eustachemu astry.

- Ach, to pan, nicponiu - ogrodnik pogroził Danielowi palcem i roześmiał się. Obecni słyszeli jego śmiech po raz pierwszy.

Pierozżyński speszył się z lekka, ale w końcu zebrał się na odwagę. - Prawda, szanowna pani, i tym razem rozumowała pani słusznie.

Panna Krzeczowska udawała zażenowanie, w gruncie rzeczy

jednak czuła się dumna.

- Tak też niewyraźna wydała mi się Eliza - kontynuowała Hortensja. - To jej krążenie po domu, odgrywanie krwawych ról... I wtedy przyszło mi do głowy, że między tymi dwiema kobietami, występującymi niegdyś razem na scenie, mógł istnieć jakiś związek. Umówiłam się zatem w Lublinie z pewnym znajomym z dawnych czasów, który opowiedział mi historię, jak przed pięćdziesięciu laty Natalia odbiła Elizie amanta. Przepraszam pana, panie Eustachy. Ja wiem, że to dla pana bolesne wspomnienie.

Ogrodnik z rezygnacją machnął ręką

- Niech mówi, niech mówi dalej - prosiła generałowa.

- To mnie utwierdziło w podejrzeniach Elizy. Ale cóż z tego, skoro ona tego samego wieczora została zasztyletowana. Musiałam szukać innego rozwiązania. Dlaczego zginęła Eliza i z czyjej ręki? Czyżby o czymś wiedziała?

- Mogła i wiedzieć. Myszkowała po nocach - wycodziła jak zwykle Krukowa.

Pani Hortensja nie zwróciła na nią uwagi. Opowiadała dalej:

- Znalazłam się w ślepym zaułku. Nic nie wiedziałam, ale jednocześnie gnębiła mnie jakaś nie uświadomiona sprawa. Coś widziałam, coś słyszałam, gdzieś tkwiła jeszcze jedna stara historia. Męczyłam się strasznie przez kilka dni. Pomogła mi dopiero dama kierowa.

- Dama kierowa? - zainteresowała się pani Helena. - Przecież niestety nie gra w karty.

- Nie gra, ale kładzie, jak to się teraz mówi, pasjanse - odpowiedziała Hortensja. - Otóż, któregoś ranka nie wychodziły mi pasjanse przez kierową damę

- To jakiś omen - wtrąciła pani Jasia.

- Ma pani rację - potwierdziła nauczycielka - Dama kier, piękna blondynka. W tym momencie uświadomiłam sobie wszystko. Piękną blondynkę widziałam na portrecie w domu Kalinowskiego. Powiedział, że to jego matka. A ja tę podobiznę znałam i tego właśnie nie mogłam sobie przypomnieć.

- To pani była u Kalinowskiego? - zdziwił się Żelazkiewicz.

- Byłam rano, w dniu śmierci Elizy. Do dziś mam wyrzuty sumienia, że się do niej częściowo przyczyniłam. Ale wierzyłam w niewinność Kalinowskiego, chciałam mu pomóc i wyciągnąć od niego jakiegokolwiek szczegóły dotyczące osoby, która była na szosie.

- Mniejsza z tym - zawyrokował Daniel - gdzie widziała pani przedtem portret tej kobiety?

- Fotografię, nie portret - skorygowała Hortensja. - Pełno fotografii tej pięknej kobiety w gazetach z 1895 roku. Wówczas bowiem zmarła na skutek zażycia zbyt dużej dawki środków nasennych. Oficjalnie stwierdzono wypadek, mówiono zaś powszechnie o samobójstwie.

- Nic nie rozumiem - poskarżyła się trzepocząc umalowanymi rękami dość już wstawiona Jola.

- Chwileczkę - tu pani Wojtasik podniosła palec do góry. - Winna jestem jeszcze jedno wyjaśnienie. Wtedy gdy układałam pasjansa, wyjęłam również przypadkiem z szuflady jeden z wycinków prasowych przechowywanych przez Bellównę. Zabrałam go z buduaru podczas pierwszego przesłuchania. Z jednej strony był artykuł o pożegnaniu Natalii ze sceną, a z drugiej krótka notatka o bankructwie i śmierci znanego bankiera, barona Mieczysława Szauberga. Wtedy nie wiedziałam nawet, po co to zabieram, myślałam, że ze względu na Bellównę. Okazuje się jednak, że podświadomie chciałam mieć wycinek o śmierci Szauberga.

Krukowa wzruszyła ramionami: - Co to ma do rzeczy?

- Bardzo ma - zirytowała się Hortensja. - W tym momencie bowiem skojarzyłam w mgnieniu oka dwie sprawy. Dama z portretu to piękna pani Szaubergowa, która przyplaciła życiem głośny romans swojego męża z aktorką lub tancerką, jeszcze niezupełnie byłam pewna...

- Szkoda - powiedział ze smutkiem Żelazkiewicz. - Ja bym pani wyjaśnił.

- Wolałam zatelefonować do córki, aby pogrzebała w jakimś poważnym archiwum prasowym. Po paru dniach oddzwoniła. Nie myliłam się. W latach 1894-95 prasa brukowa roiła się od plotek o romansie Szauberga z Bellówną. Potem na temat

domysłów o śmierci baronowej. Romans zresztą szybko się skończył. Natalia wkrótce rzuciła bankiera. Córka doniosła mi również, że z małżeństwa Szauberga pozostał syn Jerzy. W chwili śmierci matki miał osiem lat. Po dojściu do pełnoletności przybrał panieńskie nazwisko matki - Kalinowski.

- A taki przystojny - westchnęła z żalem Jola.

- Jerzy Kalinowski - powiedziała dość pompatycznie Hortensja - znany niegdyś jako mistrz we florecie, a obecnie jako morderca Natalii Bellówny i Elizy Conti.

- Ach! Och! - wydobyło się ze wszystkich gardeł.

- A mówiłam, że jest inteligentna - stwierdziła generałowa.

- Obrzydliwość! - wydeła wargi Krukowa. - Skarania nie ma na te ladacznice, co to cudzych mężów zabierają. A ja państwu mówię, że Pan Bóg nierychliwy, ale sprawiedliwy, wygubi kiedyś całe plugastwo tego świata, te szantany... te, te siedliska rozpusty, teatry, iluzjony - naleweczka dawała znać o sobie w tej tyradzie.

- Bredzi - zawyrokowała pani Helena sięgając po nowy, już chyba trzeci kawałek świetnej połędwicy po angielsku. - Boga mieszać w tingel-tangiel, tylko szwaczka może coś takiego wymyślić!

- O, wypraszam sobie - uniosła się Amelia - Bóg wygubi, jak Boga kocham! Szwaczka! Ja pani zawodu nie przeciągam przez zęby.

- A cóż ma przeciągać? Generałowa to nie zawód, to funkcja, w dodatku bardzo odpowiedzialna.

- Panie przerywają opowiadanie pani Hortensji. Bardzo jestem ciekawa, kiedy ta sprawa się zamknie. Śledztwo będzie trwało długo, a ja muszę wyjechać na te chrzciny - przerwała Kozicowa.

- Jakie chrzciny? - rozwarła szeroko oczy Wieczorkowa.

- Dzidziusia wróżki - rozczuliła się pani Jasia.

- Wszystkiemu winne aktorki - chciała wrócić do swej śpiewki Krukowa.

- Ależ banialuki opowiada. Aktorki jej zaszkodziły! Niech lepiej jeszcze sobie kropnie.

Żelazkiewicz poderwał się do swojej czynności podczaszego. Generałowa pierwsza podsunęła kieliszek, a zaraz za nią Jola. Tylko Hortensja gestem zatrzymała Eustachego.

- Moja dobrodziejka nie napije się jeszcze kropelki? Sam dobieierałem zioła, nie może zaszkodzić.

- Wierzę panu, panie Eustachy, ale może innym razem. Mnie już starczy. Panu chyba też.

Daniel nadzieiał na widelec jeszcze jednego marynowanego grzybka, przełknął go głośno, po czym zwrócił się do Hortensji.

- Podjedliśmy sobie odpowiednio, niechże więc szanowna pani zaspokoi naszą jakże uzasadnioną ciekawość i wtajemniczy nas łaskawie w dalsze swoje poczynania.

- A na czym skończyłam? - spytała pani Wojtasik, ocierając usta.

- Jak odkryła, że Kalinowski to Szauberg i jak jej córka z Warszawy dzwoniła - przypomniała generałowa .

- Aha, miałam więc już pewność, wiedziałam, że jakiś dramat musiał się toczyć między Bellówną a Kalinowskim. Zresztą już przedtem stwierdziłam na malinieckiej poczcie, że jedyną osobą z naszego grona, która kilkakrotnie telefonowała - a czemuż nie z „Idylli”? - oraz wysyłała list, była Natalia. Wszystko to jednak były załedwie poszlaki. Ja mogłam być przekonana, ale żaden sąd nie dałby wiary. Zastanawiałam się więc intensywnie, jak by tu znaleźć niezbite dowody. I wtedy przypomniałam sobie, że podczas mojej bytności u Kalinowskiego telefonowała jego żona, żyli w separacji. Pomyślałam, że może od niej bym się czegoś dowiedziała. Umówiłam się więc ze swoim starym znajomym, o którym już państwu wspominałam. On zna wszystkich w Lublinie. Bez trudu choć podstępem, zagadując go na różne inne tematy, wydobyłam od niego adres Kalinowskiej jak też i jak najgorszą opinię o tej pani.

- Więc to nie z jego winy ta separacja⁹ - zainteresowała się Gabrysia.

Pani Hortensja machnęła ręką. - Jedno warte drugiego. Ona wulgarna, egocentryczka i niezmiernie chciwa. Ale wróćmy do biegu wypadków. Dotarłam do jej domku i

odegrałam komedię.

- Proszę, to i z niej aktorka - powiedziała z podziwem pani Helena. - Jaką to komedię odegrała?

- Po prostu udałam, że mi się zrobiło niedobrze od upału i zadzwoniłam do furtki. Ratowały mnie obie, matka i córka. Woda, krople, itd. Przy czym Kalinowska nie omieszkała mi opowiedzieć, jaka to ona jest szlachetna i nieszczęśliwa, i jakiego podłego ma męża. Na dowód jego niewierności pokazała mi skradziony w mieszkaniu Kalinowskiego list od rzekomej kochanki. List na liliowym papierze, bez daty, podpisany „przyjaciółka”, mówiący w sposób dość enigmatyczny o braku zaufania z jego strony, o nadziei przeniesienia się pod jego dach oraz zapowiadający telefon w celu ustalenia miejsca i czasu rendez-vous. Nie miałam najmniejszej wątpliwości, że pisała go Natalia. Wszystko na to wskazywało: papier, charakter pisma, styl. Skorzystałam więc z chwilowej absencji damy i schowałam list do kieszeni.

- I ona tego nie zauważyła? - zdziwiła się Amelia Krukowa.

- Skąd, to wyjątkowa bałaganiarka i niechluja.

- No, i co szanowna pani zrobiła z tym listem? - spytał zaintrygowany Daniel.

- Jak to co? Ledwo Kalinowska znikła mi z oczu, zaniósłam Pińczykowskiemu. On też natychmiast poznał papier listowy i pismo Bellówny, miał przecież wszystkie podpisane przez nią wycinki prasowe. Powiedziałam mu- wtedy również o odkryciach mojej córki w Warszawie.

- I uwierzyli pani? - wykrzyknęły równocześnie pani Jasia i Jola Wieczorkowa.

- Uwierzili, nareszcie, bo dotychczas traktowali mnie jak starą wariatkę mieszącą się niepotrzebnie w cudze sprawy. Uwierzili, choć orzekli, że przekazane rewelacje sprawdzą. Sprawdzili też bez trudu. Zgadzało się.

- Mogli dawno sami na to wpaść zamiast zamykać niewinnego człowieka - orzekł ponuro Eustachy Żelazkiewicz.

- Pewno, że mogli, ale nie wpadli, bo durnie są - generałowa zrobiła straszliwego zeza - to nie to, co ona.

- Dziękuję za komplement - odpowiedziała Hortensja.

- Dość, że sprawdzili, przekonali się, że stara, emerytowana nauczycielka też czasem może mieć rację, i odtąd zaczęła się nasza współpraca oparta na wzajemnym zaufaniu.

- Na czym ona polegała, niby ta zasadzka? - Daniel był najbardziej ciekaw wszystkich szczegółów.

- Tak, doszliśmy bowiem do wniosku, że wciąż nie mamy wystarczających dowodów. Wymyśliłam więc zamach na Hortensję Wojtasik. Długo musiałam namawiać sędziego i porucznika. Bali się o mnie naprawdę. W końcu zgodzili się na podstawienie kukły. Ciągłe jednak nie mieliśmy pewności, czy to się uda. Czy Kalinowski w ogóle przyjedzie.

- Ale przyjechał - zauważyła Jola.

- Przyjechał. I tu zrobił kardynałny błąd, ale po prostu w tym momencie bał się śmiertelnie.

- Dlaczego? - zapytała niezbyt bystrze pani Jasia.

- Czuł się już osaczony. Zatelefonowałam do niego i powiedziałam, że chciałabym oddać adresowany do niego list Bellówny. Milczał przez dłuższą chwilę. Zatkanęło go. Potem udając obojętność wyznaczył mi spotkanie 11 października o godzinie dziesiątej wieczorem, dokładnie w tym miejscu, w którym zabił Natalię. Ale miałam pietra! - wyznała ze śmiechem Hortensja.

- Gdzie tam, bardzo jest odważna - zapewniła generałowa.

- Bohaterska wręcz niewiasta - dodał Żelazkiewicz.

- Wiercie, mili państwo, że naprawdę miałam pietra. Okazuje się jednak, że on bał się jeszcze więcej. Wprawdzie zachował pewną ostrożność: przyjechał cudzym wozem, po oddaniu dwóch strzałów do domniemanej Hortensji Wojtasik odjechał dalej, odczekał dobrą chwilę i dopiero wtedy wrócił po list. Był jednak tak roztrzęsiony, iż nie zauważył, że przeszukuje kukłę. I wpadł. Kropka. Koniec - zamknęła swój wywód Hortensja.

Wówczas odezwała się, bardziej biegła w wiedzy tajemnej niż kryminalnej, Jasia Kozicowa: - To straszne, straszne, ludzie są teraz tacy niedobrzy. Dlaczego on zabił tę tancerkę? Chociaż to także była zła kobieta - dodała.

- Czemu zabił? - zamyśliła się Hortensja. - Cóż, tego sama

zbyt dobrze nie wiem. Mogę się tylko domyślać. Na pewno odegrała tu rolę zemsta za śmierć matki, mam jednak wrażenie, że wchodziły tu jeszcze w grę jakieś sprawy finansowe Natalia w swoim liście wspominała o nadziei zamieszkania u niego, ponadto na krótko przed śmiercią wycofała od notariusza testament.

- Ale ona przecież nic nie miała - wtrącił Eustachy.

- Wszyscy jednak myśleli inaczej. Państwo także opowiadali o jej legendarnej bizuterii.

- Tylko ten okropny pierścionek z czarną perłą - wykrzyknęła z emfazą pani Jasia.

- Właśnie. Sprawa tego pierścionka jest dla mnie do tychczas niejasna - powiedziała z pewnym namysłem Hortensja. Spojrzała przy tym wymownie na Wieczorkową, która niespokojnie poruszyła się na krześle i potrząsnęła złotymi lokami.

Amelia Krukowa nie wytrzymała. Sztucznie słodkim głosem zapytała - Może by młody pan Wieczorek potrafił powiedzieć coś na ten temat?

Jolę aż poderwało. Chciała powiedzieć coś mocnego, lecz Hortensja powstrzymała ją łagodnie: - Dajcie spokój, drogie panie Nie psujmy „idyllicznego” nastroju tego wieczora.

- Rzeczywiście, rzeczywiście - poparł ją Daniel. - A zatem zreasumujmy nie wiemy dokładnie, dlaczego Kalinowski zamordował Natalię? A Elizę? Czyżby dlatego, że była świadkiem?

- Naturalnie - stwierdziła ze smutkiem Hortensja. - I tu mam żal do siebie. Nie tylko nie zapobiegłam tej tragedii, ale nie mogę oprzeć się wrażeniu, że się do niej wręcz przyczyniłam

- Ależ dlaczego? - zapytali wszyscy razem.

- Bo kiedy byłam u Kalinowskiego, chyba mu za dużo o niej opowiedziałam.

- A cóż mogła pani o niej opowiedzieć? - podsunęła Krukowa.

- To, że snuje się po całym domu nocami, co z pewnością ułatwiło mu to zadanie, i wydaje mi się, że jeszcze coś

powiedziałam, coś, co przyspieszyło jego decyzję. Nie bardzo wiem, co, dość, że tej samej nocy ją zaszytył z precyzją godną mistrza floretu.

- Właśnie! Jeśli dostrzegł ją na szosie jako świadka morderstwa, dlaczego nie zabił jej od razu, czekał cztery czy pięć dni? - zdziwiła się panna Gabriela.

- Sądzę - odpowiedziała Hortensja - że widział ją, lecz nie był absolutnie pewny. Po to, by ją zidentyfikować, przyjechał na pogrzeb Natalii. Wszyscy wtedy mylnie oceniliśmy jego intencje. Odczekał potem jeszcze jeden dzień, dopiero po spotkaniu ze mną to zrobił. Dlatego też dręczy mnie sumienie.

- Ależ zupełnie niepotrzebnie, droga pani - zapewnił ją Żelazkiewicz. - Przecież skoro on ją poznał, to i ona musiała go poznać.

- Twarzy jego w ciemności na szosie chyba nie dostrzegła. Z pewnością jednak, gdy posłyszała, kim jest ten mężczyzna, dotarło do niej, że ma przed sobą mordercę. Może dlatego tak szatańsko śmiała się nad grobem biednej Natalii? Czy to zresztą cokolwiek było wiadome z Elizą? W końcu pana Eustachego znała z dawnych czasów, ale czy rozpoznała go w „Idylli”? Jest to tajemnica, którą zabrała ze sobą do grobu.

- Zupełnie jednak nie rozumiem, czemu nic nie powiedziała? Czyżby nie zdawała sobie sprawy z niebezpieczeństwa? - upierał się Daniel.

- Musimy tu pozostać niestety w sferze domysłów. Eliza bała się z pewnością. Najlepszy dowód, że zabrała u pana Żelazkiewicza mizerykodię. Nie wiedziała, biedactwo, że stanie się ona narzędziem jej śmierci. W głowie jej się jednak rzeczywiście plątało, a ponadto, choć może przykro to powiedzieć, ale ona tak bardzo nienawidziła Natalię, że w jakimś sensie musiała być z jej śmierci zadowolona.

- Panie, odpuść jej grzechy - westchnęła nabożnie Amelia Krukowa, wznosząc oczy w górę.

Wszyscy spowaźniali. Na chwilę zapomnieli o odzyskanym poczuciu bezpieczeństwa i o triumfie Hortensji Wojtasik. Uświadomili sobie nagle, że ubyło z ich grona troje towarzyszy

starości. Zrobiło się cicho. W końcu pani Jasia zaproponowała, aby zakończyć to wieczorne spotkanie. Żelazkiewicz nalał strzeмиennego. Wieczorkowa jednym haustem wychyliła kieliszek i szepnęła do ucha Hortensji:

- Czy można będzie jeszcze na chwilę zejść do pani?

Eks-nauczycielka bez entuzjazmu kiwnęła przyzwalająco głową. Goście zaczęli wylewnie żegnać się z gospodarzem i dziękować mu za wspiane przyjęcie. Wyszli na trochę chwiejnych nogach w noc wygwieżdżoną jak wczorajsza, lecz chłodną. Jola chwyciła pod rękę panią Wojtasik i w milczeniu prowadziła ją w stronę pensjonatu. Nogi jej się jednak wyraźnie plątały i to raczej Hortensja ją podtrzymywała niż odwrotnie. W końcu dotarły do pokoju gościnnego pożegnawszy po drodze panią Jasię, która truchcikiem podążyła do siebie, aby móc po wszystkich tych rewelacjach na nowo porozmawiać z duchem Teda. Wieczorkowa ciężko opadła na fotel.

- Pani już wyjeżdża?

- Najwyższy czas. Nic już tu zresztą po mnie. Zrobiłam, co do mnie należało, reszty dokona śledztwo i sąd. Jutro się stąd zabieram.

Wieczorkowa nerwowo spłotła dłonie. - Nie chciałabym, żeby pani., żeby pani wyjechała - jąkała się i potrzasała mocno już potarganą głową - ... źle myśląc o mnie.

- Ja o nikim źle nie myślę, pani Jolu. Jestem starą, doświadczoną kobietą i wiem, że natura ludzka jest ułomna.

- Ale to nieprawda, nieprawda, że ja tu wszystkich ograbiam - ciągnęła ze łzami w oczach właścicielka „Idylli”. - Ja wszystko dla tego dziecka, jego jednego mam na świecie! Niewdzięcznik! Wszystko ze mnie wyciągnie. . ja temu Bazylemu nic nie zabrałam, od Krukowej pożyczyłam tylko... ach, Boże - wierzchem dłoni otarła łzy - żeby pani wiedziała, ile mnie ten chłopak zdrowia kosztuje, w ojca się wdał.

- A pierścionek Bellówny? - zapytała Hortensja.

- Powiem pani, wszystko powiem. Ona naprawdę mi ten pierścionek podarowała. Ona mnie w ogóle lubiła.

I z początku, jak tylko tu przyjechała, dawała mi do zrozumienia, że kiedyś, w bliżej nieokreślonej przyszłości coś

od niej dostanę, jakby robiła jakieś aluzje do testamentu. Ale ja, uchowaj Boże, niczego nie wymuszałam. Udawałam nawet, że nie wiem, o co chodzi.

Pani Hortensja słuchała w skupieniu.

- Aż któregoś dnia, było to latem, przyszła do mnie i powiedziała, że niestety, nie będzie mogła dać mi tyle, ile zamierzała. Teraz to sobie myślę, że ona wtedy już weszła w konszachty z tym przystojnym mordercą i że wycofała testament. Co ona tam zresztą miała? Broszkę i nędzne trzy i pół tysiąca. Żelazkiewicz omamił mnie jej bogactwami.

- Ma pani chyba rację - przyznała Hortensja.

Jola ciągnęła dalej. - Jednym słowem, żebym nie czuła żalu, to ona ofiaruje mi piękny pierścionek, i ściągnęła tę czarną perłę z palca. Z początku nie chciałam przyjąć, ale tak nalegała, że w końcu zgodziłam się. Niepotrzebnie tylko Rajmundowi o tym powiedziałam. Teraz nie daje mi spokoju.

- Z tym swoim chłopakiem musi pani zrobić porządek, pani Jolu. Choć teraz nie będzie to już łatwe.

- Może gdyby się ożenił? - chlipnęła Wieczorkowa.

- Może... Niech mu pani znajdzie jakąś stateczną, przyzwoitą dziewczynę.

- On takich nie lubi, ale postaram się - znów otarła łzy spływające wraz z błękitnym tuszem. - I jak mi Natalia dała ten pierścionek, to powiedziała, że jest on nie tylko : piękny, ale i pamiątkowy, bo bardzo interesujący pan i przyniósł go jej kiedyś do garderoby wraz z pękiem czerwonych róż. Pierścionek był nawleczony na jedną z nich, że cała Warszawa o tym mówiła, bo to był znany człowiek.

- Szauberg - stwierdziła Hortensja. Po czym zastanowiła się chwilę i spytała. - Pani Jolu, niech sobie pani dobrze przypomni, czy świadkiem tej sceny nie była przypadkiem Eliza Conti?

- A tak - ożywiła się Wieczorkowa. - Ma pani rację. Myśmy siedziały we dwie w salonie, a ona kręciła się po tarasie. Ale kto by zwracał uwagę na to dziwadło?

- Zaczynam już rozumieć - powiedziała w zamyśleniu Hortensja. - Eliza opowiedziała mi tę historię tak, jakby jej

dotyczyła. Biedactwo, zapamiętała to sobie, chociaż prawdopodobnie nie bardzo wiedziała, kim był ten interesujący ofiarodawca. Pewno myślała, że to jej amant sprzątnięty przez Natalię był taki hojny. Dlatego miała wtedy takie chytre spojrzenie. Nieszczęsna Eliza Conti musiała mieszkać ze swoim największym wrogiem. A ja - tu Hortensja zawahała się - a ja... ależ tak, oczywiście... ja tę historię opowiedziałam Kalinowskiemu. A pierścionek był prawdopodobnie od Szauberga, może własność jego żony. Ach, niestety, miałam rację podejrzewając, że nie przysłużyłam się Elizie.

*

W Warszawie śnieg od tygodnia bielił ulice, okrywał czapami drzewa rosnące gęsto pomiędzy posesjami mokotowskimi, dawał się we znaki woźnicom i automobilistom. Jedynie konie od Habermuscha nie przejmowały się uciążliwą aurą wożąc wielkie beki z piwem.

Hortensja zwykła pić herbatę w spokoju, dziś jednak była jakaś dziwnie zdenerwowana, może sprawił to telefon córki, która wymówiła się od przyścia na obiad, może nikłe postępy wnuka w nauce, że czuła się nie najlepiej. Podskoczyła w fotelu, kiedy odezwał się dzwonek, - Ki diabeł? - pomyślała idąc otworzyć. Widok mężczyzny stojącego w drzwiach zupełnie zaskoczył panią domu.

- No, wszystkiego mogłabym się spodziewać, ale pana u mnie, z wizytą i to w dodatku, jak widzę, prosto z drogi. Proszę bardzo.

- Dobry wieczór! Rzeczywiście nie powinienem przychodzić bez zapowiedzenia. mam jednak bardzo mało czasu, jestem przejazdem w Warszawie, pomyślałem sobie, że większym nietaktem byłoby ominąć pani progi.

Tu sędzia Pińczykowski wydobyl wiązanekę łososiowych róż, wręczył ją gospodyni, po czym wyzwolił się z grubego tweedowego palta.

- Nie sądziłem, że zastanę w stolicy prawdziwą zimą. U nas jeszcze śniegu nie ma,

- Proszę do pokoju. Pewnie nie odmówi pan gorącej

herbaty? O, w tym fotelu pod oknem proszę usiąść, zaraz wracam z imbryczkiem. - Hortensja z zadowoleniem krzątała się przez moment w kuchni, potem wniosła róże w pysznej secesji i takąż porcelanową zastawę. Na stolyczku pojawiło się obok naparu o niewysłowionym aromacie także coś słodkiego. - Semik dostarczyła mi Wanda, moja córka, z własnych wypieków. Niech się pan częstuje i nie zważa na mnie. Ja już jadłam. Śledztwo zostało zamknięte i oczekujemy na rozprawę, czyż nie tak?

- A tak. Załamał się, wyśpiewał wszystko - odpowiedział lakonicznie Pińczykowski zajęty sernikiem i popijaniem herbaty. Widać było, jak delektował się jednym i drugim. - Inżynier opowiedział o swoim dzieciństwie, pani Hortensjo. Wszystko. Jego matka, łagodna i zawsze uśmiechnięta kobieta, starała się nie pokazywać synowi dramatu. Pani Klementyna - nosiła to piękne jak ona sama imię - kiedyś, będąc z Jerzym w Łazienkach, w którejś alejce niespodziewanie spotkała męża i tę kobietę.

- Mówi pan o Natalii Bellównie?

- Tak. Chłopiec widząc łzy w oczach matki pojął jej tragedię. To było dla niego szokiem.

- I poprzysiągł zemstę?

- Jeszcze nie wtedy. Po śmierci Klementyny Szaubergowej wzięła go na wychowanie kuzynka ze strony matki. Pomimo wszelkich starań nie udało jej się ustrzec chłopca przed nienawiścią do barona. Kiedy dorósł, dowiedział się od ciotki nazwiska „kobiety fatalnej”, dowiedział się nawet więcej. Jego ojciec do tego stopnia stracił głowę dla Bellówny, że całą bezcenną biżuterię pani Klementyny ofiarował tancerce, która i tak go wkrótce porzuciła, ale to przecież pani wie od swego informatora lubelskiego, pana Nycza.

- Ja więcej się domyślałam kojarząc pewne fakty z przeszłości, niż mogłam sama ustalić. To raczej panowie są od ustalania szczegółów. Nie mogłam wiedzieć choćby o tym spotkaniu niefortunnym w Łazienkach.

- Pani pomoc była i tak nieoceniona, po co skromność, droga pani Hortensjo - sędzia zakończył komplement zbyt

kordialnie.

- Co dalej?

- Baron Szauberg próbował pojednania z synem, chciał się z nim spotkać. Nic z tego oczywiście nie wyszło. Jerzy był zdecydowany odebrać precjoza matki i pomścić jej śmierć przy pierwszej nadarzającej się okazji. Nie szybko jednak taka okazja się nadarzyła. Lata studiów, potem ta okropna wojna - i Kalinowski jakby nawet trochę o tym zapomniał. W 1920 roku baron zbankrutował, wkrótce zresztą opuścił ten padół.

- Wyczytałam o upadku Szauberga. Wie pan, dziwnie splatają się ludzkie losy. W tym samym wycinku gazetowym benefis tamtej i jego, na odwrocie strony, krach ... Może jeszcze herbaty?

- Z przyjemnością. Tegoż roku inżynier Kalinowski przeniósł się do Lublina.

- I tutaj się ożenił - wtrąciła z niesmakiem pani Wojtasik.

- Znalazł tę babę właśnie w Lublinie. Trzeba przyznać, że przeszedł w małżeństwie piekło. Sabina, jego żona, którą pani poznała podstępem, wysysała z niego każdy grosz. Wynajął więc jej na rok przed malinieckimi wypadkami mieszkanie iłożył na dwójkę dzieci, zaharowując się doszczętnie.

- Gdzieś w maju spotkał przypadkiem w Malińcach Natalię. Czarna perła zdradziła tożsamość kobiety...

- „Fatalna” perła, jakby powiedziała Jasia-tu Hortensja uśmiechnęła się na wspomnienie czarnoksiężniczki z „Idylli”.

- Obudziła się - ciągnął Sylwester Pińczykowski nie zmieniając tonu - chęć zemsty wraz z widokiem na spory zysk. Kalinowski nie miał żadnego kłopotu z wyśledzeniem adresu Bellówny. Zeznał, już po pani wyjeździe, że do pierwszej rozmowy doszło pod pensjonatem podczas wieczornego spaceru. Inżynier nie chciał tam się pokazywać, był na to zbyt przebiegły,

- On robił na mnie wrażenie nie tyle przebiegłego, co raczej skrytego, może nieufnego.

- Właśnie, nieufnego. Nie uwierzył w szczerą radość Natalii ze spotkania. Była to dla niej szansa, ale udawała, że wzruszył ją widok syna „jedyne go” człowieka, którego naprawdę

kochała. Lata młodości, wspomnienia przemieszały się teraz z możliwością dobrej transakcji. Bellówna zgodziła się na zwrot klejnotów pod warunkiem zabrania jej z tego domu starców.

- Zastanawiałam się, panie sędzio, czy gdyby oddała pierścionek i broszkę, więcej przecież nie miała, to uniknęłyby tragicznego finału? Może Kalinowski w pierwszej fazie spotkań poprzestałby na tym, w końcu i dla niego jasne było, że los wyjątkowo okrutnie zemścił się na baletnicy. Żyć pod jednym dachem z byłym mężem, porzuconym i zmarnowanym przez to, i ze starą rywalką - prawdziwa gehenna.

- Zapalę lampę, prawie nic nie widać. - Hortensja pociągnęła za sznureczek zwisający spod abażuru lampy stojącej pomiędzy fotelami. Pokój zalało ciepłe światło kontrastujące z sinym zimnem za oknami mieszkania pani Wojtasik.

- Sprawa przybrała jednak inny obrót. Inżynier nie chciał słuchać o jakiejś nieuleczalnej chorobie, o przeczuwanej rychło śmierci - tu instynkt nie zawiódł Bellówny - i o testamencie, który spisała na jego korzyść.

- A jak wyglądało ostatnie spotkanie tej dwójki?

- Pani Hortensjo, ostatnie spotkania były coraz bardziej burzliwe. Kalinowski zaczął nalegać na pokazanie biżuterii podejrzewając słusznie, że przez te wszystkie lata Natalia mogła ją przepuścić. Ona wtedy wycofała testament sporządzony na korzyść Wieczorkowej. Tutaj nie blefowała. Napisała list do inżyniera, ten, który pani wspaniałomyślnie podsunęła Sabina Kalinowska. Potem zatelefonowała obiecując, że przyniesie cały majątek do lasu za pensjonatem. Przyszła, ale bez biżuterii. Kalinowski rozwścieczony zaczął czekać, aż Bellówna odejdzie kawalek drogi, wszystko, nawet pogoda, zdawało się sprzyjać zbrodni idealnej, rozpędził samochód i zabił byłą kochankę swego ojca. W tym momencie spostrzegł wysoką postać kobiety na skraju lasu. To zmusiło go do odegrania przed policją wypadku. Wolał mieć sprawę z widokiem na uniewinnienie, niż odpowiadać za morderstwo.

- A druga śmierć Marii Woźniakowej vel Elizy Conti była następstwem takiej linii obrony. Kalinowski miał wszelkie dane po temu, aby tę postać uważać za mieszkankę „Idylli”. Na pogrzeb Bellówny przyszedł jedynie w celu zidentyfikowania drugiej ofiary. Los Elizy był już przesądzony, czyż nie tak?

- Ma pani absolutną rację.

- I wtedy ja, stara idiotka, napraszam się na spotkanie z takim „wspaniałym gentlemanem”, co przynosi kwiaty na grób własnej ofiary. Róże, piękne kwiaty.

- Tamte były pąsowe. Moje są łososiowe - Pińczykowski szczerze się uśmiechnął.

- Ja upewniłam go w dodatku o demencji przerywanej chwilami przytomności i o pierścionku.

- Właśnie. Kalinowski był zaniepokojony tą znaną sobie skądinąd historią. Myślał, że Eliza wie, od kogo Natalia miała czarną perłę, i to poprzez Szauberga naprowadzi ją na jego ślad.

- Tak, nie mógł natomiast wiedzieć, że Conti przekazała mi wzruszającą opowieść o pierścionku nawleczonym na dumny kwiat przed śmiercią Natalii. A ja z kolei nie wiedziałam wówczas, że sprawa dotyczyła tancerki, a nie aktorki, która się pod całe to zdarzenie podszyła. Po prostu qui pro quo kosztowało w tym przypadku życie. Cały czas czuję się współwinna. I jeszcze ta moja wizyta u Kalinowskiego w Lublinie.

- Ten łotr ruszył za panią do Maliniec, łażąc po lesie doczekał nocy, potem podkraść się pod okna salonu i czekał na sposobny moment. Biedna Conti tak się zagrała, że sama weszła mu w ręce, z mizerykordią w dodatku. Zrobiła tym prezent swojemu mordercy, bo Kalinowski nie mógł robić hałasu, miał zamiar ją udusić.

- Mistrzowi fechtunku łatwiej było zadać precyzyjny cios sztyletem?

- Tak, ale skąd pani wiedziała o tym sportowym zacięciu inżyniera?

- Sama nie zajmuję się sportem, mój wnuk zaś nie zajmuje

się nauką, tylko sport mu w głowie. On przez matkę przekazał mi tę wiadomość wtedy, gdy Wanda telefonowała ze swoimi ustaleniami.

Sędzia zaczął się kręcić, spoglądając dyskretnie na zegarek. Hortensja Wojtasik nie zauważyła tego, chciała się jeszcze czymś pochwalić. Zmieniła zatem trochę kierunek rozmowy.

- Najbardziej mnie złości, kiedy sobie pomyślę o tej babie z krecimi łapkami. Sabina Kalinowska oczywiście wróciła do willi?

- Do willi i samochodu kosztem dwu istnień.

- Trzech, panie sędzio - tu podniosła palec do góry - pośrednio trzech, licząc kochanego Oła. Liczyła na dochody z listu i on przyniósł jej majątek, chociaż nie w ten sposób, jak myślała. Jestem pewna, że ta małpa wydobędzie po procesie i czarną perłę od Wieczorkowej. Może się nawet zaprzyjaźnią... mają podobne charaktery.

- Chyba nie będzie aż tak źle - roześmiał się znowu Pińczykowski - ja bym bronił pani Joli. Też chciwą, to prawda, ale synalka ma nie do pozazdrosczenia i musi na niego pracować. Sabina raczej nie zapracowałaby się dla swoich dzieci. Wieczorkowa może budzić współczucie. Ale pani, pani Hortensjo, po tym wszystkim nie pojedzie więcej do „Idylli”? Już się nie zobaczymy w malinieckich stronach?

- Wprost przeciwnie. Miałam właśnie powiedzieć panu coś ciekawego. Wybieram się tam w karnawale.

- W karnawale? A po co? - sędzia zdziwił się niepomiernie.

- Wybieram się na podwójny ślub!

- Wieczorkowej?

- Nie. Siostry Danusi z Januszem Wróblewskim...

- ... to jedna para...

- Drugą stanowią... Gabrysia i Daniel. Panna Krzeczowska i pan Pierożyński. Oło z pewnością zatańczyłby na tym weselu, choć panna przecież najpierw jego darzyła sentymentem.

zł 110,-

lesiojot

ISBN 83-07-01122-1